**Paweł Szumił**

**Smok zamku Kongów**

Tom IV cyklu

**SŁOWO O SMOKU**

Tłumaczył z rosyjskiego

**JACEK IZWORSKI**

Tytuł oryginału: **ДРАКОН ЗАМКА КОНГОВ**

**PROLOG; Rozmowa, która odbyła się bardzo dawno temu.**

 – … Żyć w kamiennym wieku, podczas gdy cały wszechświat…

 – No, no, tylko bez gromkich frazesów. Po pierwsze nie w kamiennym. Mają tam całkiem kulturalne feudalne społeczeństwo. A po drugie, skąd to wzięłaś, że żyją gorzej od nas?

 – Przecież to oczywiste! Są oderwani od świata, od kultury!

 – A kiedy ty ostatni raz byłaś w muzeum? Albo w teatrze?

 – Nie pamiętam.

 – Podaj chociaż rok.

 –A niech cię! Ja mówię o poważnych rzeczach, a ty byś tylko opowiadał kawały.

 –Ja też mówię poważnie. Z tego, że nie mogą odpocząć tydzień na Hanuanua, wcale nie wynika, że ich życie jest gorsze od naszego. A zachody ich słońca są wręcz zadziwiające. Kiedy ostatni raz zachwycałaś się zachodem słońca?

 – Z tobą nie da się rozmawiać poważnie. Dlaczego o wszystkim za nich decydujesz?

 – A niech cię! Przecież oni sami chcieli się odseparować! Przesiedlili się na Tantę i zniszczyli wszystkie komory zero-t.

 – To było sto lat temu!

 – A czy to coś zmienia?

 – Oczywiście, że zmienia! Ci, którzy chcieli się odseparować, wszyscy już poumierali. A może ich dzieci chcą wrócić, ale nie mogą?

 – Może i masz coś z racji.

 – A widzisz!

 – Wybacz, Elli, ale jesteś jeszcze bardzo dziecinna. Nigdy nie zdołasz włożyć z powrotem do gniazd wszystkich wypadłych piskląt, nigdy nie zdołasz uratować przed wilkami wszystkich małych jelonków. A gdyby ci się to udało, wilki umarłyby z głodu.

 – Jestem, jaka jestem. Nie podobam ci się, znajdź sobie inną i nią komenderuj.

 – I tak cię kocham, słyszysz, głuptasie! – krzyknął za odchodzącą. – A kiedy zmądrzejesz, ożenię się z tobą.

 – Będziesz musiał długo czekać! – Zatrzymała się.

 –To się zgadza! Przecież powiedziałem: kiedy zmądrzejesz…

 – Możesz być zadowolony: masz ostatnie słowo.

 – Czekam na ciebie jutro.

 – A czekaj sobie! Czekaj tatka latka…

 – A pojutrze wyjeżdżam.

 – Jak to? Ależ ty… ty przecież… A ja?

**ROZDZIAŁ 1: Kim jestem, jak poznałem ciocię Elli i co z tego wynikło.**

 Urodziłem się w bogatej i znamienitej rodzinie. Mój ród liczył wiele pokoleń i był bardzo poważany. Gdyby Bóg dał mojemu ojcu nieco więcej ambicji, mógłby pretendować do tronu królewskiego, ale to go nie interesowało. Może, gdyby nie smoczyca, tron zainteresowałby mnie? Nie wiem. Trudno mi powiedzieć, co by było, gdyby… W każdym razie miałbym do tego pełne prawo. Od dzieciństwa byłem dosyć energiczny i przedsiębiorczy, uparty i bardzo wytrwały. W odróżnieniu od ojca potrafiłem wytyczyć sobie cel i osiągnąć go. Mój ród, jak już wspomniałem, był stary i bardzo poważany, skarbiec zamkowy też nie był pusty. W razie pojawienia się konkurenta do tronu mógłbym go wyzwać na pojedynek prawie bez obawy o własne życie. Mało kto mógł mi dorównać w umiejętności władania dwuręcznym mieczem, jak również każdą inną bronią. Nie krępowałem się go obnażać, choć prawie nigdy nie zabijałem przeciwnika. Dla mnie największą przyjemnością było go rozbroić, nie odnosząc przy tym ani jednego zadrapania, obalić go na ziemię, przyłożyć mu do piersi ostrze miecza, a potem roześmiać się, obracając wszystko w żart, pomóc mu się podnieść i pochwalić jego umiejętności władania bronią. Nie wiem, czego było w tym więcej: wrodzonej szlachetności, odziedziczonej po ojcu, czy wpływu smoczycy? Zresztą czy można to rozdzielić? Ale dość już tych aluzji, zacznę od początku i po kolei.

 Pierwszy raz zobaczyłem smoczycę, kiedy miałem zaledwie miesiąc. Oczywiście sam tego nie pamiętam, ale dzięki licznym relacjom świadków wyobrażam to sobie tak jasno, jakbym nie leżał na rękach matki, a prowadził całą procesję.

 Zgodnie z dawną tradycją wszystkich nowych członków rodu Kongów pokazywano smoczycy w pierwszym roku ich życia. Przywiązywano do tego bardzo dużą wagę. Dość dziwna tradycja, zwłaszcza, jeśli uwzględnić, że smoczyca była w zamku jeńcem i dlatego w niczym nie mogła brać udziału, a poza tym trzymano ją w kiepskich warunkach. Zazwyczaj była to bardzo skromna ceremonia. Ojciec, matka, noworodek, jeden albo dwóch ludzi z pochodniami i człowiek, obsługujący smoka. Ojciec mamrotał ustalony tekst, oślepiona światłem pochodni smoczyca mrużyła oczy i wszyscy śpieszyli się, żeby z ulgą opuścić mroczne i zimne piwnice. Tak było prawie zawsze, ale nie w moim przypadku. Samych pochodników, towarzyszących procesji, było ponad dwudziestu. Przed naszą wizytą ojciec kazał usunąć błoto oraz umyć podłogę i ściany. Łuski smoczycy pucowano szczotkami, więc i jej oczy zdążyły przyzwyczaić się do jasnego światła. Jak twierdzili najstarsi uczestnicy, smoczyca pierwszy raz od wielu lat przejawiła większe zainteresowanie tym, co się wokół niej dzieje. Nie tylko odpowiedziała na rytualne słowa ojca, lecz także poprosiła o przeniesienie mnie bliżej, nazwała pełnym tytułem i życzyła wiele dobrego. Co konkretnie powiedziała, nie udało mi się wyjaśnić, każdy ze świadków z nią samą włącznie podawał inną wersję, ale nie ulegało żadnej wątpliwości, że te słowa były dobre, ciepłe i uprzejme.

 Po złożeniu przez smoczycę przysięgi, że nie zrobi mi krzywdy, ojciec pościelił swój płaszcz na kamiennej płycie, służącej jej jako stół, matka położyła mnie na tym płaszczu, rozwinęła pieluszki, a smoczyca dokładnie mnie obejrzała i obwąchała.

 – Rośnij na wielkiego i silnego, mały człowieku – powiedziała i liznęła mnie w ramię.

 Moje drugie spotkanie ze smoczycą odbyło się w cztery i pół roku później, Uzbrojony w kaganek i drewniany miecz, poszedłem zbadać podziemia zamku. Beznadziejnie zgubiłem się w nich jeszcze zanim w kaganku skoczył się olej, jednak uświadomiłem to sobie dopiero, kiedy otoczył mnie mrok. Teraz już nie da się określić, jak długo błądziłem w ciemności, macając drogę mieczem i nabijając sobie siniaki i guzy o wszystkie napotykane przedmioty po kolei, ale moja sytuacja była beznadziejna. Ojca w zamku nie było. Specjalnie wybrałem czas, kiedy on i większość mężczyzn wyjechali na polowanie. A matce powiedziałem, że pójdę na rzeczkę ze swoimi przyjaciółmi z wioski. Mojej przyjaźni z wioskową dzieciarnią matka nie pochwalała, ale i nie przeciwstawiała się jej, gdyż tam był nade mną przynajmniej jako taki nadzór. Oczywiście w tym wieku nie zdawałem sobie sprawy z całej powagi sytuacji. Zaczęto by mnie szukać dopiero pod wieczór, no i nie w zamku, a poza nim, oraz pewnie na dnie rzeczki. Moich przyjaciół bezlitośnie wychłostano by, wypytując, gdzie i kiedy widzieli mnie po raz ostatni. Tego wszystkiego nie wiedziałem, ale byłem zmęczony, głodny, zmarznięty i bardzo spragniony. O podziemiach zamku opowiadano mnóstwo strasznych historii, i wszystkie, co do jednej, przypomniały mi się, kiedy siedziałem na zimnym stopniu kamiennych schodów, jedynych, które udało mi się znaleźć w ciemności, ale prowadzących w dół, a nie w górę. Najmądrzej byłoby po prostu zawołać o pomoc, ale bałem się, że na mój krzyk pojawi się Czarny Upiór. Siedziałem więc na stopniu przysłuchując się w milczeniu wszystkim podejrzanym szmerom, aż, zamęczony do reszty wyobrażanymi niebezpieczeństwami, rozpłakałem się.

 – Kto tu płacze? Nie trzeba płakać – niespodziewanie usłyszałem miły żeński głos.

 – Zabłądziłem. I zgasł mi kaganek – odrzekłem.

 – To źle. Ja, niestety, nie wiem, jak wyjść z podziemia, ale wieczorem tu przyjdzie człowiek. Jeśli będziesz w pobliżu, zaprowadzi cię na górę albo, jeśli wolisz, przekażę mu, że zgasł ci kaganek, a on wezwie ludzi z pochodniami i szybko ciebie znajdą.

 Na dźwięk ludzkiej mowy wszystkie moje strachy ro\zwiały się jak dym. Macając drogę mieczem, niedługo zbliżyłem się do drzwi, zza których dochodziła. Drzwi nie były zamknięte na klucz, ale ciężkie i masywne, więc musiałem długo się męczyć, zanim je otworzyłem. Skądś dochodził szmer bieżącej wody.

 – Jak się nazywasz, młody człowieku? – usłyszałem pytanie.

 – Jestem John z rodu Kongów.

 – Mogłabym się sama domyśleć. Ostrożnie, tu jest stopień.

 – Widzisz w takiej ciemności?

 – Odrobinę. My, smoki, widzimy w bliskiej podczerwieni.

 Zamarłem. Każdy pies w promieniu stu kilometrów wiedział, że Kongowie trzymają w podziemiach żywego smoka, ale wpaść tak po ciemku prosto w jego legowisko… Powiedzieć, że się przeraziłem – to tyle, co nic nie powiedzieć.

 – Jeśli zrobisz cztery kroki w lewo – kontynuowała w międzyczasie smoczyca – to znajdziesz szeroką ławkę. Możesz na niej usiąść albo nawet się położyć.

Jak we śnie zrobiłem cztery kroki i rzeczywiście natknąłem się na ławkę.

 – Wydaje mi się, że ty się mnie boisz – powiedziała smoczyca w zamyśleniu.

 – Smoków wszyscy się boją – odpowiedziałem dzielnie.

 – A ja boję się szczurów. Kiedyś na pewno się do mnie dobiorą.

 – Czyżby smoki też czegoś się bały?

 – Oczywiście, że się boją, mały Johnie z Zamku Kongów.

 Strach mijał. Poza tym wręcz oszałamiająca wiadomość, że smoki też czegoś się boją, wyparła wszelkie poprzednie wrażenia. No i miałem w ręce miecz.

 – Nie trzeba nazywać mnie małym. Urosnę i zostanę właścicielem zamku.

 – Ale jeszcze nie urosłeś. No dobrze, nie będę. Jak to się stało, że zabłądziłeś w piwnicy?

 Zacząłem opowiadać, a smoczyca zadawała mnóstwo pytań, aż opowiadanie o badaniu podziemi przekształciło się w powieść o życiu zamku i jego mieszkańców. Choć w pomieszczeniu smoczycy było nieco cieplej niż w korytarzu, szybko zacząłem drżeć całym ciałem i dzwonić zębami z zimna.

 – Kompletnie zziębłeś, maluchu. Jeśli się nie boisz, możesz podejść i przytulić się do mnie.

 Zrobiłem to. Okazało się, że w ścianie był otwór i w tym pomieszczeniu znajdowały się tylko głowa i szyja smoczycy, a ciało, łapy i ogon były gdzieś za ścianą. Na prawo od smoczycy wyżłobionym w podłodze rowkiem płynęła woda. Smoczyca powiedziała, że można ją pić, więc się napiłem. Była smaczna, ale bardzo zimna. Za radą smoczycy przesunąłem ławkę, wlazłem na nią, a z niej na smoczą szyję, usiadłem na niej jak na koniu, a potem położyłem się. Było mi niewygodnie, czułem pod sobą owalne, nieco wypukłe, twarde jak kamień łuski, ale za to cieplej; niedługo przestałem drżeć, choć ciągle odczuwałem chłód. Smoczyca zaczęła opowiadać mi bajki, zadziwiające bajki, w których zawsze wszystko dobrze się kończyło. Czas jednak mijał, a nikt nie przychodził.

 – Pani smoczyco, a czy szybko przyjdzie ten, o którym pani mówiła?

 – Możesz nazywać mnie ciocią Elli, a pełne moje imię brzmi Elana. Szczerze mówiąc, sama nie wiem, dlaczego Oorton się spóźnia.

 Znałem Oortona. Był to starszy, tęgi mężczyzna ze strzechą siwych, dawno nieczesanych włosów. Do jego obowiązków należało karmienie smoczycy i wszystkich pozostałych więźniów, o ile tacy byli. Z reguły zresztą ciemnice zamku były puste. Ojciec mówił, że nie ma po co mnożyć darmozjadów. Jeśli winny zasługiwał na śmierć, to trzeba go zabić, a jeśli nie –wychłostać, napiętnować, założyć obrożę – i niech pracuje.

 – Dziwne – powiedziała smoczyca. – Niedługo kolacja, a nikt tu nie przychodzi.

 – Skąd wiesz o kolacji?

 – Spójrz w lewo. A prawda, ty tu nie widzisz. Gdy następny raz przyjdziesz z pochodnią lub z kagankiem, spójrz w lewo. Tam jest odwietrznik systemu wentylacyjnego, łączącego to pomieszczenie, salę jadalną i jeszcze pięć czy sześć pokoi. Jeśli dobrze się wsłuchasz, usłyszysz, jak plotkuje służba, nakrywając do stołu. A z prawej strony jest odwietrznik, prowadzący do kuchni. Tam znają wszystkie nowiny. Ale zawsze tak stukają naczyniami… Dosłownie wariuję, kiedy naczynia myje jedna taka…kłótliwa. Stuka talerzami jakbyspecjalnie głośno.

 Wsłuchałem się, ale nic nie usłyszałem.

 – To dlatego, że nie masz tak wielkich uszu, jak ja – wyjaśniła smoczyca. – A ja słucham ich rozmów całymi dniami. Mogę założyć się o własny ogon, że znam głosy wszystkich mieszkańców zamku. Ale gdybyś wiedział, jak to dziwnie bywa usłyszeć tylko środek historii. Przez tydzień łamałam sobie głowę, kto to jest ta Garcia, która choruje. Przeżywałam za nią, wymyśliłam jej życiorys. A ty powiedziałeś mi, że to… chart. Oj, John, przecież mówiłeś, że twój ojciec wyjechał na polowanie. Kiedy wróci?

 – Chyba jutro. A może pojutrze. W każdym razie dzisiaj przenocują u sir Snowa.

 – To niedobrze. Jeśli gospodarza nie ma w zamku, czasami nie dostaję kolacji.

 Tym razem słowo „kolacja” przypomniało mi, że jestem okropnie głodny. Już miałem się rozpłakać – i nagle głośno kichnąłem.

 – O mój Boże! – Zaniepokoiła się smoczyca. – Tak dalej nie można, musimy coś z tym zrobić. Słuchaj mnie uważnie, Johnie z rodu Kongów. Zaraz wezwę ludzi, a ty wyjdziesz na korytarz i nigdy nikomu nie opowiesz, że byłeś u mnie, obiecujesz?

 – Nawet mamie, ciociu Elli?

 – Zwłaszcza mamie. Niech to będzie nasza tajemnica. Jeśli komuś opowiesz, będę miała masę nieprzyjemności. Ty zresztą też. Tak, że: czek-czek-czek – milczek.

 – Czek – milczek – powtórzyłem i położyłem palec na ustach.

 – A teraz złaź ze mnie, odsuń ławkę na miejsce, zatkaj uszy i otwórz usta.

 Zrobiłem tak. Pierwszy krzyk nie był aż tak głośny, ale drugi… Smętne wycie zakręciło się, zagruchotało kamiennymi echami, jak w worku. Więc to tak było z tym Czarnym Upiorem! Usiadłem na podłodze, wcisnąłem głowę między kolana, ale od ryku nie było ratunku. Od niego pękała mi głowa i trzęsło się całe moje ciało.

 –Teraz to już na pewno ktoś przyjdzie. Mamy taką umowę. O, słyszysz? Na górze trzasnęły drzwi. Idź na korytarz i zachowuj się tak, jakbyś chodził po podwórzu – smoczyca udzieliła mi dalszych instrukcji, co mam mówić. – Aha, i nie zapomnij laski.

 – To miecz. Do widzenia, ciociu Elli.

 – Do widzenia, młody Johnie… Chwileczkę!... Czy ten miecz… nie jest przypadkiem zrobiony z brzozy? – W głosie smoczycy zabrzmiała nieśmiała nadzieja.

 – Z brzozy. Zrobił mi go papa.

 – John… Nie mógłbyś mi go podarować? Proszę cię…

 Ukląkłem na jedno kolano, pocałowałem miecz i położyłem go przed smoczycą. Tak raz zrobił sir Lasley, wasal ojca, a potem ojciec podniósł miecz i trzy racy poklepał nim sir Lasleya po ramieniu.Było to bardzo piękne i triumfalne.

 – Dziękuję, John. Nie zapomnę ci tego, słowo smoka. Ale teraz musisz już iść.

 Kierowany przez smoczycę doszedłem do drzwi i zamknąłem je za sobą. Niedługo za zakrętem korytarza zamajaczyło światło pochodni. Poszedłem na spotkanie.

 – Witaj, Oortonie. Dobrze, że cię spotkałem, bo zgasł mi kaganek.

 – Święta panno, to panicz! I nie strasznie paniczowi brodzić w ciemności?

 – Kongowie nie boją się niczego!

 – Zaraz odprowadzę panicza na górę.

 – Nie trzeba, Oortonie, ja się nie śpieszę. Przyszedłeś tu przecież w innej sprawie.

 Mówiłem tak, jak nauczyła mnie smoczyca, i to dosłownie oszołomiło starszego człowieka. Nigdy by się nie spodziewał usłyszeć od czteroletniego dziecka tak rozsądnych słów. Pokłonił mi się, po czym skierował się ku drzwiom, które przed chwilą zamknąłem.

 – No, co się tym razem stało? – zapytał.

 – Tu przebiegł szczur – odrzekła smoczyca.

 – Co za bzdura? Tu nigdy szczurów nie było. Jak będziesz zmyślać, przez tydzień nie dostaniesz żarcia.

 – Tu przebiegł szczur. – Upierała się przy swoim smoczyca. Wyglądając zza pleców Oortona zobaczyłem, że ma łuski jasnozielone, jak liść sałaty, a paszczę tak ogromną, że, podkuliwszy nogi, zmieściłbym się w niej w całości.

 – Widziałem szczura. Przebiegł tam. – Wskazałem dalszy koniec korytarza.

 Oorton obejrzał się na mnie z niezadowoleniem, przyświecając sobie pochodnią przy podłodzeobszedł wszystkie kąty, sprawdził drzwi i futrynę.

 – Nie ma żadnej szczeliny. Gdzie on mógł się podziać?

 – Uciekł przez ściek.

 Oorton z niedowierzaniem poruszył wargami.

 – Dobrze, jutro postawię pułapkę.

 Następnego ranka z trudem mogłem mówić. Oczy mi poczerwieniały, z nosa ciekło. Matka pomyślała, że zbyt długo kąpałem się w zimnej wodzie. Cały dzień leżałem w łóżku i piłem znienawidzone gorące mleko z miodem. Pielęgnowały mnie damy dworu mamy, cackały się ze mną, jęczały, stękały, ale uciec od nich nie mogłem w żaden sposób. Muszę jednak uczciwie przyznać, że gorące mleko mi pomogło. Kiedy na trzeci dzień przyjechał ojciec, prawie przestałem już kichać, więc tylko skarcił mnie, słuchając przejętego opowiadania matki.

 Z okazji udanego polowania wydano ucztę, na której, oczywiście, zjedzono znacznie więcej, niż zdobyli myśliwi, a następnego ranka wszystko się wydało.

 Dopiero co zjadłem śniadanie i miałem zamiar wybiec na powietrze, gdy zauważyłem Oortona, zmierzającego w kierunku pokojów mojego ojca. Nie byłoby w tym nic niezwykłego, gdyby nie przedmiot, który trzymał w ręce. Mogłem się mylić, ale ten przedmiot przypominał rękojeść mojego drewnianego miecza.

 Pobiegłem piętro wyżej, położyłem się na parapecie i wysunąłem głowę na zewnątrz.

 – … mogła go pożreć.

 – Mówisz, że krzyczała?

 – Tak. A potem powiedziała, że przestraszyła się szczura.

 – A mój syn nie był przestraszony?

 – Ani trochę.

 – Powiedz mi, Oorton, czy ty byś się nie przestraszył, gdyby na ciebie napadł smok?

 – Oczywiście, wasza ekscelencjo.

 – Ja też tak myślę. Pozostaje druga możliwość.

 – Co, wasza ekscelencjo?

 – Winny poniesie karę. Przyślij do mnie mojego syna i rozkaż kowalowi przygotować wiaderko z żarem.

 Zrobiło mi się strasznie. Nie poczuwałem się do żadnej winy, ale ciocia Elli bała się, że dorośli dowiedzą się, że byłem u niej. I oto się dowiedzieli… Jedno wiedziałem na pewno: ukrywanie się nic nie da. Zacząłem powoli schodzić ze schodów i zaraz zobaczył mnie ojciec.

 – Chodź ze mną, John –powiedział. Miał w ręce bicz.

 Kiedy weszliśmy do kuźni, kowal wygarnął już z pieca czerwone węgle i wkładał je do żarów. Ojciec rzucił bicz na stół, wziął długi żelazny pręt i wsunął go do wiaderka.

 – Byłeś w gościnie u smoczycy i zostawiłeś tam to – mówiąc to, rzucił na stół kawałek mojego drewnianego miecza. – Chcę wiedzieć, co zaszło między tobą a smoczycą. Jeśli zszedłeś do podziemi, żeby ją dręczyć, zbiję cię tak, żebyś na całe życie zapamiętał, że obrażanie bezbronnych i zniewolonych jest ohydne i podłe. A jeśli smoczyca pierwsza napadła na ciebie, wypalę jej oczy rozżarzonym żelazem. Więc: czy ona pierwsza napadła na ciebie?

 –Nie.

 – Przyjemnie wiedzieć, że mój syn rośnie na dzielnego człowieka. Ale w takim razie to ty drażniłeś ją swoją pałką, wyobrażając sobie, że jesteś rycerzem, pokonującym smoka. Szydziłeś z niej, dopóki nie krzyknęła i nie odgryzła ci miecza.

 – Nie, tato.

 – A jak wyjaśnisz, dlaczego twój ogryziony miecz leżał koło smoczycy?

 – Nie wiem.

 Oczywiście, moja ostatnia odpowiedź była nieprzekonywująca i nic nie wyjaśniała. Ale co miałem robić? Obiecałem przecież smoczycy milczeć. Zresztą naprawdę nie wiedziałem, dlaczego z miecza został tylko kawałek wielkości dłoni.

 – Synu, spójrz mi w oczy. Wiesz, że krzywoprzysięzcy to ludzie najbardziej godni pogardy. Na tym świecie nikt ich nie poważa, a po śmierci będą płonęli w ognistej gehennie. Pomyśl dobrze i powiedz, czy możesz przysiąc, że nie obraziłeś smoczycy ani słowem, ani czynem?

 Zamyśliłem się. Może niezbyt uprzejmie było leżeć na jej szyi, ale sama mi to zaproponowała. I sama kazała nazywać się ciocią Elli. Gdyby nie kazała, tytułowałbym ją z szacunkiem: lady smoczyco. Może nie pożegnałem się z nią, kiedy odchodziłem? Ale ona tak mnie poganiała. Zresztą dokładnie nie pamiętałem. Jeśli zapomniałem, zrozumie, że to nie złośliwie.

 – Przysięgam, tato.

 Oczy ojca zwęziły się, jego twarz pokryła się czerwonymi plamami. Przez całą minutę miałem wrażenie, że zaraz mnie uderzy.

 – Cóż, w sądzie słowo lorda, nawet młodego, więcej waży niż słowo dziesięciu świadków. Stefan, weź kołat, żary, dwóch pochodników i idziemy do ciemnicy. Synu, pójdziesz z nami.

 Kołat to taki drewniany pobijak do ostukiwania cedrów. Coś w rodzaju młotka, ale wielkości człowieka.

 – Tato, po co kołat?

 – Żeby ogłuszyć smoczycę, oczywiście. Wypalanie jej oczu przy pełnej świadomości byłoby już zbyt okrutne.

 Nogi się pode mną ugięły. Nic nie rozumiałem. Za co? Dlaczego? Co jest złego w tym, że spędziłem kilka godzin w jej ciemnicy?

 – Nie waż się jej obrażać! – wykrzyknąłem i rzuciłem się na ojca, bijąc go piąstkami po biodrze. – Nie ruszaj jej!Ciocia Elli jest dobra, miła, nie odważysz się jej obrażać!

 Ojciec opędził się ode mnie jak od uprzykrzonej muchy, ale kowal, Stefan, który już wychodził z kuźni, zamarł w pół kroku z otwartymi ustami.

 – Wasza ekscelencjo, panicz powiedział „ciocia Elli”?

 – Kto to jest ciocia Elli? – zapytał ojciec.

 – Lady Elana, smoczyca – odpowiedziałem nieśmiało.

 – Kto ci pozwolił tak ją nazywać?

 – Ona sama.

 Ojciec potargał siebie za płatek ucha, jak robił zawsze, kiedy był w niepewności.

 – Opowiedz o wszystkim, co zaszło w piwnicach zamku.

 – Nie mogę. Obiecałem milczeć.

 – Ja, twój ojciec, władzą lorda zwalniam cię z tej obietnicy. – Ojciec majestatycznie wyciągnął rękę nad moją głową.

 I opowiedziałem. A co miałem robić? Ojciec usiadł na ławce i długo milczał.

 – Zupełnie nie pomyślałem o trzeciej możliwości… Co za wstyd! – wymamrotał wreszcie, chwycił mnie, postawił na swoich kolanach i przycisnął twarz do mojej piersi. – Muszę przeprosić i ciebie, i smoczycę. Wybacz mi, synu. Źle o tobie pomyślałem.

 Potem wziął mnie na ręce i w towarzystwie Stefana i Oortona, niosących pochodnie, zeszliśmy do podziemi.

 – Lady Elano, dziękuję pani za to, że pani nie tylko nie rozszarpała mojego syna, lecz także okazała mu współczucie i zatroszczyła się o niego. Składam pani za to najserdeczniejsze podziękowania i będę pani wdzięczny do końca swoich dni.

 – Nie widzę – rzuciła wściekle smoczyca.

 – Czego pani nie widzi?

 – Ani dziękczynienia, ani wdzięczności. Widzę tylko kpinę z honoru smoka.

 – Wybaczy pani?

 – Widzę, że wy, ludzie, za nic macie słowo smoka. Czy to nie kpina?

 – Nie zrozumiałem?

 – Ludzie zawsze wyróżniali się krótką pamięcią. Cztery lata temu w tym samym miejscu na pańskie żądanie dałam słowo, że nie zrobię krzywdy młodemu Johnowi z rodu Kongów.

 – Ale ta przysięga nie zobowiązywała pani do troszczenia się o mojego syna.

 – A czy John z rodu Kongów jest moim wrogiem? Czy to on zamurował mnie w tej piwnicy? I w ogóle za kogo pan nas uważa? Za krwiożercze potwory pożerające małe dzieci? Proszę stąd wyjść i nie rozdrażniać mnie. Pańskiej wdzięczności mam po dziurki w nosie.

 – Przepraszam, lady Elano, widocznie bardzo źle wyraziłem swoją myśl. Ja tylko chciałem okazać pani swoją wdzięczność.

 – Ach, lordzie Riley, przecież ja nie mam do pana osobiście nic. Po co więc te puste słowa, przynoszące mi tylko ból i niespełnione nadzieje?

 – Na Boga, czyżbym znowu powiedział coś nie tak?

 – Słowa, za którymi nie idą czyny, to puste drgania powietrza. A jeśli pan nie wie, jak wyrazić mi wdzięczność, to niech pan rozbije tą ścianę i wypuści mnie na wolność.

 – Ale pani przecież zna przesłanie, wie pani, że składałem przysięgę…

 – Wyjdźcie już, proszę! – głos smoczycy zadzwonił, po policzku potoczyła się łza.

 – Jak chłopca, do diabła, jak małego chłopca – mamrotał ojciec, kiedy wychodziliśmy na światło dnia.

**ROZDZIAŁ 2: Jak ciocia Elli znalazła się w naszym zamku.**

 Długo zastanawiałem się, o jakim podaniu mówił ojciec. I co to za zagadkowa przysięga, niepozwalająca uwolnić cioci Elli? Serce podpowiadało mi, że z takimi pytaniami lepiej się do ojca nie zwracać. Dwa dni się męczyłem, po czym postanowiłem zapytać samą smoczycę. Zaraz po obiedzie wziąłem dopiero co napełniony kaganek i zszedłem do piwnic. Od razu zaczęły się komplikacje. Kaganek, od którego chciałem zapalić swój, wisiał za wysoko. Podsunąłem ławkę, stanąłem na niej na palcach i przechyliłem swój kaganek nad płonącym, żeby zapalić knot. Knot się nie zapalił, tylko olej pociekł na podłogę. Dorosłym wszystko zawsze wychodziło łatwo i prosto, a mój za nic nie chciał się zapalić. Puściłem ścianę i drugą ręką pochyliłem płonący kaganek. Widocznie knot trzymał się tam na słowo honoru, bo zaraz wypadł. Słoma na podłodze momentalnie zapłonęła. Z zaskoczenia aż się zakołysałem, pochyliłem kaganek i płonącą słomę polałem olejem. Ogień przygasł, ale od razu buchnął z nową siłą. Stałem i patrzyłem na płomień, buszujący między nogami ławki, i już miałem się rozpłakać, gdy nagle z tyłu rozległy się przekleństwa i zaraz poleciałem w kąt, zrzucony z ławki silnym policzkiem. Olbrzymia ciemna figura stanęła wprost w ogniu i zadeptywała języki płomieni butami! W kilka sekund nastąpiła ciemność. Powietrze wypełniło się gryzącym dymem, w oczach zapiekło. Gruba łapa namacała moje ucho, pociągnęła do wyjścia. Zanim za zakrętem zamigotał następny kaganek, kilka razy boleśnie uderzyłem się o wystające kąty.

 – Ba, ależ to młody lord! – Łapa puściła moje ucho, ale zaraz mocno złapała za rękę. Popatrzyłem w górę – to był Oorton. Taszczył mnie do gabinetu ojca. Kątem oka zobaczyłem, że Sara, jedna z dworek mojej mamy, zauważyła nas i biegiem zniknęła za drzwiami: ratunek był blisko.

 Zanim jednak do gabinetu ojca wpadła matka, Oorton zdążył opowiedzieć, jak wywołałem pożar, a ja musiałem potwierdzić, że tak właśnie było.

 – Mam nadzieję, że obchodziłeś się z młodym lordem z należytym szacunkiem? – surowo zapytał ojciec Oortona. Ten zmieszał się.

 – Szczerze mówiąc, wasza ekscelencjo, dopiero, kiedy rozpoznałem panicza. Początkowo myślałem, że to jeden z nicponi Flory.

 – Za to zasłużyłeś na chłostę, chyba, że… – Ojciec surowo popatrzył na mnie. – Chyba, że młody lord ci wybaczy.

 – Wybaczam ci, Oortonie – wymamrotałem, patrząc w podłogę.

 Matka wzięła mnie na ręce, chciała wynieść, ale ojciec zatrzymał ją.

 – Co chcesz z nim zrobić, mój panie? Ukarać? – Przestraszyła się.

 – Nauczyć go zapalania kaganka. – Uśmiechnął się ojciec i klepnął poniżej pleców, ale nie mnie, tylko mamę.

 – Ciociu Elli, a co się stało z moim mieczem? – zapytałem, siedząc na skraju kamiennego stołu i machając nogami. Smoczyca się stropiła.

 – Wybacz mi, mały lordzie, zjadłam go. Był taki smaczny. Tak dawno nie jadłam prawdziwego drewna. Ale kawałek upadł za stół i nie mogłam się do niego dostać mimo wielu prób.

 – Opowiedz mi podanie.

 – Przyjdzie czas, i ojciec sam ci je opowie.

 – Opowie, ale teraz chcę je usłyszeć od ciebie.

 – O-o, bardzo mądrze, młody lordzie. Zawsze staraj się wysłuchać obu stron, a dopiero później podejmij decyzję. Ale najpierw opowiem ci swoją historię.

 Ponieważ od siedzenia na kamiennym stole było mi zimno w uda, usiadłem na ławie jak na koniu i zamieniłem się w słuch.

 – Może jeszcze o tym nie słyszałeś, ale ludzie mieszkają na Tancie dopiero od niespełna czterystu lat. Przedtem wszyscy żyli na Ziemi. Ale kiedy życie zaczęło się za szybko zmieniać, ci, którzy chcieli żyć po staremu, zebrali się razem, przesiedlili się na Tantę i zerwali kontakt z resztą ludzkości. Minęło sto-ileś-tam lat, i ja, na swoje nieszczęście, postanowiłam sprawdzić, czy dobrze im się żyje, czy nie potrzebują pomocy i czy aby nie pragną powrócić. Ale całe nieszczęście polegało na tym, że ta planeta to rezerwat dzikusów. – Smoczyca smutno opuściła kąciki warg. – Tu surowo zakazano przybywać komukolwiek, a już szczególnie smokom. Dookoła planety lata sputnik-stróż, który ma uprzedzać wszystkich, że nie wolno na niej lądować, a jak ktoś nie posłucha – wezwać pomoc. Ale my, smoki, jesteśmy okropnie mądrym narodem. Skonstruowałam dokładnie taki sam sputnik, ale nauczyłam go nie zwracać uwagi na mnie i mój kuter. Wiesz, to tak, jak mądry pies nie szczeka na gospodarza. Potem zapisałam się na całe wakacje do GSP – Grupy Swobodnych Poszukiwań. Dali mi stary kuter międzyplanetarny. I znowu wszystkich oszukałam. Powiedziałam, że lecę zupełnie gdzie indziej, starłam zapis w komputerze – to coś trochę jak zeszyt – i wyszłam z zero-t tutaj. John, zapamiętaj, że byłam młoda, zupełnie głupiutka i postąpiłam bardzo źle. W żadnym wypadku nie bierz ze mnie przykładu. Obliczyłam wszystko tak, że sputnik–stróż znalazł się tuż przed mim kutrem. No i przyszła na niego kryska. Przejechałam po nim laserem i nawet nie zdążył powiedzieć „miau”. Nic nie mów, John! Oczywiście, że postąpiłam bardzo źle. Ale wypuściłam na orbitę swój sputnik i planeta nie została bez dozoru. Lepiej bym tego nie robiła. –Westchnęła ponuro. – Wtedy po tygodniu by mnie znaleźli, wystrofowali i zawrócili do domu.

 Przyznaję, że mało co zrozumiałem z tej opowieści o sputnikach, tylko tyle, że to nie są ani psy, ani koty, ani smoki, ale żyją bardzo długo. A ciocia Elli kontynuowała:

 – Dla kutra to i tak był ostatni lot. Wrócić miałam przez jego komorę zero-t, ale on sam miał pozostać w tym systemie. Teoretycznie i jego można byłoby wyciągnąć, ale bardzo trudno zogniskować aparaturę z odległości kilku lat świetlnych dokładnie na kutrze. Najmniejsza pomyłka – i już zamiast kutra można wyciągnąć tylko pół kutra z połową pilota. Bardzo szybko określiłam swoje współrzędne, wprowadziłam kuter na orbitę Tanty i zaczęłam tworzyć mapy. W pamięci kutra były mapy fizyczne, ale nie było na nich ani miast, ani wiosek.

 – Ciociu Elli, ja nic z tego nie rozumiem.

 – Przepraszam, mały lordzie, za bardzo dałam się ponieść opowieści i użyłam nieznanej tu terminologii. Spróbuję mówić prościej. A jak przytrafi się niezrozumiałe słowo, zapytaj.

 – Dobrze, ciociu Elli.

 – Gdy na mapę zostały naniesione wszystkie, nawet najmniejsze wioski, postanowiłam wylądować w górach.

 – W Górach Wschodnich?

 – Tak, one powinne być na wschód stąd. Chciałam wylądować w nocy, żeby nie straszyć ludzi. I wylądowałam… Ależ wylądowałam! Wiesz, co to jest lawina?

 – To jak dużo śniegu spada?

 – Zgadza się. Śnieg na lodowcu bywa bardzo zdradziecki… Spuściłam taką lawinę… Nie widziałeś takiej w życiu i pewnie nigdy nie zobaczysz. Kuter toczył się po zboczu jak piłka, toczył się i podskakiwał. Dopóki nie pękły pasy, którymi byłam przywiązana, nie było jeszcze tak źle, ale kiedy pękły… Tego się nie da wyrazić słowami i lepiej o tym nie wspominać.

 – Mama opowiadała, że marynarze podczas sztormu przywiązują się do masztu.

 – Twoja mama na pewno dużo czytała. Też byłam przywiązana, tylko nie do masztu, a do siedzenia pilota. Słuchaj dalej, młody lordzie. Kula na nóżkach nie jest najwłaściwszym kształtem dla kutra desantowego. Nigdy do takiego nie wsiadaj. Kiedy mój dotoczył się na dno wąwozu, nie miałam na ciele ani jednego zdrowego miejsca. Wyjrzałam zobaczyć, czy dobrze leży, i ujrzałam tuż za sobą pędzącą lawinę. W ostatniej chwili wzbiłam się w powietrze, a kuter zasypało. Śniegu było tyle, że nie było żadnej możliwości odkopania pojazdu. W górach było zimno, więc poleciałam na dół, na przedgórze. Byłam cała potłuczona, skrzydła mnie bolały, ale jakoś udało mi się dolecieć do tego miejsca. Wylądowałam na brzegu rzeczki i straciłam przytomność. A kiedy ją odzyskałam, koło mnie był sir Thomas ze swoim zastępem. Całe moje ciało było tak opuchnięte, że nie mogłam latać, tylko pełzać i jęczeć. Wiedz, maluchu – uśmiechnęła się Elana – że jeśli wziąć smoka za ogon i postukać im o kant odpowiednio wielkiego stołu, to następnego dnia będzie bezradny jak ślepe kocię. A ponieważ ze mną coś takiego przydarzyło się pierwszy raz w życiu, bardzo się przestraszyłam. Powiem ci w tajemnicy: ja w ogóle jestem wielkim tchórzem. Poprosiłam sir Thomasa o pomoc, i opowiedziałam mu, co mi się przydarzyło. Roześmiał się i powiedział, że zrobi sobie zbroję ze skóry smoka, której, jak słyszał, nie przebije ani miecz, ani strzała. Odpowiedziałam mu, że skóra smoka nie jest aż taka twarda. Wtedy on wyjął miecz i uderzył mnie w skrzydło. Poszła krew, sir Thomas strasznie się zdenerwował, że moja skóra na nic się nie nadaje i chciał uciąć mi głowę, żeby upiększyć nią swoją salę jadalną. Błagałam go, żeby tego nie robił. Gdybym wiedziała, co mnie czeka, błagałabym go o śmierć. Ale wtedy byłam jeszcze młodziutka i głupiutka, miałam zaledwie trzynaście lat, trzy razy tyle, co ty teraz. I bardzo chciałam żyć. Są trzy złote zasady dla tych, którzy trafili do niewoli: NIE WIERZ, NIE BÓJ SIĘ, NIE PROŚ. Zapamiętaj je, zapamiętaj na całe życie, młody lordzie, i nigdy nie powtarzaj moich pomyłek. Każda litera tych reguł zapisana jest krwią i cierpieniem. Jeśli którąkolwiek naruszysz, twoje cierpienia stokrotnie wzrosną, gdyż będziesz zależny od wroga. A teraz powtórz: jakie zasady wymieniłam?

 – Nie wierz, nie bój się, nie proś. Ciociu Elli, a czy mogę o tym opowiedzieć ojcu?

 – Oczywiście, że możesz. Ale słuchaj dalej. Sir Thomas wypytywał mnie i rozmyślał, jaką korzyść może osiągnąć z władzy nad smokiem. Pod groźbą miecza zmusił mnie do uznania się za jego niewolnicę, a ja w żaden sposób nie mogłam zrozumieć, po co mu to. Przecież chciałam dla wszystkich jak najlepiej. „I dla sir Yorka?” – pytał. „I dla sir Yorka też” – odpowiadałam. „Już tylko za to powinienem z ciebie ściągnąć żywcem skórę!” – krzyczał sir Thomas i bardzo się złościł. Potem zmienił taktykę. Jeśli przyleciałam, by pomagać ludziom, to znaczy, że i jemu też. Czyli powinnam zabić sir Yorka i wszystkich jego ludzi, zburzyć całkowicie jego zamek, a potem jeszcze dziesięć innych zamków, aż zostanie królem. Odmówiłam stanowczo, mówiąc, że stałby się King Kongiem, czyli królem małp.

 – Co to jest małpa? – zapytałem.

 – Zwierzę, od którego pochodzi człowiek, na Tancie go nie ma, tylko na Ziemi. A ten ich król to tylko legendarny okrutny potwór. Sir Thomasowi to się spodobało i przyjął nazwisko Kong. Gdy mu odmówiłam, kazał mnie związać. Jego ludzie obmotali łańcuchami moje łapy, wykręcili i związali na grzbiecie. Z bólu aż straciłam przytomność, a gdy ją odzyskałam, byłam tak dokładnie opakowana łańcuchami, że nie mogłam poruszyć ani ogonem, ani skrzydłem. Nieprzypadkowo on znalazł się tego dnia nad strumieniem. Postanowił wybudować tu zamek. Wygodne miejsce, obok kamieniołom. Jeśli zdjąć trzy-cztery metry gruntu, to pod nim jest jednolita skała, w której nie da się zrobić podkopu pod ściany zamku. I sir Thomas rozkazał budować zamek dookoła mnie. Ludzie pracowali, a on perswazjami i torturami próbował mnie złamać. Trudno sobie doprawdy wyobrazić, przez co ja wtedy przeszłam. Ależ on ze mnie szydził! Okazał się naprawdę godny przezwiska, które mu nadałam. Ale wszystko wytrzymałam! Jeśli mogę być z czegoś w swoim życiu dumna, to z tego, że wtedy się nie ugięłam. Zakrnąbrność i nieposłuszeństwo postanowił mnie zamurować. Czas akurat był spokojny i przez pięć lat nikt nie przeszkadzał sir Thomasowi męczyć chłopów pracą ponad siły. Spędził ich co najmniej dwa tysiące i kazał im pogłębić koryto strumienia do poziomu skały, zrobić dla wody tunel z kamiennych bloków spajanych najlepszym spoiwem, a potem znowu wszystko zasypać ziemią. Potem wymierzył działkę pod zamek i znowu kazał ludziom zdjąć cały grunt znad skalistego podłoża. Dopiero później zaczął wznosić mury i wewnętrzne konstrukcje zamku. Dla mnie przygotował szczególne miejsce: kamienne łoże z otworem nad strumieniem, żebym mogła się załatwić. Kiedy wszystko było gotowe, przetaszczyli mnie na miejsce, rozwiązali i wmurowali moje łapy i ogon. Pamiętam, że ogon okręcili dookoła drewnianego pnia i koniec przymocowali żelazną klamrą. Poczekali, aż spoiwo stwardnieje, położyli kolejną warstwę kamieni… I tak dalej, dopóki nie zamurowali mnie całkowicie. Za każdym razem, kiedy odzyskiwałam przytomność, bili mnie kołatem po głowie. Ale ja już zrozumiałam, że, jeśli nie wydostanę się szybko na wolność, to pozostanę w tej pułapce do końca świata. I nieprzerwanie walczyłam. I nieprzerwanie dostawałam kołatem. W końcu sir Thomasowi to się sprzykrzyło i wypalił mi oczy rozżarzonym pogrzebaczem. – Smoczyca uśmiechnęła się ponuro. – To szczególny wstyd, jeśli ci wypalają oczy zwykłym pogrzebaczem, gdyż nawet fałszerzom monet wypalają je rozżarzonym ostrzem miecza. Przez cały rok nic nie widziałam, a kiedy wzrok mi się odtworzył, nie było już na co patrzeć. Obejrzyj się, a zobaczysz to, czym ja się zachwycam, o ile się nie mylę, od dwudziestu dziesięcioleci.

 – Ciociu Elli, a podanie?

 – Ach, podanie… Wymyślił je sir Thomas Kong na dziesięć lat przed śmiercią, gdy rozwiały się ostatnie nadzieje, że będę dla niego walczyła. Puścił plotkę, że ród Kongów nie wymrze, a zamek pozostanie niezdobyty tak długo, póki w podziemiach uwięziony będzie smok. A dla gwarancji ułożył tekst ślubowania, w którym połączył prawo dziedziczenia tytułu i zamku z przysięgą niewypuszczania mnie na wolność oraz zabijania każdego, kto spróbuje to zrobić. Kiedy skończysz dwadzieścia jeden lat, też będziesz musiał ją złożyć.

 – Ależ ciociu Elli, ja wcale nie chcę jej składać.

 – Nie śpiesz się, chłopcze. Zanim przyjdzie twój czas składania przysięgi, będziesz kilka razy starszy. Zresztą ta przysięga nie przeszkodzi nam w pozostaniu przyjaciółmi, nieprawdaż?

 Czułem, że w tych słowach coś jest nie tak, więc nic nie odpowiedziałem. Ciocia Elli czule popatrzyła na mnie, trąciła nosem w ramię, mrugnęła porozumiewawczo i powiedziała coś zupełnie innego, niż oczekiwałem.

 – Biegnij na górę, chłopcze, bo jak nie, to w twoim kaganku skończy się olej i znowu zostaniemy w ciemności.

**ROZDZIAŁ 3: O podziemiach zamku i jak składałem przysięgę**

 Przekazałem ojcu rozmowę z Elaną tak dokładnie, jak tylko zdołałem. Ojciec długo nad nim rozmyślał, radził się najmądrzejszych ludzi, po czym przydzielił Oortonowi pomocnika specjalnie do zajmowania się smoczycą. Karmiono ją teraz tym, co zostało w kotłach kuchennych po ludziach z dodatkiem szczapek drewna, a łuski przecierano wilgotną szmatką co najmniej raz w tygodniu. A ja na poważnie zająłem się badaniem zamkowych podziemi.

 O tych podziemiach należy tu opowiedzieć dokładniej. Były bardzo duże, rozpościerały się od muru północnego do południowego i od wschodniego do zachodniego – krótko mówiąc, obejmowały cały plac, otoczony murami zamku. Zabudowania na górze wielokrotnie przebudowywano, ale piwnice pod nimi – nigdy. W większości podziemia były dwupiętrowe, a w tych niewielu miejscach, gdzie były jednopiętrowe, sale miały wysokość trzech dorosłych ludzi. Niewielką część piwnic wykorzystywano do przechowywania zapasów albo jako cele. Powietrze w podziemiach było przez cały rok zimne i zadziwiająco suche, więc zapasy długo się nie psuły. W trzech salach zachowały się przykute do ścian szkielety. Kiedy przyprowadzano nowych więźniów, zawsze przeprowadzano ich przez te sale. Sporo pomieszczeń i kątów było pełnych przeróżnych gratów, które z powodzeniem można byłoby spalić. Ale większości pomieszczeń chyba nikt nigdy nie odwiedzał. Gdy zamek budowano, do podziemi można było zejść z każdego budynku, ale korytarze w wielu miejscach przegradzały ciężkie żelazne kraty, zamykane na wielkie kłódki. Gdy jednak domy na górze przebudowywano, wiele z tych wyjść zamurowano, nie przebijając nowych. Dlatego w moich czasach wieloma korytarzami można było przejść od końca do końca, ale nie znajdując drogi na górę.

 Tunel strumienia przebiegał pod środkiem zamku, dzieląc dolne piętro na pół. Z jednej strony dochodził do samej rzeki, z drugiej – do lasu o półtora kilometra od zamku. Wyjście w lesie znajdowało się pośrodku płytkiego bagienka, otoczonego wiatrołomem i zamknięte było żelazną kratą. Wyrąb tego lasu był surowo zakazany, ale przyczynę zakazu znało zaledwie kilku ludzi. Drugi koniec tunelu dochodził do rzeki, pod wodą. Gdzie dokładnie – nikt nie wiedział. Żeby wrogowie nie mogli dostać się do zamku przez tunel, w pobliżu sali smoczycy była śluza. Po jej zamknięciu woda gromadziła się i po ponownym otwarciu zatapiała tunel aż do samego lasu, skąd boczną odnogą wracała do rzeki. Zazwyczaj wody w nim było nie więcej, niż po kostki. Drugi koniec tunelu nie wymagał zatapiania, i tak ostatnie sto metrów rzeka zatapiała aż pod sam sufit, a wiosną woda podnosiła się jeszcze wyżej. Obok tunelu znajdowało się sześć połączonych z nim studni: trzy pod otwartym niebem i trzy wewnątrz zabudowań. Jedna z nich była w samej kuchni, co było bardzo wygodne dla służby. Od głównego koryta odchodził strumyczek, przepływający przez ciemnicę smoczycy, dzięki czemu ta w każdej chwili mogła ugasić pragnienie. Jak się później dowiedziałem, istnienie strumienia pod zamkiem było tajemnicą, choć wiedzieli o nim wszyscy w zamku; ale o połączeniu strumienia ze studniami pamiętali tylko moi rodzice, Oorton, Stefan i jeszcze jeden czy dwóch ludzi. No i oczywiście ja. Ale wybiegam naprzód. Badanie tunelu zainteresowało mnie znacznie później, kiedy skończyłem dziesięć lat. A do tego czasu w pełni wystarczyło mi niekończących się piwnic zamku, pełnych tajemnic, zagadkowych znalezisk, zardzewiałych kajdan, rozsypujących się kufrów z gratami, wśród których z rzadka trafiały się gliniane garnki z zalanymi pszczelim woskiem monetami. Nowych, trwałych kufrów nie ruszałem, ale te, które stały tu zamknięte od dziesiątków lat, uważałem za swoje. Stopniowo zgromadziłem całkiem niezłą kiesę. Ojciec zdziwiłby się niezmiernie, gdyby się dowiedział, że jestem w pierwszej dwudziestce najbogatszych mieszkańców zamku. Ba, wtedy sam bym się zdziwił.

 Wszystkimi odkryciami dzieliłem się z ciocią Elli. Trudno byłoby znaleźć dzień, w którym nie zajrzałbym do niej chociaż na chwilę. Lady Elana niezmiernie cieszyła się każdą moją wizytą, ale nigdy nie próbowała zatrzymać jak najdłużej, a wręcz przeciwnie, często wyganiała, żebym nie spóźnił się na posiłek albo inną ważną imprezę. Ileż razy przerywała interesujące opowiadanie w najciekawszym miejscu i męczyłem się, oczekują następnego dnia i układając dziesiątki możliwych wariantów kontynuacji! Później mi się przyznała, że w ten sposób rozwijała moją fantazję. Nauczyła mnie także czytać i pisać. Kiedy przyszedł czas na wynajęcie nauczycieli dla mnie, wszyscy byli zdumieni, że czytam i piszę, kto wie, czy nie lepiej niż oni. Ojciec, człowiek nader rozważny, zszedł do podziemi i odbył długą rozmowę ze smoczycą. Po tej rozmowie w pomieszczeniu smoczycy zaczęto zapalać rano dwa kaganki, a gaszono je dopiero późnym wieczorem. Wszystkich kandydatów na moich nauczycieli wysyłano na rozmowę wstępną do lady Elany. Prosto w paszczę smoka, jak żartowały mamine damy dworu. Opinia smoczycy była decydująca. Ale i po tej rozmowie lady Elana często wzywała nauczycieli do siebie, żeby skorygować tok nauki. Mnie do tych rozmów nie dopuszczano. Ciocia Elli miała lepszy słuch ode mnie, i dlatego ani razu nie udało mi się niezauważenie podkraść i posłuchać.

 Stosunek mamy do smoczycy był złożony i niejednoznaczny. Mieszał się tu i strach, i zazdrość, i obawa, że po osiągnięciu wymaganego wieku odmówię złożenia przysięgi; rozumiała też, że żadne zakazy nie zdołają mnie powstrzymać. Widziała korzystny wpływ smoczycy na mój rozwój – a także to, że byłem najbledszy wśród swoich opalonych rówieśników. Raz przypadkowo podsłuchałem kawałek rozmowy ojca z matką.

 – Powiedziała, że dziecko potrzebuje babci i ona tą babcią będzie, wyobrażasz to sobie? –Oburzała się matka po jednej z wizyt u lady Elany.

 – Co w tym złego? – Ojciec udał, że się zdziwił.

 – Jak to, co? Jeśli moja matka umarła, to jeszcze nie znaczy, że na jej miejsce może pretendować zielony potwór.

 – Uznaj ją za babcię z mojej linii.

 – Zupełnie nie troszczysz się o wychowanie syna.

 – Przeciwnie. Właśnie o nim myślę. – Ojciec przyciągnął matkę do siebie i posadził sobie na kolanach. – Kochanie, ty nie wyrosłaś w naszym zamku. Dla nas, Kongów, lady Elana dawno stała się jakby członkiem rodziny. Czymś w rodzaju dobrego, niestraszącego ducha. Ma swoje dziwactwa, ale któż ich nie ma?

 Słuchałem tej rozmowy, stojąc za kotarą w salonie. Bardzo chciało mi się wymknąć z lekcji geometrii i pewnie by mi się to udało, gdyby moi rodzice nie przeszli po tych słowach do salonu. Dalszego ciągu rozmowy nie usłyszałem, gdyż wywleczono mnie za ucho zza kotary i z wyrzutami dostarczono do pokoju lekcji. Matka nigdy mnie nie biła, ale nie krępowała się ciągnąć mnie za ucho – w przeciwieństwie do ojca. Przekazałem tą rozmowę cioci Elli.

 – Twój ojciec jest dobrym, mądrym i szlachetnym człowiekiem – powiedziała mi Elana. – Chciałabym zaprzyjaźnić się z twoją mamą. Dwie kobiety zawsze znajdą temat do rozmowy.

 A tą wypowiedź przekazałem matce, słowo w słowo. Trochę dostało mi się za to od obu, ale zasada dyplomacji czółenkowej zrobiła swoje. Matka już nigdy nie nazywała cioci Elli zielonym potworem, a w rozmowach wzmiankowała ją bez złości, tylko z lekką życzliwą ironią.

 Raz, gdy dopiero zaczynałem badania podziemi, ojciec zauważył, jak zapalam kaganki z dwoma przyjaciółmi z wioski.

 – Synu, mam do ciebie sprawę, chodź ze mną – powiedział i odprowadził mnie na bok. –Jak myślisz, dlaczego nie pokazuję nikomu podziemi zamku? – zapytał.

 – Pewnie dlatego, że to nikogo nie interesuje.

 – Nieprawidłowo, synu. Podziemia zamku to tajemnica rodzinna. Nikt, oprócz ciebie, nie powinien jej znać. Miną lata, i zamek będzie twój. Bardzo dobrze, jeśli poznasz go do ostatniego kamienia. Ale tylko ty, a nie twoi przyjaciele, tym bardziej ze wsi. Dzisiaj to przyjaciele, a jutro mogą stać się wrogami. Zrozumiałeś mnie?

 – Tak, tato, ale…

 – W takim razie przysięgnij, że nie przekażesz nikomu tajemnicy podziemi.

 – Nawet cioci Elli?

 – Jej można – uśmiechnął się ojciec. – Ona nie zdradzi tajemnicy nieprzyjaciołom.

 Złożyłem przysięgę, ale przy tym skrzyżowałem palce na prawej ręce. Ojciec zawołał moich przyjaciół i powiedział:

 – Słuchajcie, dżentelmeni. – Tak właśnie rzekł: „dżentelmeni”. – Myz Johnem będziemy dzisiaj bardzo zajęci i on was bardzo przeprasza, ale nie będzie miał dla was czasu.

 – Przepraszam, chłopcy. – wymamrotałem. Gdy już odeszli do wioski, zaraz pobiegłem do cioci Elli. Opowiedziałem jej o wszystkim bez ukrywania, nawet o skrzyżowanych palcach.

 – Wysłuchaj mnie, młody lordzie. Jeśli wrogowie twoi albo ojca poznają plany podziemi, będą mogli niezauważeni dostać się do każdej części zamku, zgadzasz się ze mną?

 – Jak mogą je poznać? Zabieram tylko przyjaciół.

 – A twoi przyjaciele mieszkają za murami zamku. Wrogowie złapią ich i będą torturowali.

 – Oni i tak nic nie powiedzą.

 – Wtedy zamęczą ich na śmierć. Wierz mi, nie mówimy o tym, czy powiedzą na torturach, co wiedzą, czy nie, ale o tym, jak oszczędzić im tortur. Możesz to zrobić bardzo łatwo.

 – Jak?

 – Właśnie nie pokazując im podziemi.

 Zrobiło mi się bardzo smutno. Ale cóż robić – i ojciec, i lady Elana mówili o tym samym, chociaż w inny sposób. Poza tym było mi wstyd, że skrzyżowałem palce, składając przysięgę. Uniosłem lewą rękę zwróconą dłonią w kierunku cioci Elli i powtórzyłem przysięgę.

 – Jesteś zuchem i jestem z ciebie dumna, Johnie z rodu Kongów – powiedziała lady Elana.

**ROZDZIAŁ 4 Jak poznałem Samanthę, a Samantha ciocię Elli**

 Nie pamiętam, czy skończyłem już siedem lat, czy nie, kiedy pierwszy raz zobaczyłem Samanthę, na pewno skończyłem sześć. Samantha była córką wasala ojcowskiego wasala, sir Dobura. Zwyczaj wymagał, żeby któreś z dzieci wasala wychowywało się w zamku lorda. Gdzieżby indziej mogło nauczyć się najlepszych manier oraz poznawać naukę i sztukę pod kierunkiem najlepszych akademików? A jeśli wasal powstawał przeciw panu, dziecko stawało się zakładnikiem. Bardzo mądry zwyczaj.

 Samantha była o dwa lata starsza ode mnie i o głowę wyższa. Po wizycie u smoczycy biegłem do swoich wioskowych przyjaciół i omało nie wpadłem na nią z tyłu. W jednej ręce miała drewniany miecz, w drugiej witkę, a na jej plecach wisiał prawdziwy mały łuk. Ubrana była w krótką sukienkę bez rękawów przepasaną szerokim skórzanym rzemieniem, a nogi miała gołe i bose z porządnie podrapanymi kolanami.

 – Czego się gapisz, wsioku? – Samantha przestała zbijać mieczem główki mleczy i skierowała go na mnie.

 – To ty jesteś wsioka, a ja niedługo będę lordem!

 – Jak mnie nazwałeś? – Samantha pchnęła mnie mieczem w pierś i z zaskoczenia aż upadłem na własny tyłek –Roześmiała się. – Zapamiętaj sobie, maluchu, jestem Samantha!

 I boleśnie uderzyła mnie witką po nogach. Krzyknąłem, zerwałem się na równe nogi i chwyciłem za miecz. Chciałem ją nim uderzyć, ale ona z łatwością odbiła mój cios i znów uderzyła mnie witką po nogach. Upuściłem miecz i złapałem się za kolano. Miecz Samanthy znowu wparł się w moją pierś.

 – Będziesz moim wasalem, maluchu! Będziesz tytułował mnie lady Samantha i robił wszystko, co ci rozkażę.

 – Jestem John Kong! Nie masz prawa…

 – Oto moje prawo! – I znów chlasnęła mnie dwa razy witką po nogach.

 Rozpłakałem się, sięgnąłem po miecz, ale stanęła na nim i przejechała witką po moich plecach. To było bardzo bolesne. Uciekłem, łykając łzy bólu i poniżenia. Nikt dotąd ze mną tak nie postępował. Wystarczyło mi się przedstawić, a już ludzie robili się uprzejmi i pełni szacunku. Starając się nikomu nie pokazywać na oczy, pobiegłem do podziemi i, zalewając się łzami, opowiedziałem wszystko cioci Elli. Smoczyca długo myślała, w końcu powiedziała:

 – Trzeba nauczyć cię zasad walki wręcz. Lordowi może się to bardzo przydać.

 – To znaczy na pięści? Jak smerdy?

 – Dlaczego zaraz smerdy?

 – Bo lordowie walczą na miecze – zakomunikowałem autorytatywnie.

 – A jeśli nie masz miecza? Złamał się w boju? To co, masz zaraz ginąć?

 Nie chciało mi się ginąć. Musiałem przyznać cioci Elli rację. A kiedy zaczęła opowiadać o okrutnych, niezwyciężonych ninja, o chińskich mnichach, uczących się w klasztorach sztuk walki, o bojowym sambo, kiedy uzbrojony w kindżał lub nawet miecz napada na bezbronnego i nic nie może mu zrobić… Krótko mówiąc, słuchałem jej opowieści do samego wieczora. A następnego dnia sprowadziłem do podziemi ojca i lady Elana długo mu tłumaczyła, co trzeba zrobić. Przygotowano dla mnie dwie kukły mojego wzrostu, może nawet trochę większe, i dwa grube miękkie dywaniki, tak zwane maty. Ciocia Elli szczegółowo objaśniała, jak mam obrócić się i podstawić jej nóżkę albo rzucić przez siebie. Potem kilka razy robiłem to na jej oczach, ale powoli, żeby mogła poprawić moje błędy. A potem szedłem na górę i sam rzucałem kukłę przez siebie. Przez pierwszy tydzień było ciekawie, a potem zrobiło się nudno. Ale ciocia Elli od początku uprzedzała mnie, że tak będzie. Wyjaśniła, że lord tym właśnie różni się od zwykłego prostaka, że para się nieciekawymi zajęciami, jeśli tak trzeba, a jeśli czegoś się uczy, to do osiągnięcia mistrzostwa. Nie chciałem być podobny do zwykłego prostaka.

 Zajmowaliśmy się także fechtunkiem. Cieśla wyciął nam obojgu drewniane miecze. Mnie zwykły, a smoczycy taki, żeby mogła go trzymać w pysku, z rękojeścią podobną do trzonka łopaty. Ale ciocia Elli i tak nie mogła nim prawidłowo fechtować, gdyż ja poruszałem dłonią i ręką, a ona musiała głową i szyją. A głowę ma, że ho, ho! Mówiła mi jednak, jak mam ustawić nogi, jak przemieszczać środek ciężkości, i powoli pokazywała pchnięcie. Potem – szybciej. Potem ja powtarzałem to pchnięcie, a ona pokazywała mi, jak je odbić. A później szedłem trenować na salę albo na podwórze. Za wrota zamku wychodziłem teraz rzadko. Po pierwsze, nie było na to czasu, a po drugie… tam wszystkimi chłopcami komenderowała Samantha. Słuchali jej nawet moi najlepsi przyjaciele. Zebrała sobie armię, mianowała i odwoływała wodzów, rozdawała pierścienie, uplecione z gałązek wierzby, pasowała na giermków i rycerzy. Nawet starsi chłopcy bali się z nią zadzierać. Raz wspólnie z całym rojem dzieciaków schwytała, związała i osobiście wychłostała witką dwóch młokosów, którzy skrzywdzili kogoś z jej armii. Chłopcy obiecali jej zemstę, ale nie odważyli się. Często obserwowałem z murów zamku, jak jej armia z krzykiem „Sa-man-tha!” atakuje stóg siana albo zagajnik koło wodopoju. Zazdrościłem im.

 Ciocia Elli długo słuchała moich opowiadań, aż pewnego razu powiedziała, że chce zobaczyć Samanthę i porozmawiać z nią. Wybrałem czas tuż przed kolacją, kiedy wszyscy zebrali się w sali, ale jeszcze nie zaczęli jeść, czekając na pozwolenie ojca, i głośno powiedziałem:

 – Samantho, lady Elana chce się z tobą zobaczyć.

 – Obejdzie się – burknęła Samantha.

 – Jeśli lady Elana życzy sobie zobaczyć ciebie, to po kolacji pójdziesz do podziemi – powiedział surowo ojciec. – Oortonie, pokażesz lady Samancie drogę.

 Samantha rzuciła mi złośliwe spojrzenie.

 Po kolacji zeszliśmy w trójkę do podziemi. Ciocia Elli poprosiła mnie i Oortona, żebyśmy wyszli. Bardzo mi się nie chciało wychodzić i lepiej byłoby, gdybym został, gdyż po pięciu, najwyżej dziesięciu minutach ciocia Elli głośno krzyknęła, a Samantha wyskoczyła na korytarz, chowając za pas swój drewniany miecz. Odepchnąłem ją i rzuciłem się do cioci Elli. Ta oblizywała językiem nos, ale zobaczyłem, że przez jej nos na ukos ciągnie się zadrapanie.

 – Tak, tak, tak – powiedział Oorton za moimi plecami. – Gospodarzowi to się nie spodoba.

 Chwycił mocno Samanthę za rękę, zaprowadził ją do ojca i opowiedział o wszystkim, co widzieliśmy i słyszeliśmy. Poświadczyłem.

 – Czemu uderzyłaś lady Elanę? – zapytał ojciec.

 – Chciała mnie zjeść.

 – Wiesz, że kłamliwe kobiety chlaszcze się biczem w stajni? Czemu uderzyłaś lady Elanę?

 – Chciała mnie zjeść – powtórzyła uparcie Samantha. – Wypuściła pazury i chciała się na mnie rzucić.

 Oorton roześmiał się, ale ojciec pozostał poważny.

 – Pytam po raz trzeci i ostatni: czemu uderzyłaś lady Elanę?

 – Chciała mnie zjeść. Dlaczego mi nie wierzycie?

 – Bo kłamiesz. Trzy razy cię pytałem i trzy razy skłamałaś. Oortonie, zaprowadź ją do stajni i daj jej dziesięć batów, ale nie psuj jej skóry.

 – Słucham, panie – odrzekł Oorton, wziął w rękę obie ręce Samanthy i pociągnął ją za sobą.

 – Puść, bałwanie, jak śmiesz! Jestem ze szlachetnego rodu! Tylko mój ojciec może mnie karać.

 – Oortonie, stój! – zakomenderował ojciec. – Wtym ma rację. Według prawa wasal mojego wasala nie jest moim wasalem. Wyślij gońca po sir Dobura. Ją na razie puść. Ale uprzedź wartowników, żeby nie wypuszczali jej za bramę.

 Samantha dumnie obciągnęła sukienkę, błysnęła oczami i wyszła z gabinetu ojca, nawet nie pytając o pozwolenie. Pośpieszyłem do cioci Elli, ale smoczyca nic mi nie opowiedziała.

 – Postaraj się o niej zapomnieć – powiedziała tylko. – Ona nie jest ciebie godna. Sama duma i buta. Zero intelektu.

 Zapomnieć… Łatwo powiedzieć. Ale ciocia Elli nie wie, jaka Samantha jest dzielna, silna, zgrabna i szybka. Jak rozwiewają się jej włosy, kiedy gwałtownie odwróci głowę. A jak strzela z łuku! Kiedy przyjmuje do oddziału nowicjusza, kładzie mu na głowę jabłko, odchodzi o dziesięć kroków i rozbija je strzałą wbryzgi! I jeszcze ani razu nie chybiła!

 Zrozumiałem, że chociaż ciocia Elli jest bardzo mądra, dobra i życzliwa, są rzeczy, których nigdy nie zrozumie.

 Goniec nie wyjechał sam. Razem z nim wyjechało jeszcze czterech ludzi, prowadzących na postronkach zmienne konie. Mieli zatrzymywać się po drodze w różnych miejscach, żeby sir Dobur mógł cały czas zmieniać konie. I sam goniec też prowadził na postronku zmiennego konia. Zobaczywszy to, zrozumiałem, że ojciec przywiązuje do tego zdarzenia bardzo duże znaczenie.

 Sir Dobur przybył już następnego dnia wieczorem. Ojciec zaraz zaprowadził go do swojego gabinetu. Pobiegłem po schodach piętro wyżej i otworzyłem okno.

 – Dlaczego mam to wybaczyć pańskiej córce? – usłyszałem głos ojca. – Za samo podejrzenie podobnego czynu gotów byłem zbić własnego syna.

 – Ale nie zbił pan.

 – Zgadza się, nie zbiłem. Okazał się niewinny i przeprosiłem go. A tu jest jeszcze drugie przewinienie. Trzy razy zadałem jej pytanie i trzy razy mi skłamała.

 Zbiegłem po schodach i wtargnąłem do gabinetu ojca.

 – Nie trzeba karać Samanthy!

 Ojciec wściekle spiorunował mnie wzrokiem.

 – Dziękuję ci, młody lordzie – powiedział sir Dobur i położył mi rękę na ramieniu. Po jego głosie zrozumiałem, że Samanthę jednak ukarzą.

 Samantha została ukarana następnego dnia w południe. Chociaż nikogo specjalnie o tym nie zawiadamiano, wszyscy w jakiś sposób dowiedzieli się o tym i cała jej armia zebrała się na podwórzu zamku. Sir Dobur wszedł na pomost i powiedział głośno:

 – Oortonie, proszę cię o ukaranie mojej córkiza brak szacunku dla smoka zamku Kongów i za okłamanie mojego lorda.

 Dwóch wojowników wzięło Samanthę za ręce, podprowadziło do słupa i mocno trzymało. Nie było to łatwe, gdyż wiła się jak piskorz, kopała ich i klęła, ale w końcu przycisnęli ją piersią do słupa. Podszedł Oorton i rozerwał jej sukienkę na plecach. Krzyknęła tylko raz, od pierwszego ciosu, pozostałe dziewięć zniosła w milczeniu. Zacząłem ją jeszcze bardziej szanować. I nie tylko ja, wszyscy chłopcy to widzieli. Kiedy Samanthę puszczono, dwie damy dworu mamy chciały narzucić na nią płaszcz, a ona wyrwała im płaszcz z rąk i sama ubrała.

 – Popamiętasz to! – wysyczała, przechodząc koło mnie. Miała mokre oczy i mokre paski na policzkach, ale w jej głosie brzmiały tylko złość i nienawiść. A przecież nie chciałem jej zrobić nic złego!

 Następnego dnia wyjechała z ojcem i wróciła dopiero po miesiącu. Po powrocie przez jakiś czas patrzyła na mnie przychylnie i myślałem nawet, że może się zaprzyjaźnimy. Ale Samantha znowu zaproponowała mi, żebym został jej wasalem. Odmówiłem. A cóż innego mogłem zrobić? Żeby zostać wasalem, trzeba złożyć przysięgę. A przysięga lorda, nawet przyszłego, jest twardsza niż kamień i mocniejsza niż żelazo. Kim będę, kiedy dorosnę? Wasalem własnego wasala?

**ROZDZIAŁ 5 Czego boją się smoki i jak pierwszy raz oszukałem ciocię Elli**

 Nie skończyłem jeszcze dziewięciu lat, gdy mocno postanowiłem sobie uwolnić lady Elanę. Ściślej mówiąc, uwolnić ją postanowiłem dużo wcześniej, ale do tego czasu były to tylko dziecięce marzenia, niepoparte realnymi czynami. A wtedy wziąłem się do tego na poważnie. Oczywiście wszystko musiałem przygotować w najściślejszej tajemnicy. Przecież ojciec złożył przysięgę, że zabije każdego, kto spróbuje uwolnić smoczycę, więc nie chciałem stawiać jego sumienia przed tak trudnym dylematem: wypełnić przysięgę i zabić jedynego następcę, czy zrzec się tytułu i zamku. Na taką ostateczność miałem wprawdzie przygotowaną wymówkę, że niby nie zamierzałem wypuszczać lady Elanę na swobodę, a tylko chciałem uwolnić ją od zamknięcia w ścianie, ale nie brzmiało to wiarygodnie i nie mogłem ryzykować. O swoim planie nie opowiedziałem nikomu, nawet cioci Elli. Wtedy już całkiem dobrze orientowałem się w podziemiach zamku, ale z wielką starannością na arkuszu papieru narysowałem część dookoła zamurowanej smoczycy, wymierzyłem i zapisałem długość i szerokość wszystkich pomieszczeń i przejść ze wszystkimi zakrętami, dopóki nie upewniłem się, iż wiem dokładnie, którą ścianę muszę drążyć, aby uwolnić ogonsmoczycy. Na drzwiach pokoju, w którym była ta ściana, powiesiłem starą kłódkę, znalezioną w jednym z kufrów. Korytarzem, na który wychodziły te drzwi, nikt nigdy się nie posługiwał, więc oboje drzwi, wiodące do niego, też zamknąłem na kłódki i zawaliłem stosami połamanych sprzętów, żeby nikomu nawet przez myśl nie przeszło odkopywać je i otwierać. Sam przełaziłem tam przez szczelinę w ścianie, zbyt wąską dla dorosłego. Na wszelki wypadek nawet tą dziurę zastawiałem dużym koszem.

 I tak, uzbrojony w nieco zardzewiały kindżał, zacząłem wydłubywać roztwórze szczelin między kamieniami. Po pierwszych dwu dniach pracy i skargach służącej zrozumiałem, że nie mogę dłubać ściany w tym samym ubraniu, w którym schodzę do podziemi. Musiałem pogrzebać w kufrach, aż znalazłem starą, ale mocną aksamitną bluzę i jeszcze coś z ubrania. Nie wiem, czyje to było wcześniej, ale przy mnie w zamku nie było nikogo o tak wątłej budowie.

 Zaraz po zajęciach biegłem do podziemi do cioci Elli, Dzieliłem się z nią nowinami, po czym mówiłem, że idę badać podziemia i biegłem po schodach i korytarzach do jej ogona. Przebierałem się w aksamitną kamizelkę i zaczynałem wydobywać kawałki zaprawy. Pierwszego dnia narysowałem na ścianie koło o średnicy niecałego metra i dłubałem tylko wewnątrz niego. Główny kłopot polegał na tym, że bałem się hałasować. Gdybyż można było stukać w rękojeść kindżału młotkiem – ależ by to przyśpieszyło i uprościło sprawę! A tak w ciągu całego pierwszego dnia pracy wyskrobałem może ze dwie garście zaprawy. Ale dzieło posuwało się naprzód. Po dziesięciu dniach ze ściany wypadł pierwszy kamień. Zaniosłem go w najdalszy kąt pomieszczenia. Następnego dnia położyłem obok drugi. I poszło. Rzadkie były dni, kiedy nie udawało mi się wydłubywać dwa, trzy, a czasem i cztery kamienie wielkości dużego kufla na piwo.

 Ciocia Elli zaczęła się denerwować. Przysłuchiwała się w napięciu, wyginając szyję i poruszając uszami.

 – Niedługo się do mnie dobiorą – powiedziała pewnego dnia.

 – Kto, ciociu Elli?

 – Szczury. Codziennie słyszę, jak szemrają gdzieś niedaleko.

 Przysłuchałem się. Było cicho jak makiem zasiał.

 – Ja ich nie słyszę.

 – W tej chwili ja też ich nie słyszę. Ale jak tylko odchodzisz, one zaraz robią się śmielsze i wyłażą ze swoich nor. Niedługo dobiorą się do mnie.

 Pocieszałem smoczycę jak mogłem, ale dopiero ubierając robocze spodnie z drogiego zielonego aksamitu, zrozumiałem, że smoczyca słyszy dźwięki mojej pracy.

 Nie wierzcie temu, kto twierdzi, że ze ściany trudno wyjąć tylko pierwszy kamień, a pozostałe wypadną same. To nieprawda. Musicie najpierw nauczyć się czuć ścianę. Zagłębiłem się prawie na metr i spaliłem w latarni wielką butlę oleju świetlnego, zanim nauczyłem się określać na pierwszy rzut oka, w którą stronę trzeba skierować ostrze kindżału (już czwartego!) i z jaką siłą uderzać ręką w rękojeść, żeby odbić jak największy kawałek. Ale tego dnia praca szła szczególnie dobrze. Twarda zaprawa zamieniła się w miękką, zmurszałą i nawet nieco wilgotną w dotyku. Wyjmowałem kamienie jeden po drugim. Twarda warstwa miała grubość około metra, pod nią była zmurszała. Zacząłem rozszerzać przejście, gdyż kamienie wychodziły łatwo, a zaprawa miała twardość drewna sosnowego. I nagle ujrzałem ogon smoczycy.

 Zaczepiłem kindżałem duży płaski kamień i nacisnąłem rękojeść. Kamień odstał. Wsunąłem w szczelinę palce, rozkołysałem go i wyjąłem. Druga strona kamienia była cała oblepiona ja-kimś lepkim śluzem. Wypełzłem z nory, odrzuciłem kamień, wziąłem latarnię i oświetliłem to, co kamień zasłaniał. Omal nie zwymiotowałem. Półprzeźroczysty białawy śluz, a w nim pulsujące naczynia krwionośne, nieco głębiej przeświecają podrygujące mięśnie.

 I nagle usłyszałem, jak wzywa mnie lady Elana. Jej głos był pełen bólu, strachu i błagania. Przebrawszy się w sekundę, pobiegłem do niej, nawet nie płucząc w strumieniu rąk. Ale smoczyca była tak przerażona, że nie zauważyła ani brudnych rąk, ani nieporządnego ubrania.

 – John, ratuj mnie! Dobrały się do mnie! Zjadają mnie żywcem! Pomóż mi, John!

 – Bardzo cię boli?

 – Ugryzł mnie w ogon! Będą zjadały mnie żywcem, codziennie!

 Zrozumiałem, że ciocia Elli mówi o szczurach.

 – Wygonię je, zabiję je! Nic się nie bój, jestem z tobą! – zawołałem i wybiegłem za drzwi.

 Przebiegłem po korytarzu i znowu zajrzałem do nory. Biaława galareta już nie drgała. Podniósłszy z podłogi niewielki kamień, zacząłem stukać i drapać nim po ścianie. Potem doprowadziłem do porządku ubranie, umyłem ręce w strumieniu i wróciłem do cioci Elli.

 – Znalazłem szczurzą norę, wygoniłem z niej szczura i zatkałem ją kamieniami. Już więcej cię nie postraszą, słowo Johna Konga!

 – Dziękuję, lordzie Kong. – Ciocia Elli aż się rozpłakała.

 Pierwszy raz ją oszukałem. A co miałem zrobić? Zabić resztkę nadziei? Powiedzieć jej, że zrosła się z kamieniem i nigdy nie zdoła wyjść na wolność, nawet, jeśli rozbiorę cały zamek na cegły? Nie byłem w stanie.

 Przybiegł pomocnik Oortona, czternastolatek Yorick.

 – Lady Elana widziała szczura. Natychmiast pędź na górę i przynieś pięć pułapek. Ja sam je ustawię. No już, ruszaj! – rozkazałem mu.

 To naprawdę mi się udało, że przybiegł Yorick, a nie sam Oorton. Młokos był wprawdzie o dwie głowy wyższy ode mnie, ale dobrze rozumiał, który z nas jest lordem. Oorton mógłby zacząć osobiście badać wszystkie piwnice i nie wiem, czym by się to skończyło. Ale smoczyca wołała mnie, więc Oorton widać doszedł do wniosku, że sprawa nie jest aż tak ważna.

 Kiedy Yorick wrócił, odprawiłem go na górę, po czym ustawiłem dwie pułapki w pomieszczeniu lady Elany, a trzy pozostałe wziąłem ze sobą. Szczurów w zamku nie było, więc musiałem pójść do wioski. Niedługo w jedną z pułapek złapał się spory szczur. Przeniosłem go na zamek pod ubraniem, schowałem w podziemiach, a na drugi dzień zademonstrowałem cioci Elli, Oortonowi i wszystkim pozostałym. Smoczyca uspokoiła się, podziękowała mi uroczyście i ze łzami w oczach, a mnie nigdy jeszcze nie było tak wstyd, jak wtedy. Ostatni raz poszedłem do pokoju, w którym pracowałem i popatrzyłem na ogon smoczycy. Śluz od góry podeschnął, pociemniał i mięsa już nie było widać. Starając się pracować bezdźwięcznie, zatkałem kamieniami dziurę w ścianie, a resztę przetaszczyłem do sąsiedniego pokoju i ułożyłem w dwu wielkich koszach. Gdyby te kamienie leżały na podłodze, to byłoby podejrzane, ale jeśli te same kamienie leżą w koszach, to znaczy, że tak trzeba. Może podczas wznoszenia tej ściany przyniesiono za dużo kamieni, może coś innego, ale podejrzeń to nie wywoła, a już na pewno nie co do mnie. Takiego kosza ja bym nie podniósł. Potem zamknąłem drzwi na kłódkę i schowałem klucz w sąsiednim pokoju.

**ROZDZIAŁ 6: Jak się odbywają turnieje rycerskie**

 Długo myślałem o tym, co się stało. Nie mogłem cioci Elli uwolnić. Mówiła, że smoki są bardzo żywotne, mogą się przystosować do każdych warunków. No i ona przystosowała się do życia w kamiennym worku, zrastając się z kamieniem. Mogłem swobodnie wypowiedzieć przysięgę i zawładnąć zamkiem. Lady Elana pozostanie ze mną na zawsze, mogłem się nie bać, że opuści mnie, jak tylko wyjdzie na wolność. Chciałem jej pomóc, ale nie moja i nie jej wina, że nie zdołałem tego zrobić. Nikt by tego nie zdołał.

 Ale nie mogłem patrzeć jej w oczy. Znałem tajemnicę. Straszną tajemnicę, która zabiłaby resztkę nadziei. Szczęście lady Elany było tak kruche, a ja trzymałem je w dłoniach. Jako człowiek honoru powinienem jej to powiedzieć, ale jako przyjaciel? Nie wiedziałem, co robić.

 No i bardzo się bałem. Co utrzymuje ją przy życiu? Tylko ta cienka niteczka nadziei. Jeśli ją zerwę… Może poprosi mnie o śmierć? Położy głowę na stole, a ja ciężkim toporem będę musiał przerąbać jej szyję. Wiedziałem, że nie zrobię tego pierwszym cięciem. Będę rąbał i rąbał, a ona będzie cierpiała i podnosiła mnie na duchu, dopóki krew nie tryśnie fontanną z jej przeciętego gardła…

 Na szczęście ludzie ojca akurat wyprawiali się zbierać daninę od wasali. Poprosiłem ojca i pozwolił mi pojechać z nimi. Kiedy przyszedłem pożegnać się z lady Elaną, ta zauważyła moje zdenerwowanie, ale przypisała je czekającej nas rozłące.

 – Nie przejmuj się, John. Nie raz się jeszcze rozstaniemy i zawsze będę z niepokojem czekała na twój powrót. Przyjmij jako dane to, czego nie zmienisz, i nie męcz swojego serca.

 W ciągu trzech spędzonych w siodle tygodni pogodziłem się z własnym sumieniem i strasznie stęskniłem się za smoczycą. I zobaczyłem wiele nowych i niezwykłych dla mnie rzeczy. Widziałem, jak złodzieja piętnowano na czole gorącym żelazem, jak złapano zbiegłego niewolnika, po czym przypalono mu pięty i wstawiono do nosa żelazny pierścień. Jak kobiecie, oskarżonej o cudzołóstwo, wycięto klin z języka, żeby wszyscy wiedzieli, że to żmija spod studni. No, tego ostatniego nie widziałem, gdyż tam było zbyt wielu ludzi. Ale widziałem, jak ją prowadzili, jak się wyrywała, słyszałem, jak krzyczała, a potem widziałem, jak po jej podbródku ciekła krew. Byłem też na weselu wasala ojca i wygłosiłem tam mowę, a potem, jako najznamienitszy, pierwszy wzniosłem toast za zdrowie młodej pary. Bili mi brawo i zachwycali się moją mową. Tak naprawdę to po prostu powtórzyłem mowę ojca z wesela w naszym zamku, ale oni o tym nie wiedzieli i dlatego byli zachwyceni. A na moim boku wisiał prawdziwy miecz, choć znacznie mniejszy, niż u dorosłych, i uczyłem naszych wojowników pewnych cięć i pchnięć, których nauczyła mnie ciocia Elli. Oni dziwili się, gdzie ja tak dobrze nauczyłem się władać mieczem, a ja odpowiadałem, że lord ma obowiązek umieć to od dziecka. Oczywiście w prawdziwej walce każdy z nich rozciąłby mnie na pół, ale tylko dlatego, że byli ode mnie wyżsi i silniejsi.

 Omal nie zapomniałem! Byliśmy także na turnieju rycerskim. Co prawda, jak twierdził stary Don, turniej w tym roku był niewielki. Uczestniczyło w nim zaledwie szesnastu rycerzy, nikt nie zginął i wszystko zakończyło się w jeden dzień. A jednak to było takie piękne i wspaniałe! Rycerze w pełnej zbroi podjeżdżali na ciężkich koniach. Nad ich hełmami powiewały kolorowe pióra. A heroldowie ogłaszali, kto przejeżdża przed trybuną, skąd pochodzi, czym się wsławił i w ilu pojedynkach uczestniczył. Potem było losowanie, kto z kim ma walczyć, jeśli rycerze wcześniej nie umówili się na pojedynek. To też wyglądało przepięknie. Rycerze stali w szeregu, a heroldowie wykrzykiwali, kto z kim ma się bić. Rycerze wysuwali się naprzód i mówili, o honor której damy będą walczyć. Jeśli owa dama była na trybunie, wszyscy ją pozdrawiali, a ona obdarowywała czymś rycerza. Potem rycerze rozjeżdżali się po namiotach z obu stron pola. Namioty na prawo od trybuny nazywały się czerwone, a z lewej – niebieskie. Nie rozumiałem, dlaczego, przecież był tylko jeden niebieski namiot i ani jednego czerwonego. Stary Don odrzekł, że to życie psuje tradycję. Znowu nie zrozumiałem, ale już nie pytałem o to, gdyż Stary Don zaczął opowiadać, jak właśnie tutaj poznali się moi rodzice. Ojciec zobaczył matkę na trybunach i po wstępnej rozmowie ogłosił, że to dama jego serca. Walczył o jej honor i wygrał trzy pojedynki, a czwarty przegrał, gdyż jego koń potknął się o tarczę przeciwnika i złamał nogę. Wszyscy ojcu współczuli, ale nic nie mogli na to poradzić, gdyż regulamin zabraniał zmiany konia.

 Stary Don powiedział, że turniej będzie przebiegał według schematu o nazwie „na śmietnik”. Nie jest to schemat najlepszy, gdyż prawidłowo określa tylko najsilniejszego. Drugi pod względem siły może już w pierwszej walce wylecieć z siodła i z turnieju. Ale z drugiej strony ten system daje szanse młodym, którzy przy pewniej dozie szczęścia mogą zajść daleko.

 Gdy zaczęły się pojedynki, wszyscy głośno krzyczeli, głośniej, niż na walkach kogutów, organizowanych czasem w wiosce. Ja też krzyczałem. A kiedy jeden rycerz wybijał z siodła drugiego, na pole wbiegali giermkowie, wyprowadzając konia, ciągnącego włókę, kładli na włókę jeźdźca i wywozili go z pola. Czasem rycerz sam podchodził i kładł się na włókę. A jeden rozpędził się i wskoczył na konia, ciągnącego włókę. Koń omal nie upadł pod jego ciężarem. Wszyscy się śmiali, krzyczeli, gwizdali, urągali. A rycerz odjechał, machając podniesioną ręką, jakby to on zwyciężył w pojedynku. Stary Don powiedział, że on jest bardzo silny, gdyż tylko taki może w pełnej zbroi wskoczyć na konia. Musiał mieć pecha w losowaniu.

 Kiedy wszyscy rycerze zakończyli pojedynki, znów odbyło się losowanie. Pozostało ich już tylko ośmiu, potem czterech, w końcu dwóch. Przed ostatnią walką zrobiono przerwę, żeby rycerze mogli odpocząć. Na pole wybiegli żonglerzy i akrobaci. Kramarze roznosili wszystkim chętnym jedzenie i el.

 A kiedy zabrzmiały trąby, wzywające rycerzy na decydującą walkę, wszyscy bardzo się denerwowali, a szczególnie dziewczyna, która miała być nagrodą dla zwycięzcy. Jeden rycerz podobał się jej, a drugiego się bała. Ostatni pojedynek był na miecze, ale moim zdaniem ani jeden, ani drugi nie umieli się fechtować. Po prostu machali dwuręcznymi mieczami i bili jeden w drugiego ze wszystkich sił. Nic ciekawego. Ale ten, który był w zbroi ze wzorami z niebieskiej emalii, wychwycił jednak moment, kiedy miecz jego przeciwnika dotknął końcem ziemi i złamał go mocnym uderzeniem z góry.Przeciwnik cofnął się o dwa kroki, obejrzał odłamek miecza, wyrzucił go i uznał się za pokonanego. Giermkowie już prowadzili do zwycięzcy jego konia, a do pokonanego podjeżdżała włóka. Spojrzałem na dziewczynę-nagrodę. Triumfowała i klaskała.

 Przez cały tydzień opowiadałem i powtarzałem cioci Elli szczegóły podróży. Bardzo uważnie wysłuchała wszystkiego, zadając całą masę pytań. Kiedy opowiedziałem o weselu, nazwała mnie niezrozumiałym słowem „plagiator”, a potem zaproponowała, żebym obliczył, ile pojedynków widziałem. Dodałem osiem cztery, dwa i jeden i otrzymałem piętnaście.

 – A gdyby w turnieju brało udział 128 rycerzy? – zapytała. Zmieszałem się, więc sama odpowiedziała: – Przecież to takie proste. W każdym pojedynku odpada jeden uczestnik, dopóki nie zostanie tylko jeden zwycięzca. Odpadło 127 rycerzy, było więc 127 pojedynków.

 W domu poszedłem do pokoju nauki, wziąłem kawałek kredy i sprawdziłem na tablicy. Wszystko się zgadzało. To było zadziwiające. Takie łatwe!

**ROZDZIAŁ 7. O ogonie cioci Elli i pracach Heraklesa.**

 Dopiero po roku zajrzałem do dalekiego pokoju, gdzie przebiłem ścianę i zobaczyłem ogon smoczycy. Ostrożnie rozebrałem kamienie, poświeciłem latarnią w głąb dziury i ujrzałem jasnozieloną łuskę. Bardzo ostrożnie dotknąłem jej. Prawdziwa! Ciepła! Żadnego krwawego śluzu! Rana zarosła nową łuską! To znaczy, że, jeśli nie będę się śpieszył, mogę uwolnić smoczycę! Niechby to nawet zajęło lata, czasu mam dosyć. Prawie dwanaście lar do chwili, kiedy będę musiał złożyć przysięgę.

 Tego samego dnia odszukałem robocze ubranie, kindżały, złamany miecz i wznowiłem pracę. Żeby smoczyca się nie denerwowała, powiedziałem jej, że znalazłem zamurowane przejście, prowadzące gdzieś w dół, i chcę je odkopać. Na moje życzenie dała słowo, że nikomu o tym nie powie i prosiła tylko, żebym był ostrożny.

 Wydobywałem kamień za kamieniem i wynosiłem do sąsiedniego pokoju. Tym razem byłem mądrzejszy. Zamierzałem najpierw okopać smoczycę ze wszystkich stron, a dopiero później, ostrożnie, milimetr po milimetrze zdejmować zaprawę, póki nie odsłonię jej ciała. Może wtedy nie będzie jej aż tak bolało. Określić, gdzie pod kamieniem jest ciało smoczycy, było bardzo łatwo: im bliżej ciała, tym bardziej wilgotna i krucha stawała się zaprawa. Stała robiła się pół metra od ogona, a miałem nadzieję, że gdzie indziej będzie jeszcze wilgotniejsza.

 W ciągu pierwszego dnia pracy wygrzebałem chyba tyle samo kamieni, ile przez cały poprzedni okres. Ale wtedy przebijałem się przez twardą ścianę, a teraz kamienie same wychodziły, wystarczyło tylko rozgrzebać kindżałem szczelinę, włożyć do niej złamany miecz i nieco silniej nacisnąć jego rękojeść.Układałem je najpierw przy moim przejściu, a potem wynosiłem do sąsiedniego pokoju i kładłem pod przeciwległą ścianą. Następnego dnia moje przejście prowadziło już do maleńkiego pokoiku, który własnoręcznie wygrzebałem w murze. A na trzeci dzień natknąłem się na drewniany słup, wokół którego okręcono ogon lady Elany.

 Drewno rozmokło i zgniło. Wybierałem je po prostu garściami. Ale wszystkiego nie wybrałem, gdyż najpierw trzeba było usunąć otaczające ogon kamienie, a dopiero później go uwolnić. Jeśli kamień spadnie na ogon, zanim ten obrośnie łuską, ciocię Elli będzie bardzo bolało.

 Po tygodniu siedziałem w kucki i ostrożnie zeskrobywałem kindżałem ziarenka piasku z tego, co było ogonem smoczycy. Miejscami leżały na nim kamienie, których nie można było zdjąć, gdyż przyrosły do ciała, w innych miejscach pozostała cienka warstwa wymieszanej ze śluzem zaprawy, z której sączyła się wilgoć. Ogon, początkowo bardzo szeroki, szybko się zwężał i był okręcony ślimacznicą wokół pnia. Środek pnia wybrałem garściami, ale brzegi zostawiłem, gdyż pamiętałem, jak bardzo poprzednim razem bolało Elanę. Szczerze mówiąc, nie wiedziałem, co dalej robić. Zapytać ciocię Elli? Ale to znaczyłoby wszystko jej opowiedzieć. Odrywać kamienie od ogona? Będzie ją bolało i znowu będę musiał wszystko opowiedzieć. I skąd ona ma wiedzieć, co robić, jeśli ani ona, ani żaden inny smok nie był nigdy uwalniany z zamurowania? Czy wy ucieszylibyście się, usłyszawszy rano: „Może pan odrzucić koc, ale proszę się nie przerazić: nie ma pan na ciele ani kawałeczka skóry. Ma pan jakiś pomysł? Może pana posypać mąką? Proszę nie patrzeć z takim obrzydzeniem”?

 Pochyliłem niżej latarnię i przyjrzałem się ogonowi. Ledwie zauważalnie unosił się i opadał. Albo w takt oddechu, albo bicia serca.Postanowiłem zostawić wszystko jak jest i zobaczyć, co z tego wyniknie. Musiałem sprawdzić jeszcze jedną bardzo ważną rzecz.

 Następnego dnia ubrałem skórzane buty do kolan, skórzaną kurtkę i czapkę z szerokim rondem, przywiązałem do pasa dużą butlę oleju świetlnego i wybrałem się na badanie tunelu strumienia. Był strasznie długi. Szedłem i szedłem, a kaganek ciągle oświetlał wilgotne ściany. Pod nogami chlupotało. Można było iść przy samej ścianie, tam nie było wody, ale było bardzo śliskie błoto, dlatego człapałem samym środkiem. Wody było przeważnie po kostki, ale miejscami więcej. W jednym miejscu prawie do wysokości butów, jeszcze centymetr-dwa, a nalałaby się. Ucieszyłem się, że było suche lato, kiedy indziej pewnie wysokości butów by nie starczyło. Poza tym pod nogami często trafiały się zgniłe sęki, śliskie i zdradliwe. Łatwo było na nich się pośliznąć, groziły też przebiciem buta.

 Koniec tunelu zobaczyłem zupełnie nieoczekiwanie. Tunel rozszerzał się i podnosił, tworząc taras dwa metry wyżej. Przy jednej ze ścian była pochylnia, schodząca stromo w dół i łącząca się z dnem rzeki, a przy drugiej wycięte w kamieniu stopnie. Wspiąłem się po nich i kilka metrów przed sobą zobaczyłem zardzewiałą kratę, a za nią zielone gałązki jakiegoś krzaka. Krata była zamknięta na olbrzymią kłódkę. Nie mógłbym jej otworzyć nawet, gdybym miał klucz, gdyż zamieniła się w jednolity kawał rdzy. Gdy jednak mocno pchnąłem kratę, poddała mi się. Zawiasy też były na wskroś przerdzewiałe i puściły. Wylazłem, położyłem z powrotem kratę tak, jakby się trzymała na zawiasach i poszedłem z powrotem górą. Nie była to może najlepsza decyzja, gdyż w jednym miejscu wpadłem po pas w błoto, ale za to upewniłem się, że w tym błocie nie ma żadnego trzęsawiska. Wydostałem się na brzeg, zdjąłem buty, wylałem z nich wodę, zdjąłem także kurtkę i powiesiłem na ramieniu. Tu, na górze, świeciło słońce, śpiewały ptaki. Jak gdybym trafił do innego świata. Jasnego, dźwięcznego, słonecznego. Wydostałem się z lasu i rześko poszedłem na zamek. Na podwórzu zamku spotkał mnie ojciec. Zresztą w ogóle panowało tam ożywienie, jakby stało się coś niedobrego.

 – Chodź do mojego gabinetu, John – powiedział ojciec, obejrzawszy mnie od stóp do głów.

 – A co się stało, tato?

 – W studniach zamiast wody jest samo błoto.

 Od razu zorientowałem się, skąd to błoto. Takie samo błoto jest na moich butach. Zrozumiałem też, że, jeśli nie przedsięwezmę odpowiednich środków, dostanie mi się, może nawet bardzo mocno. Ciocia Elli mówiła, że w takich przypadkach trzeba przejąć inicjatywę w rozmowie i nazywała to psychologią stosowaną.

 – Dobrze, że już wiesz coś o tym, tato. Ja akurat chciałem porozmawiać z tobą na ten temat. Mam złe nowiny.

 – Chodźmy – powiedział ojciec. Był zdziwiony, zaniepokojony i zainteresowany.

 – Trochę później. Najpierw muszę umyć się i przebrać.

 – Cóż, chyba masz rację. Dobrze, czekam na ciebie w swoim gabinecie.

 Udało się! Zrobiłem wszystko według wskazówek cioci Elli i udało się! Tyko co ja powiem ojcu? Co tam jeszcze mówiła ciocia Elli? Nie ma czasu pobiec do niej i poradzić się.

 Poszedłem do siebie, zdjąłem brudne obranie, umyłem w umywalce ręce do ramion, głowę i szyję. Nóg nie umyłem. Pewnie były najbrudniejsze ze wszystkiego, ale pod spodniami nie było tego widać. Włożyłem swoje najlepsze ubranie, z koszulą z koronkami. Bardzo jej nie lubiłem, ale ojciec był dzisiaj w takiej samej. Muszę wyglądać jak dorosły. Uczesałem się elegancko i powlokłem się do gabinetu ojca. Wciąż jeszcze nie bardzo wiedziałem, o czym będę mówił. O tym, że złamałem kratę?

 – Siadaj, synu. Słucham cię. – Ojciec był poważny.

 – Tato, ty nigdy nie byłeś w tunelu strumienia.

 – To pytanie czy stwierdzenie? Jeśli pytanie, to nie, nie byłem.

 – Tam od stu lat nikt nie był. Kłódka cała zardzewiała, krata połamana, gałązki, sęki.

 – Jaka krata?

 – Krata, która zamyka tunel, żeby do niego nie dostali się wrogowie. Albo żeby nikt nie mógł niepostrzeżenie uciec z zamku. Obejrzałem dzisiaj cały tunel.

 – Wali się? Trzeba go remontować?

 – Nie, ale… Tylko, jeśli kratę…

 – Rozumiem. Jest cały zatkany błotem, tak?

 – Zatkany nie jest, ale jest w nim bardzo dużo błota i śmieci.

 Ojciec wstał, poszedł do okna i długo patrzył w dół, na podwórze. Potem podszedł do mnie i zburzył mi fryzurę.

 – Dziękuję ci, synu. Tak, przez te wszystkie lata ani razu go nie czyściłem. I nie pamiętam, żeby go czyścił mój ojciec, a przed nim dziadek. No i masz – wystarczyło, żebyś przeszedł tamtędy, a już we wszystkich studniach zamiast wody mamy błotnistą maź. O takich rzeczach przypominamy sobie dopiero wtedy, kiedy coś się stanie. Jak widzę, wyrastasz na bardziej przewidującego ode mnie.

 – Tato, jeśli tam poślesz dziesięciu ludzi, uwiną się z tym w jeden dzień.

 – Nie, synu. O tym tunelu nikt nie może wiedzieć. Tylko ja, ty, Oorton i Stefan.

 – Tato, ciocia Elli opowiadała mi o Heraklesie.

 – U nas w zamku nie ma nikogo o tym imieniu.

 – Nieważne. On czyścił stajnie Augiasza.

 – No i co?

 – Puścił wodę i woda uniosła całe błoto. I tu też: jeśli zamkniemy śluzę, zbierzemy wodę, a potem otworzymy, woda wypłucze całe błoto z tunelu.

 – Patrzcie go! Synu, obmyśliłeś już wszystko tak dokładnie! Trzeba będzie tylko zawczasu uprzedzić ludzi, że będziemy czyścili studnie. Niech zrobią zapasy wody na dwa dni. Nie, nie trzeba mówić o studniach, niech po prostu zrobią zapasy wody. A teraz chodźmy na obiad. Mama na nas już czeka.

 Zeszliśmy do jadalni w znakomitym nastroju.

 – Opowiesz mi kiedyś o tym Heraklesie? – zapytał mnie ojciec na schodach.

 –Na pewno, tato!

 O Heraklesie, o bogach i tytanach, o księżniczce Szeherezadzie, o czymkolwiek, tylko nie o tym, po co tak naprawdę poszedłem oglądać tunel. Musiałem wiedzieć, czy lady Elana zdoła przejść po nim, kiedy ją uwolnię.

 Ciocia Elli wyglądała na bardzo zamyśloną, nieobecną. Kiedy opowiadałem o tunelu i o rozmowie z ojcem, słuchała bardzo uważnie, ale nie mnie. Wydawało się, że przysłuchuje się głosom, rozlegającym się wewnątrz jej głowy. Pomyślałem logicznie, jak uczyła, i doszedłem do wniosku, że niepokoi ją ogon.

 – Ciociu Eli, ty zupełnie mnie nie słuchasz.

 – Wybacz, maluchu. Coś się ze mną dzieje. Wydaje mi się, że znowu zaczynam czuć swoje ciało. Pamiętasz, jak w zeszłym roku ugryzł mnie szczur? Wtedy ożył mały kawałeczek ogona. A teraz zaczyna ożywać cały. Od dwustu lat nic takiego nie czułam. Mniej więcej w rok po zamurowaniu miałam potworne bóle. Myślę, że to łuski nie wiedziały, jak mają rosnąć. Bóle trały cały rok. Nie mogłam wytrzymać, krzyczałam – i dostawałam kołatem po głowie. Potem bóle się skończyły, ale ciała już nie czułam. Jak w nieważkości – ani łap, ani skrzydeł, ani ogona. Tylko głowa i szyja. I jeszcze trochę czuję, kiedy… No, kiedy chcę do toalety.

 – Ciociu Elli, czy to bardzo ciężko – dwieście lat w ciemnicy?

 Smoczyca uśmiechnęła się krzywo.

 – Jak to się u nas, smoków, mówi: ciężkie jest tylko pierwsze sto lat, potem przywykasz. A ostatnie lata są po prostu wspaniałe. Nie jestem już oderwana od życia, czuję się potrzebna. I to wszystko dzięki tobie, młody lordzie Kong. – Smoczyca trąciła mnie pieszczotliwie nosem w ramię. – A chwilami już marzę o tym, jak będę wychowywała twoje dzieci.

Wychodząc od smoczycy pośpieszyłem do jej ogona. Przesycająca zaprawę surowica zastygła w skorupkę. Ta skorupka miejscami pękała i ze szczelin sączyła się surowica. A w jednym miejscu nawet zaschła warstewka krwi. Postanowiłem nie ruszać ogona, dopóki nie upewnię, że wszystko idzie jak potrzeba.

**ROZDZIAŁ 8: Jak płukaliśmy tunel i co z tego wynikło.**

 Przez cały następny tydzień nie miałem czasu zobaczyć, co się dzieje z ogonem lady Elany. Ojciec, Oorton i kowal Stefan naprawiali śluzę. Ja też pomagałem. Podawałem narzędzia, przyświecałem, gdzie potrzeba, podtrzymywałem części, kiedy dorośli je łączyli. A także służyłem im jako przewodnik, gdy trzeba było znaleźć coś w podziemiu. Bałem się, że jeśli będą szukali sami, mogą znaleźć mój daleki pokój. Kłódka na drzwiach mogła zatrzymać każdego, ale nie ojca i Oortona. Ale wszystko dobrze się skończyło.

 Gdy naprawiliśmy śluzę, ojciec ją zamknął. Woda zaczęła zatapiać górną część tunelu, ale podnosiła się tak powoli, że Stefan powiedział, iż do górnego znaku podniesie się dopiero za dwa-trzy dni. Postanowiłem zbadać dolną część tunelu dokładniej. Ojciec wziął pochodnię i poszliśmy razem. Po chwili zobaczyliśmy otwór w suficie, który służył cioci Elli jako toaleta. Ojciec potarł w zamyśleniu podbródek.

 – Wiesz co, synu, zrozumiałem sens twojej bajki o Heraklesie. Najpierw wypłuczemy tunel, a potem wrócimy tutaj i zbadamy go, dobrze?

 Zgodziłem się. A co miałem robić?

 Następnego dnia towarzyszyłem Stefanowi, który poszedł zobaczyć kratę, zamykającą wyjście z tunelu. Wziął ze sobą specjalną deseczkę, narysował na niej wszystko, zapisał wymiary i, kiedy wróciliśmy, poszedł do kuźni i zaczął kuć nową kratę.

 A dwa dni później ojciec kazał wszystkim zrobić zapasy wody, po czym zeszliśmy do podziemi i otworzyliśmy śluzę. To było po prostu wspaniałe! Tak silnego strumienia nigdy nie widziałem. Woda pędziła jak cwałujący koń. Ojciec powiedział:

 – Znakomicie! A teraz biegnijmy na wieżę. Myślę, że zobaczymy coś ciekawego.

 Pobiegliśmy na główną wieżę i popatrzyliśmy na rzekę.

 – Popatrz na wir. – Wskazał ręką ojciec. Spojrzałem.

 Do wiru było daleko, ale nawet stąd widać było, jak tam burzy się woda. Potem zobaczyłem, że poniżej i powyżej wiru woda przybrała paskudny szarobury kolor. W górę, przeciw prądowi, brudna woda podniosła się zupełnie niedaleko, ale w dół pociągnął długi tren. Szybko dotarł do wioski i chłopi wpadli w popłoch. Wyskakiwali z domów, machali rękami, krzyczeli coś. Jeden z nich wskoczył na konia i pobiegł w górę rzeki. Dojechał do miejsca, gdzie zaczynała się czysta woda – sto metrów powyżej wiru – i pobiegł z powrotem. W wiosce otoczyli go ludzie, aż powstał spory tłum.

 – Oorton, Stefan, chodźcie tutaj! – krzyknął ojciec, wychyliwszy się przez barierę wieży.

 – Panno święta, czy to my to zrobiliśmy? – Przeraził się Oorton po wejściu.

 – Oczywiście, że my. Ale chłopom nie trzeba o tym mówić. Po co gorszyć dobrych ludzi? – odrzekł ojciec. Stefan zahuczał jak puchacz. Spojrzałem na niego i zobaczyłem, że się śmieje. Gdybym nie spojrzał, nigdy bym się nie domyślił.

 Tymczasem chłopi uzbroili się w widły i topory, a baby w ikony i poszli w górę rzeki. Doszli do czystej wody, przeszli jeszcze z kilometr,wydeptali całą turzycę, poszukując śladów tego, który mącił wodę, nikogo nie znaleźli i wrócili do wioski.

 O tym wydarzeniu długo jeszcze chodziły najbardziej nieprawdopodobne słuchy. Chłopi początkowo oburzali się na ojca, że swoich w zamku uprzedził, a ich w wiosce nie. Pytali, za co właściwie płacą czynsz. Potem, o dziwo, zaczęli chwalić się swoim lordem, że umiał przewidzieć nawet COŚ TAKIEGO. Ojciec śmiał się pod wąsem, słuchając przekazywanych mu plotek, a ja udawałem, że mnie to nie interesuje.

 Potok pięknie wypłukał górną część tunelu, ale dolną tylko w połowie. Dlatego Oorton i Stefan wzięli nosze, ja niosłem kaganek, a ojciec kładł na nosze wszystkie śmiecie, jakie napotykaliśmy w tunelu. Musieliśmy trzy razy przejść cały tunel, zanim wyczyściliśmy go ze wszystkich sęków i gałęzi, po czym uzbroiliśmy się w miotły i resztę błota zepchnęliśmy z prądem w dół. To była dopiero robota! Musieliśmy przejść cały tunel jeszcze cztery razy. Skończyło się na tym, że prawie całe błoto zmietliśmy do najgłębszej dziury – tej, która była mnie po kolana – a to, co poniżej do otworu przy wyjściu. Ojciec powiedział, że trzeba będzie jeszcze raz przepłukać tunel, wtedy woda wszystko uniesie do rzeczki.

 Potem wzięliśmy nową kratę, załadowaliśmy ją na taczki i dowieźliśmy do lasu. Dalej ponieśli ją Oorton i Stefan, ojciec niósł wiadro z zaprawą i narzędzia, a ja pokazywałem drogę. Stefan odpiłował kłódkę, rozkołysał i wyrwał stare zawiasy, a ojciec wypełnił otwory zaprawą. Następne Stefan wbił w te otwory nowe zawiasy, podłożyliśmy pod kratę kilka kamieni, żeby się nie przekrzywiała, zanim zaprawa nie stężeje i zamknęliśmy kratę na nową, niezawodną kłódkę.

 – Tato, a gdzie będziemy trzymali klucz? – zapytałem.

 – W moim gabinecie.

 – Źle. Jeśli będziemy uciekali przed wrogami, możemy nie zdążyć wspiąć się do twojego gabinetu. Trzeba zrobić skrytkę wewnątrz tunelu niedaleko kraty i schować tam drugi klucz.

 Ojciec zamyślił się.

 – Synu, w twoich słowach jest zdrowa myśl. Tak właśnie zrobimy.

 Musiała być zdrowa myśl, no pewnie! Myślałem o tym przez trzy doby, od czasu, kiedy Stefan zaczął kuć nową kratę. No bo jaki byłby dla mnie pożytek z tunelu, gdybym nie mógł wyprowadzić przez niego smoczycy?

**ROZDZIAŁ 9: Jak ciocia Elli mnie złapała.**

 Kiedy wreszcie zdołałem zobaczyć ogon smoczycy, był w większości pokryty cienką i delikatną różową skórką. Łuski na nim nie było, z wyjątkiem tego kawałeczka, który wyczyściłem rok temu. Postanowiłem poczekać, dopóki nie upewnię się, czy łuski rosną, czy nie. Jeśli zaczną rosnąć, można będzie śmiało opowiedzieć o wszystkim cioci Elli. A jeśli nie… Cóż, chyba i tak będę musiał jej opowiedzieć. Może ona wie, co robić w takich wypadkach? Gdy jednego z naszych psów przypadkowo poparzono wrzątkiem i wypadła mu na boku cała sierść, dama Flora smarowała mu bok sadłem niedźwiedzim, a pies szukał jakichś trawek i znowu na boku zaczęła mu rosnąć sierść. Może i smoczyca będzie musiała jeść coś szczególnego? Postanowiłem jeszcze trochę z tym poczekać, zwłaszcza że ojciec z Oortonem i Stefanem często schodzili do podziemi – do śluzy i tunelu. Przepłukaliśmy go jeszcze dwukrotnie, ale robiliśmy to w nocy, żeby woda w studniach do rana się odstała, a także żeby nie robić zamieszania w wiosce. Po drugim płukaniu błota już zupełnie nie było, ale przez zamek przetoczyła się fala słuchów, że znowu obudził się Czarny Upiór, który chodzi po piwnicach i wyje, aż cały zamek drży i na półkach pobrzękują naczynia. Już dwa razy wył tak po prostu, a za trzecim razem na pewno kogoś zje.

 Po miesiącu pierzchły wszelkie wątpliwości. Przez różową skórę zaczęły przebijać się łuski koloru sałaty. Widocznie dla cioci Elli było to bardzo niewygodne, gdyż smoczyca nie mogła się na niczym skoncentrować. Raz, kiedy zajmowaliśmy się fechtowaniem, nagle głośno krzyknęła i wypuściła miecz z paszczy.

 – Ciociu Elli, co się stało?

 – Pewnie pień, wokół którego okręcono mój ogon, zgnił doszczętnie i rozsypał się w próchno. Bo wydawało mi się, że poruszyłam ogonem. Zaklinam cię na naszą przyjaźń, John, nie mów o tym nikomu!

 Czuło się, że smoczycę strasznie boli, ale boi się do tego przyznać. Kiedy tylko znalazłem chwilę czasu, od razu pobiegłem do dalekiego pokoju. Lady Elana naprawdę poruszyła ogonem, wyprostowała go! Ale ogon obrósł skórą tylko z góry i z boków, na spodniej stronie jej nie było i teraz stamtąd obficie ciekła krew. Ogon lekko podrygiwał. Nigdy nie widziałem tyle krwi i nie wiedziałem, co robić. Pokryła już całą podłogę wydłubanego przeze mnie pokoju i w świetle latarni błyszczała czerwono-czarnym jeziorem. Szybko jednak zobaczyłem, że zaczyna gęstnieć. Mimo to przesiedziałem w kucki całe trzy godziny, dopóki się nie upewniłem, że krwawienie się skończyło. Potem poszedłem do cioci Elli i rozmawialiśmy i głupstwach. Smoczyca zaśpiewała mi piosenkę. Oto ona:

Lew ma ogon długi, mocny,

 A osioł ma ogon ośli.

 Ma go tygrys, słoń i lama,

 Tylko ja i ty nie mamy.

 Więc w dniu patrona mojego

 Kupię ogon za złotego.

 Sprzedawca mi wzrost wymierzy

 I pod wzrost ogon dobierze.

 Wspaniały ogon dobierze.

 Powiem lwu, słoniowi, ziębie:

 „Już wam zazdrościć nie będę.

 Patrzcie, od dzisiaj ja także

 Mam już swój ogon, a jakże.

 Mam piękny ogon, a jakże!:.

 Usłyszawszy tą piosenkę, zrozumiałem, że wszystko w porządku. I rzeczywiście, w następnych dniach tak silnych krwotoków nie było. Ciocia Elli bez końca nuciła piosenkę o ogonie i była w wesołym i marzycielskim nastroju.

 Po tygodniu doszedłem do wniosku, że można dłubać dalej. Nie było mi już tak wygodnie pracować, gdyż bałem się nastąpić na jej ogon albo upuścić na niego kamień. Poza tym ciocia Elli czasem poruszała ogonem i mogła natknąć się na moją nogę. Ale te niewygody trwały bardzo krótko, bo już na trzeci dzień wpadłem.

 Zaledwie zacząłem pracę, a już jeden z wyciąganych ze ściany kamieni upadł i zawadził o ogon smoczycy. Przez pięć sekund ogon pozostał nieruchomy, po czym chlasnął mnie po nogach i okręcił się dookoła prawej kostki. Zamarłem w nadziei, że… Nawet nie wiem, na co wtedy liczyłem. Ale ogon nie puszczał. Stałem tak nieruchomo z kwadrans, po czym spróbowałem oderwać rękami ogon od mojej nogi. Ha! Pod moimi palcami naprężył się i zrobił się twardy jak stal. Gdyby lady Elana zechciała, z łatwością złamałaby mi nogę. Porzuciłem bezużyteczne próby i zamyśliłem się, jak zakomunikować cioci Elli, że to ja. Nie pomogło ani głaskanie, ani klepanie ogona, więc zacząłem pisać palcem na jego grubej części litery.

 „Ciociu Elli, to ja, John” – napisałem trzy razy, zanim ogon puścił moją nogę. Od razu pobiegłem do smoczycy i opowiedziałem jej wszystko. Zgodnie z moimi przewidywaniami rozpłakała się, Kobiety zawsze płaczą zamiast cieszyć się, wiedziałem to po mamy damach dworu. Chyba z dziesięć razy kazała mi wciąż od nowa opowiadać, jak uwalniałem jej ogon z zamknięcia w kamieniu. Przyznałem się, że w zeszłym roku nie było żadnego szczura.Ciocia Elli chwaliła mnie, że uwalniałem jej ogon tak ostrożnie, że nawet niczego się nie domyślała. Potem układaliśmy plany na przyszłość. Ciocia Elli powiedziała, że, nawet gdybym odkopał ją całą jutro, i tak z piwnicy będzie mogła wyjść dopiero za trzy lata, gdyż boi się nawet wyobrażać sobie, co się stało z jej skrzydłami. A bez skrzydeł się nie da. Co ona zrobi, jeśli na nią napadną ludzie? Zasady moralne zakazują jej zabijania. Myślałem, że mówi o mnichach, ale okazało się, że to zwykłe uprzedzenia. I znów opowiadałem, jak wyjmowałem kamienie. Ciocia Elli powiedziała, iż to nawet dobrze, że nie widzi swego ogona, gdyż robi się jej strasznie już od samych moich opisów. Powiedziała też, że gdzieś wysoko w niebie lata jej sputnik. Ona go czuje, tylko nie nosem, a jakoś inaczej. Nie wie, jak to wyjaśnić, gdyż ludzie nie mają tego zmysłu; ale czuje, jak nad nią przelatuje trzy albo cztery razy na miesiąc. Zapytałem ją: jeśli ona go czuje, to i on ją też, więc dlaczego jej nie uwolni? Odrzekła, że on jej nie czuje i mogłaby go wezwać tylko mając coś, co nazwała „przekaźnikiem”. Długo ją wypytywałem, ale nie zorientowałem się do końca, o czym mówi. Zrozumiałem tylko, że ten jej sputnik to nie jest smok, a nawet jakoby w ogóle nie jest żywy – ciocia Elli cały czas to podkreślała – ale mógłby w każdej chwili połączyć się z innymi smokami i wezwać je na pomoc. Przyjaciele cioci Elli na pewno długo jej szukali, kiedy nie powróciła w terminie, ale nie tutaj, tylko tam, gdzie ona miała lecieć. Na pewno stracili na to co najmniej rok i przewrócili całą tamtą planetę do góry nogami, ona to wie. A ja muszę wiedzieć, co się dzieje, jeśli oszukujesz przyjaciół. Zapytałem jeszcze, czy sputnik może umrzeć. Odpowiedziała, że może, raz już tak było, około pięćdziesięciu lat temu. Nie czuła go wtedy przez całe dwa miesiące, ale potem znowu się pojawił. Ciocia Elli sądzi, że przyleciały smoki i wstawiły mu nowe mózgi. Byłytak blisko, a ona siedziała w piwnicy. Było jej tak wstyd…

 Teraz, kiedy ciocia Elli wiedziała, że ją uwalniam, praca zrobiła się z jednej strony łatwiejsza, ale z drugiej… trudniejsza. Ciocia Elli wymagała, żebym zachowywał konspirację – czyli nie przepadał na całe dni w podziemiach, nigdy nie spóźniał się na zajęcia i posiłki, żeby ojciec nie musiał wysyłać ludzi, aby mnie szukali, no i zawsze mył się po pracy. Wymyśliliśmy także wiele umownych sygnałów. Gdy przychodziłem do tajnego pokoju, zawsze najpierw trzykrotnie pociągałem smoczycę za ogon, żeby wiedziała, że to ja. Jeśli ktoś przychodził do smoczycy, robiła znak ogonem i wstrzymywałem pracę, żeby nikt nic nie usłyszał. Jeśli ktoś mnie szukał, ciocia Elli robiła ogonem inny znak, zdejmowałem ubranie robocze, ubierałem czyste, myłem się w strumieniu i biegłem dowiedzieć się, o co chodzi. Wkrótce domownicy przywykli, że trzeba mnie szukać u smoczycy. Nawet, jeśli mnie tam nie było, ciocia Elli dla pozoru głośno gwizdała i niedługo się pojawiałem. Za jej radą zgromadziłem w swoim pokoju wiele osobliwości, znalezionych w podziemiach. Na przykład nad mim łóżkiem wisiał starożytny miecz o falistym ostrzu. Bardzo dziwny miecz, wyglądający, jakby odbił się w wodzie, po której powierzchni przebiegły drobne fale. Smoczyca mówiła, że te znaleziska będą wyjaśniały moje zamiłowanie do podziemi. Wszystko to bardzo mnie opóźniało, ale główną przeszkodą było co innego. Po pierwsze, nie mogłem wyczyścić od razu dużego kawałka smoczycy, gdyż to ją bardzo bolało, a po drugie, baliśmy się, że sufit się zawali. Roztwór, spajający kamienie, był obok ciała smoczycy zupełnie miękki, im dalej od niej, tym twardszy, a w odległości metra robił się twardy jak kamień. Ale według wszystkich naszych obliczeń od grzbietu smoczycy do podłogi sali na parterze było niewiele więcej niż metr. Co prawda, ciocia Elli liczyła na to, że zaprawa, nie stykając się z jej ciałem, znowu stwardnieje. Długo opowiadała mi o zawiłościach architektury, ale ja z tego zrozumiałem tylko jedno: żeby sufit nie runął mi na głowę, muszę wyjmować kamienie tak, żeby wyszło półkuliste sklepienie, w żadnym wypadku nie płaski sufit, który może się zawalić. I była jeszcze jedna komplikacja: mogłem uwolnić smoczycę z góry i z boków, ale jak to zrobić od dołu? Z ogonem wszystko dobrze się skończyło, ale ile było krwi! Ciocia Elli mówiła, żebym się nie martwił na zapas. Problemy będziemy rozwiązywali w miarę ich powstawania. Ale sama się martwiła. Raz wygadała się, że zupełnie osłabła jej tłocznia brzuszna i boi się, żeby jej nie wypadły jelita. Co to jest ta tłocznia brzuszna, wiedziałem z lekcji sztuk walki i fechtowania. Baliśmy się tego samego.

**ROZDZIAŁ 10: Jak ciocia Elli zachorowała, a ojciec okazał się skąpcem nad skąpcami.**

 Ciocia Elli mężnie znosiła ból. Postanowiliśmy najpierw jak najszybciej uwolnić skrzydła i pasy wzdłuż boków, żeby zaczęła narastać błonka. Będzie to trwało bardzo długo, więc ciocia Elli postanowiła zaryzykować. Zacząłem ryć dwa wąskie tunele wzdłuż boków smoczycy. Kamienie zajmowały już tyle miejsca, że zacząłem je do drugiego pokoju. Miejsca w nim było dużo, ale bałem się, że podłoga może nie wytrzymać. Ciocia Elli powiedziała, że ten problem trzeba rozwiązać naukowo. Jeśli podłoga może się zawalić, to muszę sam w niej zrobić dziurę i wypełnić kamieniami pomieszczenie poniżej. Dokładnie przez dwa tygodnie dłubałem podłogę, potem przez tydzień rozszerzałem dziurę i jeszcze kilka dni taszczyłem kamienie. Było ich sporo, ale stos okazał się znacznie mniej imponujący, niż myślałem. Stojąc na nim, z trudem sięgałem sufitu. W ciągu dwu lat można było wydłubać ich znacznie więcej.

 A ciocia Elli zachorowała. Zrobiła się senna, oczy jej zmętniały, łuski jeszcze bardziej zbladły. Znikło jej radosne podniecenie, w którym żyła od kilku tygodni, i nastąpiła apatia. Nie wiedziałem, co robić. Kiedy smoczycy zaczęły krwawić dziąsła, Oorton także zaniepokoił się i wezwał ojca. Ojciec zszedł, upewnił się naocznie i zaprosił lekarza, wykształconego na akademii w stolicy. Lekarz długo oglądał dziąsła, język, gardło, macał puls, prosił ciocię Elli, żeby ta głęboko oddychała, a potem, żeby nie oddychała. Odciągał jej powiekę i oglądał oczy. Potembiegał po pokoju i mamrotał, że to niemożliwe. Że żadna samica nie może zajść w ciążę bez męskiego nasienia. W tym momencie mama, która też zeszła do cioci Elli, ostro kazała mi wyjść. Myślała, że nic o tych sprawach nie wiem. A ja już dwa razy widziałem, jak kobyła się źrebi. Pomagałem koniuchowi, wycierałem źrebaka lnianą szmatką i stawiałem go na nogi. I teraz bardzo się zląkłem o ciocię Elli. Pobiegłem do siebie, włożyłem wysokie buty, zszedłem do strumienia i poszedłem zobaczyć, czy nie dałoby się rozszerzyć otworu w suficie tunelu, którym smoczyca się wypróżnia. Pod otworem już stali ojciec i Oorton.

 – Jeśli w ścianę wbijemy cztery haczyki i naciągniemy na nich niewód, wszystko będzie w porządku – mówił Oorton. – Lady smoczyca mówiła, że ich dzieci rodzą się zupełnie maleńkie, wielkości dłoni.

 – Cztery haczyki to za mało – sprzeciwił się ojciec. – Jeśli maluch wypadnie z siatki, strumień zaniesie go aż do rzeki. Trzeba będzie naciągnąć siatkę tak, żeby nie mógł wypaść.

 W tym momencie ze schodów zawołała nas matka. Wszystko okazało się zupełnie inaczej. Lekarza zmyliło to, że smoki mają dwa serca. Długo jeszcze chodził zamyślony tam i z powrotem, że za jego pamięci nikt nie leczył smoków, że jak może postawić diagnozę, jeśli nie da się obmacać żołądka i ostukać klatki piersiowej. Że nigdy w życiu nie widział zdrowego smoka, więc skąd ma wiedzieć, na co ten jest chory. Pod koniec zakomunikował, że to przypadek rzadki i złożony, więc musi odświeżyć wiedzę z ksiąg. Ojciec, nie mając już nadziei, pozwolił lekarzowi zapoznać się z biblioteką zamku.

 Minęły dwa dni trwożnego oczekiwania. Ciocia Elli zupełnie upadła duchem, prawie nic nie jadła, głowę położyła na stole, oczy zamknęła. Trzy razy biegłem sprawdzić, jak narasta jej skóra na bokach – w ogóle nie narastała! Strach było patrzeć! Cienkie ścianki roztworu między moimi tunelami a bokami smoczycy popękały, pewnie od oddechu. Mięso zaschło skórką, ale skórka popękała i ze szczelin sączyła się krew. Warstwa zgęstniałej krwi na podłodze miała już chyba z dziesięć centymetrów grubości.

 Na trzeci dzień lekarz, blady jak widmo, urządził Oortonowi i jego pomocnikowi prawdziwe przesłuchanie. Czym karmią smoczycę teraz, czym karmili wcześniej?

 – Dobrze karmimy. Zanosimy jej wszystko, co jemy sami. Wcześniej karmiliśmy gorzej – odrzekł Oorton.

 – Witaminy! – krzyczał lekarz, potrząsając księgą. – Chora ma szkorbut! Awitaminozę w najgorszej postaci! Organizm potrzebuje witamin! Marchew, jabłka, warzywa, owoce! Mogą być nawet surowe ziemniaki. Wszystko, co zawiera witaminy! Natychmiast i jak najwięcej! Zaczęliście karmić ją tylko smażonym i gotowanym, a od tego witaminy się rozkładają!

 Sam chwycił koszyk jabłek, zaniósł do podziemi i kazał smoczycy zjeść wszystkie aż do ostatniego. Wieczorem przyniósł dwa wiadra marchwi i też kazał jej to zjeść. Ciocia Elli z początku odniosła się do takiego leczenia z niedowierzaniem, ale wkrótce poweselała, szepnęła mi na ucho, że wszystko zrozumiała. No i zaczęła wcinać wszystko, co przynosił jej lekarz. Po tygodniu znowu zrobiła się rześka i wesoła, a boki zarosły delikatną różową skórką. Lekarz kazał Oortonowi dodawać do zwykłego posiłku smoczycy wiadro zieleniny i wiadro mleka. A kiedy ojciec zaczął mówić o zapłacie, lekarz powiedział, że zamiast pieniędzy chciałby wziąć kilka ksiąg – i pokazał, które.

 – A co pan sądzi o tej książce? – zapytał ojciec i zdjął z półki mały, podniszczony tomik.

 –Wspaniały i bardzo rzadki egzemplarz!

 – Pozwoli pan, że zrobimy to inaczej. – Ojciec wyjął arkusz papieru i napisał, że okaziciel tego, lekarz taki a taki, ma prawo korzystać z księgozbioru zamku Kongów o każdej porze dnia i nocy, a także wypożyczać za pokwitowaniem na długi czas każdą książkę z wyżej wymienionej biblioteki. Podpisał, odcisnął pieczęć Kongów, poczekał, aż wyschnie atrament, złożył arkusz we czworo i wręczył lekarzowi ze słowami: – Całość zawsze jest lepsza od części. Chciałbym dodać, że w zamku Kongów zawsze znajdzie się dla pana pokój do spania, służąca i miejsce przy stole. Słowo lorda! – Dodał jeszcze do arkusika dwa trzosy złota. Lekarz odszedł nadzwyczaj zadowolony.

 Wieczorem mama chciała ojca skarcić za rozrzutność, ale ten zaprzeczył:

 – Coś ty, kochana? Ależ ja jestem skąpcem nad skąpcami! Księgi, o które on prosił, kosztują dziesięć razy więcej! A papierek, który napisałem, nie kosztuje nic. Takiego szanownego człowieka wpuściłbym do biblioteki w każdej chwili, wystarczyłoby mu tylko mnie poprosić

 Byłem tak zaskoczony, aż zapomniałem o jedzeniu. Dwadzieścia ksiąg ma większą wartość niż dwadzieścia trzosów złota! Trzeba będzie o tym porozmawiać z ciocią Elli. Więc to dlatego tylko dwukrotnie znajdywałem w podziemiach książki! Są zbyt cenne, żeby je tam chować! A w bibliotece ojca jest ich tak dużo! Dlaczego w takim razie ojciec nie zakratuje okien i nie wstawi podwójnych drzwi, jak w skarbcu? I jeszcze jedno: ojciec nazwał lekarza szanownym człowiekiem. A on ubiera się jak czeladnik i ma tylko jednego konia. O tym także trzeba będzie porozmawiać z ciocią Elli.

**ROZDZIAŁ 11: Owesołym pogrzebie Ralfa Hieny.**

 – Nie, szkorbutu smok w zasadzie mieć nie może. A co do reszty lekarz ma rację. Od czasu, kiedy zacząłeś mnie uwalniać, mój organizm zaczął potrzebować wiele sił na odtworzenie tego, co straciłam. Ogon obrasta mi łuskami, a do tego potrzebna jest połowa tablicy Mendelejewa. I, jak mówiłeś, straciłam bardzo dużo krwi. Dopóki nie zaczęła się regeneracja, jedzenia, które mi przynosił Oorton, całkowicie wystarczyło. Później jednak organizm wyczerpał rezerwy wewnętrzne i zrobiło mi się gorzej.

 – Ciociu Elli, a czy szybko zgromadzisz nowe rezerwy?

 – Myślę, że jeśli codziennie oczyścisz kawałek wielkości dłoni, to się już nie powtórzy.

 I tak postanowiliśmy. Wszystko szło dobrze, uwolniłem już skrzydła od góry, kiedy ciocia Elli szarpnęła się z bólu i oderwała skrzydła z dołu. Początkowo myślałem, że tylko prawe, ale okazało się, że oba. Znowu było wiele krwi, smoczyca z bólu cała drżała i szczękała zębami, mocno zmrużywszy oczy. Bałem się, że Oorton zobaczy, że z nią jest kiepsko, ale kolację przyniósł pomocnik, cioci Elli do tego czasu już nieco się polepszyłoi nic nie zauważył.

 – Wiesz co, John, tak jest nawet lepiej – powiedziała dwa dni później. – Po co mam męczyć się kilka tygodni, lepiej już od razu. Nie zauważyłeś, czy nowa błonka zaczęła już rosnąć?

 Ba, żeby ona widziała swoje skrzydła! Zgodnie z jej przypuszczeniami, po starej błonce nie pozostało już ani śladu, tylko wąskie szczeliny w zaprawie między kamieniami. A nowa błonka… Wyobraźcie sobie oskubanego kurczaka, z którego skrzydeł zdarto skórę, ale zrobiono to bardzo niedbale. Miejscami od dołu poczerniałymi od krwi sopelkami wiszą urwane włókna mięśni… Nie, lepiej jej tego nie opisywać.

 – Ależ ciociu Elli, jak ona mogła zacząć rosnąć, jeśli minęły dopiero dwa dni? Ale na ogonie łuski się przebijają – to dobrze widać. Paskami.

 Mijały dni. Powoli uwalniałem grzbiet smoczycy. Ciocia Elli sama mówiła, że nie mam się gdzie śpieszyć, gdyż błonka będzie narastała ponad trzy lata, ale codziennie interesowała się, jak stoją sprawy. A stały kiepsko. Skóra na oczyszczonych kawałkach narastała dużo wolniej niż wcześniej, a błonka tylko się zaznaczyła, ale zupełnie nie rosła. I bardzo się bałem, że sufit się zawali i przygniecie smoczycę. Pracować było bardzo niewygodnie, gdyż od grzbietu smoczycy do formowanego przeze mnie sklepienia sufitu było zaledwie trzydzieści centymetrów. A spróbujcie ułożyć dobre sklepienie, jeśli ci, którzy kiedyś kładli kamienie, o tym nie myśleli. Niektóre kamienie były bardzo duże, a grzbiet smoczycy pod nimi był jedną wielką raną. Po ich wyjęciu przerywałem zwykle pracę na kilka dni.

 Do oczyszczenia pozostało mi już tylko dwa metry grzbietu, kiedy stało się nieszczęście. Tego dnia nauczyciel geometrii zaczął opowiadać mi o twierdzeniu Pitagorasa.

 – Wiem – powiedziałem. – W obie strony jednakowe spodnie Pitagorasowe. Kwadrat przeciwprostokątnej równa się sumie kwadratów przyprostokątnych.

 – A dowód znasz?

 – Pamiętam dwa. A ciocia Elli zna pięć.

 – A słyszałeś o wielkim twierdzeniu Fermata?

 – A do potęgi n plus B do potęgi n jest różne od C do potęgi n dla n większego od dwa. Tylko ciocia Elli nie wie, jak tego dowieść.

 – Tego nikt nie wie.[[1]](#footnote-2) John, nie pytałeś ani razu ojca, po co on zaprosił mnie na zamek?

 – Ciocia Elli mówi, że nie jest nauczycielem i nie może dać mi systematycznego wykształcenia. Poza tym ponad dwieście lat nie zaglądała do ksiąg, więc mogła sporo zapomnieć.

 – To znaczy, że i ze mnie może być jakiś pożytek. Miło mi to słyszeć.

 Ten nauczyciel od razu mi się spodobał. Nie zadzierał nosa, jak wielu innych. I nie udawał, że bez jego nauczania słońce się zatrzyma. Jeśli upewnił się, że znam temat lekcji, zwalniał mnie z zajęć. Ale jeśli nie znałem… Do obiadu, bez żadnego pobłażania. Gdybym nie był jedynym uczniem, stawiałby mnie w kącie na kolanach, jak mówił. Ale byłem przyszłym lordem, i ze mną pracował sam na sam. Za to pozostałych uczył w grupie i Samantha nieraz stała w kącie. I Locke stał w kącie, i Mickle, i Nikola. Jednak dobrze jest być lordem!

 Ponieważ lekcję znałem, zostałem zwolniony dwie godziny wcześniej. Za pozwoleniem ojca wziąłem lunetę i wspiąłem się na główną wieżę. Jak wyraźnie wszystko było widać! Widziałem, jak kury chodzą po ulicy tak dokładnie, jakby spacerowały po podwórzu zamku. A potem zobaczyłem, jak w rzece kąpią się dziewczyny z wioski.. Kompletnie nagie. A Samantha i jej armia podkradają się do ich ubrań. Myślałem, że zechcą je schować, ale zrobili coś znacznie chytrzejszego: zawiązali w sukienkach rękawy w węzły i położyli na miejsce. A potem Samantha włożyła dwa palce do ust i głośno zagwizdała. Ależ tam się zrobiło zamieszanie! Dziewczyny musiały bardzo głośno piszczeć, gdyż na ich krzyki przybiegł pastuch, który niedaleko pasł krowy. Wszystkie dziewczyny gołe, rozwiązują węzły – i nagle on przybiega! Ależ było wesoło! Któż jeszcze, oprócz Samanthy, mógłby coś takiego wymyśleć?!

 Zaniosłem lunetę na miejsce i pobiegłem do cioci Elli opowiedzieć o tym, co widziałem. Smoczyca była przerażona.

 – John, biegnij szybciej do ogona! Chyba zabiłam człowieka! – zawołała.

 Pobiegłem. Rzeczywiście, Ralf Hiena leżał z rozbitą czaszką. Był jednym z żołnierzy, strzegących murów zamku. Hiena to przezwisko. Ojciec miał zamiar go wygonić z zamku, i lepiej by to zrobił. Matce było jednak żal Flory, do której Ralf się zalecał. Po chwili zauważyłem, że z ogona smoczycy sterczy rękojeść noża Hieny, i wiedziałem już wszystko. Ciocia Elli objęła Ralfa ogonem i chciała poczekać na mnie. Mieliśmy już dawno obmyśloną bajeczkę na taki przypadek. Że ten pokój to wielka tajemnica, że ojciec zabija każdego, kto do niego trafi – czyli trzeba trzymać język za zębami. Nikt nie może wiedzieć, że smok zamku Kongów stracił wszystkie łuski. Wszyscy muszą myśleć, że jest zdrowy i silny. Na dowód pokazałbym pergamin z tekstem przysięgi, składanej przez lorda, obejmującego władzę na zamku. Niektóre miejsca w tym tekście można interpretować bardzo szeroko. Ale Ralf Hiena nie chciał czekać, aż ktoś przyjdzie po niego. Wyjął nóż i uderzył ciocię Elli. Gdyby łuski na ogonie zdążyły odrosnąć… Ciocia Elli mówiła, że, gdy łuski już wyrosną, nie przebije ich nawet strzała z kuszy. Ale łuseczki jeszcze nawet nie pokrywały się wzajemnie.Smoczyca z bólu szarpnęła ogonem i uderzyła głową Ralfa o ścianę.

 Pobiegłem z powrotem i powiedziałem jej, że z jej ogona sterczy nóż. Niech pocierpi, zaraz go wyjmę. Zwinęła ogon w ślimacznicę i nawet nie drgnęła, kiedy wyciągałem nóż. Na szczęście to był zwykły nóż. Bywają noże podobne do rybackich haczyków, z ząbkami na tylnej stronie ostrza. Żeby taki nóż wyjąć, trzeba włożyć do rany drugi nóż – jeśli jego rękojeść nie jest zbyt szeroka i nie przeszkadza. A bywają też noże, do których ostrzy przynitowano sprężyste płytki. Kiedy go wbijasz, płytki przyciskają się do ostrza i nie przeszkadzają, a kiedy chcesz wyjąć – rozkładają się na boki. Takiego noża w ogóle nie da się wyjąć. Ale Ralf miał najzwyklejszy nóż. Gdy go wyjąłem, krew najpierw silnie trysnęła, ale szybko się zatrzymała. I bardzo dobrze – przemyła ranę.

 Przeciągnąłem ciało Ralfa do dużego pokoju i zacząłem się zastanawiać, jak on tu się dostał. Drzwi do pokoju były zamknięte na kłódkę. Klucz leżał w skrytce w sąsiednim pokoju. Pobiegłem tam. Klucza nikt nie ruszał. Korytarz z obu stron także był zamknięty. Sam rok temu powiesiłem kłódki i zawaliłem drzwi od zewnątrz starymi gratami. Nie, chwileczkę! Dalsze drzwi są uchylone. Kłódka zdjęta, ale klucz w skrytce… I tu mnie olśniło. Szybko obszukałem kieszenie Ralfa i znalazłem to, czego szukałem. Wytrychy! Ralf zajmował się tym samym, co ja dwa lata temu – szukał skrzyń ze skarbami. Ale ja miałem prawo, to był mój dziedziczny zamek, a on był podłym złodziejem! Łajdak! Za coś takiego obcinają prawą rękę i piętnują na czole. Ale gdybym opowiedział ojcu, że on nas grabił, on z kolei mógłby wygadać się o ogonie cioci Elli. Tak, że naprawdę dobrze się stało, iż ona go zabiła.

 Kiedy opowiedziałem lady Elanie o wszystkim, pokazałem wytrychy i pochwaliłem ją, ona się rozpłakała. Nigdy nie widzieliście, jak płaczą smoki? Myślicie, że „strumienie łez” to wymysł? Ja też początkowo tak myślałem, ale u niej łzy ściekają po nosie i ciągle kapią na podłogę, aż zbiorą się w kałużę, z której wypływa strumyczek, wpadający do ścieku. Widziałem już, jak ciocia Elli płacze, ale tak obficie nie płakała jeszcze nigdy. A przecież nie było żadnego powodu do płaczu. Gdyby przypadkowo zabiła Oortona, to inna sprawa. Ale płakać z powodu Ralfa Hieny… Ciocia Elli też ma jednak swoje dziwactwa.

 – Ciociu Elli, gdybyś ty go nie zabiła, ja bym to zrobił – powiedziałem, żeby ją pocieszyć. – Przecież on grabił nasz zamek.

 – John, nie chciałam go zabijać, słowo smoka. To przypadek, wierz mi. Wierzysz?

I akurat wtedy, w najmniej odpowiednim momencie, przyszedł Oorton.

 – Na święty kielich, lady Elano, co się z panią dzieje? Źle się pani czuje? Lord ma sprowadzić lekarza?

 – Nie Oortonie, lekarz tu nic nie poradzi – odpowiedziała smoczyca przez łzy. A mnie aż zimno się zrobiło. Taka uczciwa, może się przyznać do wszystkiego.

 – W czym mogę pani pomóc, lady? – zapytał Oorton.

 – Ach, Oortonie, od dwustu lat nie widziałam nieba. Nie zwracaj uwagi, po prostu się rozkleiłam.

 Oorton odszedł, zamyślony, a ciocia Elli zlizała łzy i trąciła mnie nosem w ramię.

 – Zwróciłeś uwagę, John, jak on się do mnie zwracał? Lady! Dziesięć lat temu nie wyobraziłabym sobie tego w najśmielszych snach. I to wszystko dzięki tobie, John.

 Zaczęliśmy się zastanawiać, co zrobić z ciałem Ralfa. Zaproponowałem, żeby je wrzucić przez dziurę w podłodze do pokoju, do którego usuwałem kamienne i przysypać z góry nowymi. Ale ciocia Elli powiedziała, że mogą go tam znaleźć, zwłaszcza, jeśli zacznie śmierdzieć, i będę miał olbrzymie kłopoty. Lepiej spuścić ciało w tunelu strumienia. Tak właśnie zrobiłem. Ubrałem wysokie buty, nieco uchyliłem śluzę i zawlokłem Hienę do strumienia. Potem środkiem strumienia ile się dało. Kiedy woda podniosła się do wyłogów butów, wróciłem przy ścianie i zamknąłem śluzę. Potem ponownie zamknąłem na kłódkę drzwi korytarza i zasypałem je gratami. Ciocia Elli zapytała, czy nie bałem się widoku krwi. Roześmiałem się jej w nos. Mało kto widział tyle krwi i gołego mięsa, ile ja przy jej uwalnianiu. A ile jeszcze zobaczę! Bądź co bądź, uwolniłem ją dopiero w jednej trzeciej. Może nawet trochę mniej.

 Oorton dobrze to wymyślił! Razem z ojcem zdjęli ze ściany duży obraz i przynieśli go w podziemia do cioci Elli. Na obrazie była leśna polana, strumień i niebo z obłokami. Lady Elana zachwycała się nim godzinami.

 Nazajutrz późno w nocy otworzyłem śluzę. Potok wody powinien był zanieść ciało tak daleko, że nikt go już nie znajdzie. Następnego dnia po zamku poszły słuchy, że Ralfa pożarł Czarny Upiór Dwa razy ryczał tak sobie, a za trzecim razem porwał człowieka. Najśmielsi proponowali przeszukać podziemia zamku i zabić upiora. Przeraziłem się nie na żarty. Ale nagle, w samą porę, ciało Ralfa wyłowiono koło wioski. Wszyscy doszli do wniosku, że upadł, uderzył się w głowę i utonął w rzeczce. Gdy zaczęto segregować jego rzeczy, znaleziono w jego skrzyni wiele starych i cennych przedmiotów. Popatrzyłem i powiedziałem, że to wszystko widziałem w podziemiach. Domownicy i żołnierze potwierdzili, że kilka razy widzieli, jak w czasie wolnym od dyżurów czasie Hiena schodził do podziemi. Ojciec wezwał wszystkich mieszkańców zamku, kilka przedmiotów rozpoznano i oddano właścicielom, z reszty najcenniejsze poszły do zamkowego skarbca, a pozostałe ojciec rozdzielił między żołnierzy i Florę. Wszyscy byli zadowoleni i Ralfa Hienę pochowaliśmy bardzo wesoło. Żołnierze przerzucali się żartami, że nawet z Ralfa może być pożytek w gospodarstwie, trzeba go tylko trochę utopić. I zastanawiali się, kogo jeszcze należałoby utopić dla wspólnej korzyści. Proponowali dryblasa Hopkinsa, gdyż łatwiej byłoby go utopić niż wykarmić. Nie pamiętam drugiego tak wesołego pogrzebu. Tylko ciocia Elli płakała po Hienie.

 A następnego dnia po pogrzebie na zamek wrócił lekarz. Ojciec i matka powitali go ciepło, a ja zaniepokoiłem się, myśląc, że będzie badał ciocię Eli i przeszkadzał nam, ale on powiedział, że chciałby popracować w bibliotece. Ojciec przydzielił mu pokój w pobliżu, posłał służące, żeby tam posprzątały, a jedną z nich, imieniem Pearley, przydzielił lekarzowi i kazał jej spełniać wszystkie jego życzenia. Jej właściwe imię to Pearl, a ciocia Elli powiedziała, że to taki drogocenny kamień, który rośnie w muszlach. Jak może rosnąć kamień, nie zrozumiałem, ale ciocia Elli wie swoje. Pearley miała dziewiętnaści lat i już od trzech lat nosiła obrożę. Wcześniej mieszkała z ojcem w wiosce, ale ojciec narobił długów, potem padł im koń, długi z procentami rosły i rosły, aż w końcu, zgodnie z prawem, po czterech latach osądzono ich. Ponieważ nie było co im zabrać, napiętnowano ich gorącym żelazem, co prawda nie na czole albo policzku, jak złodziejom, tylko na ramieniu, jak uczciwym ludziom. Ojca wypuścili, gdyż tak czy owak był słaby i chorowity, a Pearl włożyli obrożę i sprzedali jako niewolnicę. Ojciec ją wykupił i już trzeci rok mieszka w naszym zamku jako służąca.

 Lekarza w jadalni posadzono przy pierwszym stole gości, z czego wielu było niezadowolonych, ale nie odważyli się sprzeciwiać, gdyż posadził go tam sam ojciec. Zresztą lekarz rzadko jadł obiad ze wszystkimi. Zazwyczaj, zapominając o wszystkim, przesiadywał całymi dniami w bibliotece, a zgłodniawszy, biegał do kuchni albo posyłał Pearley po coś do jedzenia. Kilka razy patrzyłem, jakie on czyta książki. Nuda. Na przykład o komplikacjach przy porodach u krów, wyobrażacie sobie! Przecież jeśli krowa czy kobyła nie może się prawidłowo wycielić, trzeba ją zabić na mięso, żeby nie psuła rasy. Tak mówi nasz koniuch, a on się na tym zna. Jeśli krowa jest słaba przy porodzie, to jej potomstwo będzie jeszcze gorsze – i tak pójdzie. A stado musi być silne i płodne. Kiedy opowiedziałem o tym cioci Elli, ta tylko uśmiechnęła się smutno, ale nie zaprzeczyła. I zaczęła opowiadać mi o doborze naturalnym, selekcji, pochodzeniu gatunków i Darwinie. Okazuje się, że ludzie pochodzą od małp, a smoki – od nikogo. Ludzie je stworzyli. Teraz już wiecie, dlaczego ród Kongów jest taki znamienity? Kongowie to po naukowemu małpy. Nasz ród pochodzi bezpośrednio od małp! Jesteśmy pierworodni!

**ROZDZIAŁ 12: Do czego służą okulary i dlaczego Berg się nie ożenił**

 Ciocia Elli zażyczyła sobie obejrzeć obrazy i portrety, jakie były w zamku. Zanosiliśmy je do niej po kolei. Po obejrzeniu wszystkich postanowiła sama nauczyć się malować. Pędzelek trzymała w zębach, ale nie mogła mieszać farb jak potrzeba i to robił za nią Yorick. Początkowo myślałem, że będzie mi to przeszkadzało w pracy, ale malowała tylko rano, kiedy i tak miałem zajęcia z nauczycielami. Bardzo szybko zaczęło jej to całkiem nieźle wychodzić. Namalowała najpierw portret Yoricka, potem mój, potem zielonego smoka imieniem Timur. Tym ostatnim przez dwa dni się zachwycała, na trzeci poprosiła mnie, żebym go wyniósł i nigdy nie przynosił, a na piąty, żebym zwrócił go na miejsce. Kiedy mama się o tym dowiedziała, zeszła do podziemi i długo z nią rozmawiała. Skończyło się to tym, że ciocia Eli namalowała portret mamy z ojcem. Jeśli będziecie w naszym zamku, wejdźcie na pierwsze piętro, a zaraz go zobaczycie, wisi naprzeciw schodów.

 Zaledwie się upewniłem, że mogę swobodnie pracować, kiedy lekarz zaczął chodzić do smoczycy grać w szachy. Najpierw przychodził o każdej porze, ale ciocia Elli szybko przyzwyczaiła go, żeby przychodził rano, kiedy ja się uczyłem, a ona rysowała. Wyjaśniła lekarzowi, że tylko rano czuje umysłową świeżość, a o innych porach nie czuje z gry żadnego zadowolenia, tyko ból głowy. Lekarz przezwał ją rannym ptaszkiem. Ciocia Elli powiedziała mi w tajemnicy, że on gra niezbyt dobrze i bardzo nierówno. Ale wymyśliła inną zabawę: z góry określa, czy tą partię wygra, przegra, czy zremisuje. Bardzo pilnowała, żeby wygranych i przegranych partii było mniej więcej tyle samo. Możecie sobie wyobrazić, jak znakomicie grała, jeśli równocześnie z grą malowała jeszcze swoje obrazy! Ale jeśli lekarz zaczynał szczególnie interesujący atak, zawsze pozwalała mu wygrać, a potem oboje długo i ze smakiem analizowali warianty.

 Kiedy zapytałem lekarza, jak ocenia grę cioci Elli, powiedział, że mogłaby grać znacznie lepiej, gdyby nie rozpraszała się na swoje bohomazy. Niektóre jej kombinacje to szczyty szachowej sztuki. Środek pola utrzymuje znakomicie. Ale czasami robi tak głupie błędy, aż wstyd. Czasem widzi naprzód na dziesięć ruchów, a czasem nie przewiduje na trzy. Ale analizę partii zawsze przeprowadza znakomicie. Tak ma już zbudowany umysł: z fantazją kiepskawo, ale po pewnym czasie wszystko wyjaśni.

 Skończyłem już jedenaście lat, kiedy obaj z ojcem postanowiliśmy zbadać kilka skrzyń w skarbcu. Ludzie mówili, że złote monety z każdym rokiem robią się coraz lżejsze i coraz więcej jest w nich miedzi i srebra, no i ojciec chciał sprawdzić, czy to prawda. Kiedy jednak otworzyliśmy pierwszą skrzynię, znaleźliśmy tam tyle ciekawych rzeczy, że postanowiliśmy sprawdzić wszystkie. Między innymi leżała tam kryształowa czaszka. Był tak chytrze zrobiony, że, gdy podświetliło się go od spodu świecą, oczy zapłonęły czerwienią. Później pokazałem tą czaszkę lady Elanie, która powiedziała, że to taka chytra optyka: tam są pryzmaty i soczewki, a wszystko jest wykonane z jednego kawałka kryształu. Ale najpierw pokazaliśmy tą czaszkę mamie. Kiedy oczy rozbłysły, najpierw się przestraszyła, a potem powiedziała, że my nigdy nie dorośniemy i że zajmowalibyśmy się wszystkim innym, byle tylko wymigać się od nauki. Po co w takim razie wynajmujemy nauczycieli z akademii?

 A w czwartej czy piątej skrzyni znaleźliśmy Rzecz. Wystarczyło ją dotknąć i już stawało się jasne, że to prawdziwa Rzecz. Nawet nie mogliśmy dociec, z czego ją wykonano. I jak ją wykonano! Samo trzymanie jej w rękach było przyjemnością. Czuło się, że wykonał ją naprawdę wielki mistrz. Początkowo myśleliśmy, że to taki rzemień, bo tam była klamerka. Ale tam były jeszcze dwa jasnoszare…nawet nie wiem, jak to nazwać.Jakby maleńką kryształową dynię rozcięto na dwie części, wybrano łyżeczką środek, a skórę wprawiono w szeroki czarny skórzany rzemień, z wygrawerowanym rysunkiem, przypominającym łuski. Łuski… Łuski!

 – Tato, ja wiem, czyje to jest! – zawołałem, chwyciłem Rzecz i pobiegłem do podziemi.

 – Moje okulary! Znalazłeś je! John, czy ja zdołam ci się kiedyś odwdzięczyć? Jesteś prawdziwym przyjacielem! No, włóż je szybciej na mnie! – Smoczyca była niezwykle przejęta.

 Byłem bardzo rozczarowany. Okulary to takie szkła w oprawkach z haczykami, które noszą ludzie słabo widzący. Widziałem je u niektórych nauczycieli. I od razu zrozumiałem, że to rzeczywiście okulary, tylko nie ludzkie, a smocze, cioci Elli. Czyli ona też ma słaby wzrok. Nieznany przedmiot od razu stracił całą aurę tajemniczości. Zrozumiałem też, że zaraz będę musiał się z nim rozstać.

 – Lordzie Riley, pan nie jest moim wrogiem, nie zabierze mi pan okularów, jak sir Thomas?

 Zrobiło mi się przykro za ciocię Elli. Sama mnie przecież uczyła: nie wierz, nie bój się, NIE PROŚ. Czyżby te okulary dla niej aż tak wiele znaczyły, że gotowa jest zapomnieć o swoich zasadach?

 – Proszę się nie bać, lady – powiedział uprzejmie ojciec. –To pani rzecz i zostanie u pani. W przysiędze, którą składałem, wchodząc w posiadanie zamku, nie ma nic o pani rzeczach.

 Lady Elana wyciągnęła do mnie szyję, włożyłem jej okulary na głowę. I zapiąłem klamerkę `pod podbródkiem. Okulary weszły tak dokładnie i wygodnie, jakby były częścią jej ciała. Przez kilka minut smoczyca patrzyła na światło pochodni lekko kręcąc głową. Potem nagle w wygięciu jej szyi coś się zmieniło.Jak gdyby od razu postarzała się o całe dwieście lat, które spędziła w podziemiach. Wydało mi się nawet, że jej jasnozielona łuska jakby posiwiała.

 – Zdejmij je, proszę cię, John – powiedziała ciocia Elli martwym głosem. Posłusznie rozpiąłem klamerkę.

 – Co się stało, ciociu Elli?

 – Umarły. Akumulator się wyczerpał i umarły. Proszę, zostawcie mnie. Chcę pobyć sama.

 Przez wszystkie lata naszej znajomości lady Elana nigdy tak nie mówiła. Przecież wizyty ludzi były jedynymi wydarzeniami w jej życiu. A teraz nawet mnie wyganiała!

 – Ciociu Elli! – krzyknąłem i objąłem ją za szyję.

 – Proszę cię, John… Wiesz przecież, że nic mi się nie stanie. Nie mogę rozbić swojego durnego łba o kamień, bo jest zbyt twardy. Przyjdź jutro, a teraz zostaw mnie, proszę cię!

 Ojciec wziął mnie za rękę i wyszliśmy.

 – Tato, ona powiedziała, że okulary umarły. Jak to możliwe?

 – Nie wiem, synu. Na świecie jest wiele rzeczy, których tajemnica została zapomniana. Niedługo lady Elana sama ci o wszystkim opowie. Uzbrój się w cierpliwość.

 Kolacja minęła w posępnym milczeniu. Ojciec, jak zawsze, kiedy był w posępnym nastroju, kazał podać sobie do stołu nie w ogólnej sali, tylko w oddzielnym pokoju, który nazywaliśmy ponurą jadalnią. Matka chciała od nas dowiedzieć się, co się stało, ale my zgodnie odpowiadaliśmy, że wszystko w porządku i że nie ma się o co niepokoić.

 – Ależ wy jesteście podobni – powiedziała w końcu. – Jak widzę, słusznie piszą w księgach, że złoto kaleczy duszę.

 – Kulą w płot – burknął ojciec.

 – Więc opowiedz.

 – I zamiast jednej ponurej fizjonomii będę widział przed sobą dwie.

 – Niech tak będzie. Ale rodzina będzie razem.

 Ojciec zamyślił się nad tym, jak zwykle szarpiąc płatek ucha, po czym powiedział:

 – John, opowiadaj.

 Kiedy opowiedziałem, matka się rozpłakała. Powiedziała, że wie, jak to ciężko, gdy ktoś umiera. I wtedy dowiedziałem się wielu ciekawych rzeczy. Jak się okazuje, miałem o rok młodszą siostrzyczkę, ale przeżyła tylko jeden dzień. Poród był bardzo ciężki, matka też o mało nie umarła. Lekarz powiedział, że gdyby był syn, umarłaby na pewno. No i nie może mieć więcej dzieci. Proponowała nawet ojcu, by ten ją zostawił i wziął drugą żonę, która urodziłaby mu wielu potomków, ale on odmówił. Za to zacząłem go jeszcze bardziej szanować.

 A w nocy wezwała mnie lady Elana. Krzyczała i błagała, żeby mnie wezwano. Wartownik przy bramie usłyszał i obudził sierżanta, a sierżant Oortona – i, przy okazji, jego żonę. Oorton zszedł do smoczycy, ale ta nic mu nie wyjaśniła, więc obudził ojca, a ojciec mnie. Obudziła się także matka, a sierżant na wszelki wypadek podniósł całą rotę i rozkazał po cichu zająć posterunki na murach. Krótko mówiąc, kiedy schodziłem do podziemi, na zamku nie spały już chyba tylko małe dzieci i kury.

 Ciocia Elli była strasznie podniecona. Gdyby mogła, pewnie podskakiwałaby z niecierpliwości. Jej oczy błyszczały, jakby była chora i nawet zaczęła się jąkać.

 – John, nie mógłbyś wy-wystawić okulary na światło słoneczne? Zupełnie za-zapomniałam, że cały rzemyk… chciałam powiedzieć: cała oprawa to element słoneczny! Jeśli nic się nie zepsuło, kiedy akumulator całkowicie się wyczerpał, one powinne znowu zacząć działać! Tylko proszę cię, nie odchodź od nich ani na krok! Jeśli je ukradną, umrę! Sądzę, że na początek wystarczy trzy godziny. Proszę cię, John, szybciej wystaw je na słońce!

 – Ciociu Elli, mogę wystawić je na światło księżyca.

 – Księżycowe jest za słabe, nie wystarczy energii. Trzeba na słońce.

 – Ależ ciociu Elli, teraz jest noc!

 – Och, mój Boże! W takim razie ciebie obudziłam. To dlatego Oorton tak się rozzłościł! Wybacz mi, John. Zupełnie zapomniałam, że słońce świeci tylko w dzień. Mój Boże, ja chyba umrę z niecierpliwości.

 Byłbym ostatnią świnią i w dodatku jeszcze skończonym durniem, gdybym zostawił ją do rana samą. Zdarzają się takie czasy, że w ciągu jednej nocy cała twoja wiedza o świecie wywraca się do góry nogami. Oboje z ciocią Elli byliśmy wtedy jak pijani. A wy byście nie zgłupieli, dowiedziawszy się, że najmądrzejszy pies czy najwierniejszy koń bojowy nie mogą myśleć, a Rzecz może? Ta myśląca Rzecz nazywa się komputer. Rozumie ludzką mowę lepiej od psa, sam umie mówić, liczy szybciej, niż wszyscy nasi akademicy razem wzięci. A jeśliby zapisać w księgach wszystko, co on pamięta i ustawić te księgi na bardzo, bardzo długiej półce, to wzdłuż tej półki od jednego końca do drugiego jeździec na szybkich, zmienianych koniach galopowałby kilka dni. Co prawda ciocia Elli mówi, że komputery myślą nie tak, jak ludzie czy smoki, nie zrozumiałem jednak, na czym polega różnica. Umieją nawet grać w szachy! W naszym zamku umieją grać tylko ojciec, matka, ktoś z nauczycieli, lekarz i ciocia Elli. Ja wiem, jak poruszają się figury, ale grać nie umiem. Dla mnie to zbyt nudne. Potrafią również tak szybko rysować i zmieniać obrazy, że ci się wydaje, jakbyś patrzył w okno. A za oknem chodzą ludzie, kury dziobią ziarno, kowal podkuwa konia… To się nazywa rzeczywistość wirtualna. Wirtualna – to znaczy nieprawdziwa. Dowiedziałem się także, że tak naprawdę nic nie wiem o naturze rzeczy. Jak się okazuje, ludzie na Ziemi już wiedzą, z czego składają się błyskawice, skąd bierze się burza, dlaczego z jednych chmur pada deszcz, z drugich grad, a trzecie po prostu przelatują obok. Jak się okazuje, nauki mogą być ścisłe i opisowe. Niestety, nasi akademicy zapomnieli wszystkie nauki ścisłe oprócz matematyki. Matematyka jest nauką samą w sobie, a także fundamentem wszystkich pozostałych nauk. Im więcej w danej nauce matematyki, tym jest ona ściślejsza. Tak, że ze ścisłych nauk pozostała u nas tylko geometria. Pozostałe albo zostały zapomniane, albo przekształciły się w opisowe.

 Siedziałem, przytulony do szyi cioci Elli, drżałem z zimna i słuchałem, słuchałem, słuchałem… Dopóki nie przyszedł Oorton z kotłami pełnymi jedzenia – lady Elanę karmiono teraz dwa razy dziennie – i wiadomością, że słońce już wstało. Chwyciłem Rzecz i pobiegłem najpierw do kuchni coś naprędce przekąsić, a potem na główną basztę. Tam oparłem okulary-komputer o blankę tak, żeby słońce świeciło prosto na nie. Na baszcie też było zimno, ale nie aż tak, jak u cioci Elli.

 Kiedy słońce podniosło się wyżej, przesunąłem okulary tak, żeby promienie słoneczne znowu padały wprost na nie. A potem rozgrzałem się, zasnąłem i obudziłem się około południa.

 Obudziwszy się, od razu pobiegłem na dół, do podziemi. Włożyłem na ciocię Elli okulary i zapiąłem je pod podbródkiem.

 – To niemożliwe! –wyszeptała ciocia Elli.

 – Ożyły?

 – Zdejmij i sam zobacz. Może ja mam od tych wszystkich przeżyć halucynacje?

 Zdjąłem jej okulary i zajrzałem w nie.

 – Widzisz czerwony ogienek? – zapytała smoczyca. Przyjrzałem się dokładnie. Ogienek był tak malutki i słabiutki, że można go było zobaczyć tylko w ciemnej piwnicy.

 – Widzę.

 – On mówi, że akumulator naładowany jest poniżej najniższej dopuszczalnej granicy.

 – Za mało trzymałem je na słońcu?

 – Tak, John. Trzeba je trzymać dziesięć, a może nawet sto razy dłużej. Rozumiesz, one mogą pracować w trybie normalnym i w trybie oszczędności energii. W trybie oszczędnościowym zjadają o wiele mniej energii, ale i myślą tysiąc razy wolniej. Zazwyczaj to wystarczy, ale, kiedy mnie stuknięto w głowę i zdjęto je, pracowały akurat na całego. I nie mogę przełączyć ich na tryb oszczędnościowy, dopóki akumulator nie naładuje się do minimalnego poziomu roboczego.

 – Ciociu Eli, a jeśli zapalę koło nich pochodnię, to pomoże?

 – Tyle co nic. Twoja mama ma lustro?

 – Ma. Zrozumiałem! Trzeba na nie skierowaćzajączek słoneczny!

 Pobiegłem na górę i skonfiskowałem mamie i jej damom trzy lustra. Przedtem jednak wstąpiłem do siebie i powiesiłem u pasa miecz. Widząc mnie z bronią, damy zrozumiały, że sprawa jest poważna i pomogły mi wnieść lustra na główną basztę. Dwie damy poprosiłem o trzymanie luster pod potrzebnym kątem, a trzecią posłałem po Stefana. Kowal zjawił się w towarzystwie Oortona, ojca i matki. Znowu opowiedziałem, do czego potrzebne mi są lustra.

 – Syci się światłem słonecznym. Dziwne… – mruknął ojciec.

 – Wcale nie dziwne. – zaprzeczyłem. – Jak trawa albo liście na drzewach. Tylko, że trawa jest zielona, a okulary mają czarny rzemień.

 – Więc liście też karmią się światłem? Kto ci to powiedział?

 – Ciocia Elli.

 – To prawda, każda roślinka ciągnie ku słońcu – zgodziła się matka. Ojciec z niedowierzaniem spojrzał na nią i zamyślił się głęboko.

 Do wieczora Stefan zrobił sprytną ramę na lustra. Rama mogła obracać się i pochylać tak, żeby zawsze można było skierować ku słońcu. Kiedy słońce zaszło, zaniosłem okulary smoczycy. Nic się nie zmieniło, tylko ognik zrobił się nieco jaśniejszy. A od następnego dnia zrobiło się pochmurnie. Przy takiej pogodzie lustra były niepotrzebne, ale energii w okularach przybywało znacznie wolniej. Porzuciłem naukę i wszystkie inne sprawy i „zamieszkałem” na baszcie. Nauczyciele zaczęli skarżyć się mamie, aż ta wzięła pod rękę ojca i zeszła do cioci Elli. Pewnie chciała zrobić skandal. Ale to jej się nie udało, gdyż ciocia Elli sama była porządnie zaniepokojona tym, tym, że porzuciłem nawet fechtunek. Skończyło się na tym, że oj-ciec kazał dyżurować na baszcie żołnierzowi imieniem Berg. Praca Berga sprowadzała się do pilnowania okularów i obracania w dni słoneczne ramy z lustrami tak, żeby na okulary stale padało słońce. Za każdy dzień dostawał niewiarygodnie dużo – srebrną markę. Wszystkim pozostałym miał mówić, że stoi tam na warcie. Myślę, że nie było mu tam zbyt nudno, gdyż dama dworu mamy, Jadwiga, zaczęła pomagać mu w tej trudnej pracy. Nie była ładna, ale wyróżniała się wśród innych imponującymi gabarytami, mądrością i zdrowym rozsądkiem. Berg był zadeklarowanym kawalerem, więc wszyscy zaczęli mówić, że Jadwiga chce założyć mu chomąto. Żołnierze i damy zaczęli robić zakłady, czy jej się to uda, czy nie. Stawki, jak zawsze, przyjmował szef roty. Wybiegnę w przyszłość i powiem, że na jesieni, kiedy dla wszystkich zrobiło się jasne, że Jadwiga nosi pod sercem dziecko Berga, stawki na to, że nie założy, znacznie spadły. A jednak i dzisiaj, po dziesięciu latach, jest ciągle kawalerem, choć zarazem szczęśliwym ojcem czwórki dzieci. I, popijając z przyjaciółmi el, kpi z nich, że są pantoflarzami. "Moja to co innego! Dziesięć lat z nią żyję, ani razu nie zaproponowała małżeństwa. Ja jestem wolny, ona jest wolna. Jak chcemy, żyjemy razem, jak chcemy –na własną rękę” – wmawia im mentorskim tonem. „A kiedy ty ostatni raz żyłeś na własną rękę?” – „Ano, zanim jej nie spotkałem!”.

 – O! A po co korzenie? A po co podlewanie? – Ojciec wpadł do lady Elany niosąc za pęd wyrwaną z ziemi cebulę. Smoczyca popatrzyła na cebulę i przełknęła ślinę. Domyśliłem się, że bardzo chciałaby ją zjeść.

 – Z nią coś nie w porządku? – zapytała.

 – Jeśli trawa karmi się słonecznym światłem, to po co jej korzenie?

 Zrozumiałem, że ojca już od kilku dni męczyło to pytanie.

 – John… – smoczyca oczami i uszami wskazała mi drzwi.

 – Poszeptajcie tu sobie, a ja pójdę na basztę – zakomunikowałem i wyszedłem.

 Było mi trochę wstyd, ale botanika niezbyt mnie interesowała, nie usłyszałbym zresztą nic nowego. Powałęsałem się trochę po podwórzu i wspiąłem się na basztę. Berg i Jadwiga nie ucieszyli się moim widokiem, prędzej na odwrót. Zejść do podziemi i dłubać kamieni nie mogę, gdyż ojciec może usłyszeć. Po namyśle wziąłem miecz i poszedłem na plac. Wszystko było lepsze niż nauka retoryki.

 – Hej, Peter, może podzwonimy mieczami? – zawołałem do syna jednego z żołnierzy.

 – Bojowymi? Znajdź innego głupka. Zadrasnę cię, a twój tatko skróci mnie o głowę.

 – No to drewnianymi.

 – Dobrze. Tylko nie bijemy po głowie i nogach.

 Stanęliśmy naprzeciwko siebie i natychmiast otoczyli nas żołnierze. Porobili zakłady: stawki na mnie były jak cztery do jednego. Poprzednim razem były jeden do dwóch. Sam postawiłbym na siebie dziesięć do jednego. Peter zupełnie nie umiał planować walki, po prostu wymachiwał mieczem, licząc na długość swoich rąk i wytrwałość. Początkowo udawałem, że z trudem odbijam jego ataki, dopóki nie rozgrzał się walką. Gdybym od razu go przycisnął, mógłby machnąć na walkę ręką i wyrzucić miecz. A tak, zadowolony, spychał mnie i spychał. Czasami przechodziłem do ataku, żeby widzom było ciekawiej, i Peter musiał się cofać. Pierwszy raz rozkoszowałem się walką. Walczyć z Peterem było tak łatwo! Widziałem go na wskroś, przewidywałem wszystkie jego nieskomplikowane fortele, wiedziałem zawczasu, gdzie i kiedy on uderzy. To było coś wspaniałego! Jakby mi wyrosły skrzydła, jak cioci Elli. Albo otworzyło się trzecie oko. Krążyliśmy tak po placyku około kwadransa, dopóki się całkiem nie zadyszałem. Wtedy, wybrawszy odpowiedni moment, jakby otoczyłem miecz Petera swoim, po czym szarpnąłem w bok i wyrwałem mu miecz z rąk. Zmartwił się tym tak, aż zaklął. Twierdził, że jeszcze trochę, a zmiażdżyłby mnie jak żabę. Starzy żołnierze tylko się z tego śmiali. A ja zaproponowałem mu rewanż jutro o tej samej porze.

 To był bardzo udany dzień. Po walce z Peterem poszedłem na salę gimnastyczną i zacząłem rzucać kindżałami do tarczy. Znowu wszystko mi wychodziło! Nauczyłem się je czuć! Dosłownie jakbym widział, gdzie kindżał ma lecieć i jak się obraca w powietrzu. Byłem oczywiście bardzo zmęczony i kindżał często przelatywał obok tarczy. Ale wiedziałem, że chybię, już w momencie, gdy kindżał wyskakiwał mi z dłoni. Pobiegłem z radością do smoczycy. Ojca już tam nie zastałem, a ciocia Elli wylizywała właśnie kamienny stół. Widocznie dopiero co zjadła cebulę. Ale kiedy wszedłem, uśmiechnęła się i wygięła szyję na kształt litery S, jak zwykle, kiedy zamierzała mnie wysłuchać. Opowiedziałem jej, jak walczyłem z Peterem i jak zrozumiałem, że nauczyłem się rzucać kindżały.

 – Gratuluję, lordzie John. Zapamiętaj ten dzień – powiedziała smoczyca. – Ta umiejętność pozostanie ci na całe życie. To jak z jazdą na rowerze: jak już nauczysz się utrzymywać równowagę, to już pojedziesz na całe życie.

 – Ciociu Elli, a co to takiego rower?

 Wreszcie nadszedł dzień, kiedy ciocia Elli wreszcie zdołała przełączyć komputer okularów na tryb oszczędny. Potem jeszcze trzy dni trzymaliśmy je na słońcu i dopiero wtedy ciocia Elli mogła zacząć z nimi pracować. Pracowała poruszając oczami. Śmieszne, prawda? Ale to fakt. Widziałem, jak to robi. Wywróci oczy gdzieś ku górze, jakby badała sufit, i bardzo szyb-ko porusza nimi w górę i w dół, w prawo i w lewo. Raz pokazała mi Tantę, naszą planetę. Przycisnąłem okulary do twarzy, zmrużyłem jedno oko i zobaczyłem ją. Czarny kosmos, a w głębi kolorowa kula, coraz bliżej i bliżej. Była piękna. Ale nie mogłem długo patrzeć. Trzeba oko bardzo mocno naprężać, inaczej wszystko jest mętne. Wytrzymałem może z minutę, po czym pociekły mi łzy. Ciocia Elli bardzo się zmartwiła i powiedziała, że oczy człowieka i smoka mają różną odległość ogniskową. Miała nadzieję, że nauczę się pracować z jej okularami – a o tym nie pomyślała.

 Od tego dnia życie smoczycy jeszcze raz się zmieniło. W dzień była senna, ospała, apatyczna. Przeważnie zastawałem ją śpiącą, z głową na stole. Późnym popołudniem wracała do normy, a im niżej opuszczało się słońce, tym była żywsza. W końcu Berg schodził z baszty, wkładał jej okulary i pogrążała się w niepojęty dla nas świat. Do rana. Byłem na nią obrażony. Ona sama rozumiała, że oddaliła się ode mnie, ale nic nie mogła z tym zrobić. Przepraszała za swój słaby, bezwolny charakter i zaraz znowu uciekała do swojego komputerowego świata.

 – Nie wyobrażasz sobie, John, jak się stęskniłam za książkami i muzyką. Mogłabym czytać całą wieczność. Tyle lat straciłam! Aż dziwne, że nie zapomniałam mowy! A teraz wszystko jest inaczej. Przywróciłeś mi życie, John. Brak mi słów, żeby wyrazić ci moją wdzięczność.

 Zupełnie zbzikowała na punkcie swoich okularów. Przestała nawet pytać, jak rośnie jej błonka. A prace oswobadzające szły po swojemu – czyli bardzo powoli. Codziennie czyściłem kawałeczek grzbietu wielkości dłoni, a takich kawałeczków na jej grzbiecie… Mógłbym czyścić dziesięć razy więcej, ale wtedy ciocia Elli znowu by zachorowała. Oorton i tak podejrzewał, że niedomaga. Nie było możliwości przyśpieszenia pracy, gdyż jej organizm w żaden sposób nie chciał odtworzyć tych… rezerw. Ciągle się też bałem, że ktoś odkryje pokój zawalony kamieniami lub nawet samą smoczycę. Musiałem jednak ryzykować. A cóż innego mogłem zrobić?

 Zacząłem zauważać, że w okularach ciocia Elli jest znacznie mądrzejsza niż bez nich. Weźmy choćby geometrię. Zapytasz jej, ile wynosi powierzchnia trójkątnego pola o bokach 21, 22 i 23 metry. Przewróci oczami i w ciągu pół minuty udzieli odpowiedzi. A bez okularów powie: „Och, John, to trzeba obliczyć”, albo, w najlepszym wypadku, podyktuje ci wzór na obliczenie tego, zwany wzorem Herona. W okularach ona w ogóle wiedziała wszystko o wszystkim. Tylko że tą wiedzę trudno było połączyć z życiem codziennym. No bo jaką korzyść mogę mieć z tego, że długość równika Tanty wynosi 44 tysiące kilometrów? Albo z tego, że na biegunie północnym jest więcej lodu niż na południowym? Nie widziałem tych biegunów i nie chcę ich widzieć. Tam jest okrągły rok zimno.

 Raz opowiedziała mi, czym różni się stal od żelaza. Zawołałem Stefana i ciocia Elli długo z nim rozmawiała. Kiedy wyszedł, zapytałem kowala, o czym dyskutowali.

 – Wiesz, John – powiedział, drapiąc się w kark. – Wcześniej wiedziałem, jak się robi dobrą stal. A teraz wiem, dlaczego ona od tego staje się dobra.

**ROZDZIAŁ 13: Skąd wziął się Kasper i jak zaczęła się wojna**

 Miałem już prawie trzynaście lat, kiedy Kasper się zbuntował. Szaraczkowa szlachciura. Miał tylko jedną wioskę na trzydzieści chałup i tytuł, nawet bez zamku. Podobno zarabiał na życie jako młotnik w kuźni. Ale jego ojciec zmarł i przekazał mu w spadku miecz i zbroję. Gdyby wiedział, czym to się skończy, z pewnością utopiłby je w bagnie. A tak Kasper został władczym sirem. Włożył zbroję, wsiadł na chłopskiego konia i pojechał na turniej. Nie, na turnieju nie walczył. Wyczekał, aż któryś z rycerzy zaczął się z niego śmiać i wyzwał go na pojedynek za obrazę. Wszystko było zgodne z prawem, pojedynek był uczciwy, co wszyscy przyznali. W rezultacie Kasper odjechał na pięknym rycerskim koniu, zabierając zbroję i broń pokonanego, a po tygodniu tamten przysłał do wioski Kaspra ludzi z obiecanym wykupem. Potem Kasper pokłócił się z sąsiadem, właścicielem na wpół zrujnowanego zamku. Wyzwał go na pojedynek na śmierć i życie, zabił, a jego ziemię wraz z zamkiem przyłączył do swojej. Ściślej byłoby powiedzieć: przyłączył swoją wioskę do tych trzech, które posiadał były właściciel zamku. Sąsiedzi odnieśli się do tego życzliwie, gdyż po pierwsze, wszystko odbyło się zgodnie z prawem, po drugie, zrobiło się o jednego ważniaka mniej, a po trzecie, Kasper nie wypędził z zamku rodziny poprzedniego gospodarza, ale pozwolił im żyć jak żyli, kazał tylko złożyć synowi zabitego przysięgę wasalną.

 Potem przez cały rok był spokój. Ale na turnieju Kasper pokłócił się już z trzema rycerzami, wyzwał ich na pojedynek i pokonał jednego po drugim. Dwóch zwyciężonych, bojąc się o własne życie, złożyło mu przysięgę wasalną, trzeci nie. Kasper nie zabił go, ale zniewolił, zawiózł na swój zamek i wrzucił do lochu.

 Sąsiedzi zaniepokoili się: to już było niezupełnie zgodne z prawem. Pokonani nie powinni byli odstępować od poprzedniej przysięgi wasalnej. Ale to było naruszenie prawa z ich strony, a nie Kaspra. A z jeńcem Kasper obchodził się dobrze. Karmił z własnego stołu, pozwalał pisać listy do rodziny, a nawet raz na dwa miesiące spotykać się z żoną i córką.

 Tak było do wiosny, aż żona jeńca zdołała przekonać seniora, że powinien zatroszczyć się o swoich wasali. Senior zebrał doborowy oddział i pojechał zawojować zamek Kaspra. Z wojny nic nie wyszło. Kasper przyjął wszystkich jako drogich gości i wypuścił zniewolonego rycerza, mówiąc, że znudziło mu się już karmić tego darmozjada. Senior nieźle pojadł, popił i odjechał, zadowolony. A po kilku dniach Kasper z zaledwie jednym giermkiem pukał już do wrót jego zamku, wyzywając na pojedynek. Dwie godziny później miał o jednego wasala więcej, i to jakiego! Z oddziałem ciężkiej jazdy. Kasper powiódł ich zawojowywać sąsiadów. Wojna była bardzo dziwna i prawie bezkrwawa. Kasper wzywał wszystkich pod rząd na pojedynek i żądał od zwyciężonych przysięgi wasalnej. Tych, którzy jej odmawiali, wysyłał do ciemnicy jednego z zamków. Bardzo szybko Kasper dysponował sporą siłą wojskową i wzywał na pojedynek tylko sławnych i bogatych rycerzy. Zwykle działał tak: okrążał kolejny zamek i wyzywał gospodarza na pojedynek. Jeśli gospodarz się zgadzał, to szybko albo trafiał do niewoli albo zostawał wasalem Kaspra, a jeśli odmawiał, Kasper zdejmował oblężenie, palił okoliczne chłopskie pola, grabił do czysta i spalał jedną czy dwie wioski i szedł do następnego zamku. A chłopów bez potrzeby nie wypędzał i nie zabijał.

 Ciocia Elli powiedziała, że to bardzo mądra taktyka. Przecież każdy wstępujący pod sztandary Kaspra przyprowadzał ze sobą swoich wasali. A każdy trafiający do niewoli stanowił gwarancję, że jego kuzyni i wasale nie pójdą przeciw Kasprowi.

 Nie wiem, jak to się stało, ale ojciec dowiedział się o buncie Kaspra dopiero wtedy, kiedy ten obległ zamek sir Dobura. Ojciec od razu rozesłał gońców na wszystkie strony, ale większość przechwycili ludzie Kaspra. Przechwycili też sir Snowa z oddziałem, śpieszącym nam z pomocą. Sir Snow wyzwał Kaspra na pojedynek, Kasper przyjął wyzwanie, wybił sir Snowa z siodła, zniewolił i wtrącił do lochu.

 Ojciec zaczął przygotowywać się do wojny. Czas był akurat najwłaściwszy: plon był zebrany, pola opustoszały. Do zimy było jeszcze daleko, ale jeśli oblężenie zamku się przeciągnie, mrozy będą nam na rękę. Jesteśmy przecież w swoim domu.

 Do zamku zjechali wszyscy mieszkańcy kilku okolicznych wiosek. Ojciec przydzielił w podziemiach każdej rodzinie pomieszczenie do przechowywania sprzętów i chłopi zwozili je taborami. Szczególnie starali się mieszkańcy najbliższej wioski, tej koło rzeki. Zwozili wszystko. Naczynia, meble, drwa, siano, rozebrane na żerdzie i deski podłogi i płoty. Pozdejmowali nawet drzwi i ramy okienne i wszystko złożyli w naszych podziemiach. Było to rozsądne, gdyż wioskę prawie na pewno spalą, albo ku przestrodze, albo rozbiorą domy na drwa. W każdym razie, kiedy sir Kasper podszedł do naszego zamku, wszystko było gotowe do długiego oblężenia. Co prawda, ludzi mieliśmy osiem razy mniej – mam na myśli wojowników, a nie chłopów – ale mury zamku były wysokie i grube, a spichlerze pełne.

 Gdy ojciec zrozumiał, że dobrze będzie, jeśli na jego wezwanie zjawi się jeden na siedmiu zawiadomionych, był bardzo przygnębiony. Uważał, że jedynym wyjściem jest wyzwanie sir Kaspra na pojedynek. Lady Elana wezwała go do siebie i pierwszy raz się pokłócili. Nie spodziewałem się tego ani po ojcu, ani tym bardziej po cioci Elli.

 – Zrzucili ciebie w dzieciństwie z wieży głową na dół czy co?! – krzyczała na ojca smoczyca. – Jemu o to właśnie chodzi, żebyś wyszedł za wrota!

 Trzeba w tym miejscu wyjaśnić, dlaczego sir Kasprowi potrzebny był właśnie nasz zamek. Inne były mu właściwie obojętne, brał je po pojedynkach z właścicielami, albo przechodził koło nich nie zatrzymując się, ale zamek Kongów zamierzał zdobyć za wszelką cenę, gdyż był to zamek lorda. On sam otrzymałby co najwyżej tytuł lorda, ale jego syn, urodzony w naszym zamku, mógłby już pretendować do tronu. Międ0zy Kasprem a tytułem stało tylko dwóch ludzi: mój ojciec i ja. No i smok zamku Kongów, do diabła!

 – Muszę zachować honor! Nikt nie ośmieli się nazwać tchórzem lorda Riley z rodu Kongów! – Gorączkował się ojciec.

 – Ty osłouchy idioto, chcesz zgubić własnego syna? – Ciocia Elli z szumem wypuściła powietrze i zakręciła głową. – Słuchaj… Słuchaj, do diaska! Zapomniałeś o podaniu? Zamek Kongów stoi i będzie stał, a ród Kongów nie wymrze tak długo, jak długo ja sterczę w tej piwnicy.

 – W takim razie nie mam się czego bać. – Ojciec uśmiechnął się krzywo.

 – Nie masz się czego bać, jeśli będziesz słuchał moich rad. Czekam na tą chwilę od dwustu lat, czyż nie tak? Nie, poważnie, lordzie, pomyśl i powiedz, co miał na myśli Thomas Kong? Nie mogę bić się na polu walki, ale mogę kierować obroną zamku.

 Ojciec zamyślił się na długo.

 – Kasper podejdzie pod nasz zamek i wyzwie mnie na pojedynek. Co ja mu odpowiem?

 – Wyśmiej go. Albo oskarż o nieposłuszeństwo i zastrzel jak psa. Przecież według prawa powinien być twoim wasalem.

 – Ale wcześniej czy później i tak będę musiał walczyć z jego armią.

 – No właśnie. Przejdźmy więc do najważniejszego. – Ożywiła się ciocia Elli.

 Przez podwórze nie można było się przecisnąć. Choć w zamku zebrali się mieszkańcy kilku wsi, ojciec każdemu znalazł zajęcie, nawet dzieciom. Kobiety splatały sznury, których musieliśmy mieć bardzo dużo. Żołnierze uczyli chłopów strzelać z łuków i kusz oraz walczyć na miecze. Kowale kuli groty dla strzał i dzirytów. Cieśle na tylnym podwórzu budowali jakieś niezrozumiałe konstrukcje. Dzieci strugały drzewce dla strzał, warzyły klej do przyklejania piór, wykonywały tysiące drobnych poleceń. Poszedłem do lady Elany. Ojciec był u niej.

 – …Oczywiście, że z drewna.

 – Właśnie! A drewno boi się ognia. Potrzebujemy bardzo dużo łatwopalnych cieczy.

 – Mamy olej świetlny – zamyślił się ojciec – ale nie wystarczy go nawet na dwa dni dobrego szturmu. Wrząca smoła pali się, ale nie aż tak.

 Ciocia Elli też się zamyśliła. Po chwili powiedziała niepewnie:

 – Można spróbować spirytusu. Tak, chyba nic więcej nie wymyślę. Nafty nie ma, niech będzie spirytus. C2H5OH. John, proszę cię, wezwij Stefana.

 Pobiegłem jak mogłem najszybciej. Na oczach wszystkich, gdyż tu ważny był czas, a nie opinia ludzi. Stefan wezwał pomocnika, przekazał mu robotę i pobiegł do cioci Elli. Smoczyca rysowała i mówiła, jak co trzeba zrobić, potem Stefan mówił, czego on zrobić nie może. Znowu oboje rysowali na przemian, dopóki wszystkiego nie obmyśleli.

 – Na kiedy to ma być gotowe? – zapytał Stefan.

 – Na wczoraj.

 – Tak sobie myślę… – zaczął ojciec – Jeśli Kasper rozłoży się obozem tu, pod lasem…

 – Chwileczkę, lordzie Riley. John, proszę cię, zawołaj matkę.

 Znowu pobiegłem. Przyprowadziłem mamę, i ciocia Elli długo i szczegółowo objaśniała jej, z czego i jak się robi spirytus etylowy. Potem ciocia Elli znowu zaczęła kłócić się z ojcem, jak należy i jak nie wolno prowadzić wojny.

 – Jeden na jednego – to jest uczciwe? – pytała ojca.

 – Tak.

 – A siedmiu na jednego?

 – Nie.

 – Wasal ma prawo napadać na swojego lorda?

 – Ale przecież on nie składał mi przysięgi.

 – Do diabła z przysięgą! Kasper ma siedmiu ludzi na jednego twojego żołnierza. Najpierw wyrównaj szanse, a potem walcz sobie z nim „jak należy”. A teraz musimy ukarać go za zuchwałość. Zmiażdżyć jak karalucha!

 Nigdy nie zapomnę dnia, gdy Kasper podjechał do naszych wrót. Był prawdziwym rycerzem, choć ojciec zakazał go tak nazywać. Potężny, dzielny, przystojny, w rozwiewającym się za plecami jedwabnym płaszczu. Słońce igrało na jego zbroi, wiatr poruszał piórami na hełmie.

 Oczekiwaliśmy go na murach. Każdy wiedział, co on powie i co należy mu odpowiedzieć.

 Koń Kaspra też był zakuty w pancerz, ale trębacz i chorąży byli bez zbroi. Zanim trębacz skończył trąbić, jeden z naszych żołnierzy wychylił się między blankami i zawołał:

 – Hej, to ty będziesz Kasper? Ależ z ciebie kawał chłopa!

 – Tak, ja będę Kasper – odezwał się przybysz. – Nie na służbie, a w drużbie. Zawołaj lorda Riley. Chcę z nim porozmawiać.

 Zły początek. Sir Kasper trzymał się prosto, spokojnie i pewnie. Wprawdzie przejęliśmy inicjatywę w rozmowie, ale nie udało się go ani ośmieszyć, ani rozzłościć. Jednak ciocia Elli przewidziała i taki wariant.

 – Chłopcy, który z was chciałby popatrzeć na Kaspra? – krzyknął nasz żołnierz – A ty, Frank, idź zobacz, czy lord już wstał. Jeśli wstał, przekaż jego ekscelencji, że Kasper prosi o audiencję.

 Ja, Oorton i jeszcze trzech żołnierzy wyjrzeliśmy zza murów. Żołnierze mieli oceniać niedostatki konia, zbroi i broni Kaspra. Ale koń był zupełnie niewidoczny pod pancerzem i derką, a zbroję okrywał lekki jedwabny płaszcz, więc żołnierze zaczęli spierać się o maść konia: karosz czy deresz.

 – Oortonie, czy to przez niego nie mogę wykąpać się w rzeczce? - zapytałem głośno. – Może by tak palnąć w niego z kuszy?

 – Nawet o tym nie myśl – odrzekł Oorton. – Twój ojciec nie lubi zabijania swoich wasali.

 – Możesz śmiało pójść się wykąpać, młody lordzie – krzyknął z dołu Kasper. – Dopóki nie załatwię spraw z twoim ojcem, twojemu życiu i honorowi nic nie grozi. Słowo Kaspra!

 Tymczasem żołnierze kontynuowali spór o maść konia Kaspra. Zanim na mury wszedł ojciec, stawki w ich zakładach wzrosły do jednej marki.

 – Kasper, wysłuchaj mnie uważnie i nie przerywaj – przemówił ojciec władczym głosem. – Mieszkasz na ziemiach znajdujących się pod moją władzą, czyli jesteś moim wasalem. Do tej pory nie spotykaliśmy się, nie wydawałem ci żadnych rozkazów, więc nie mogłeś ich naruszyć. Teraz ci rozkazuję: wypuść wszystkich jeńców, rozwiąż armię i wracaj do swojego zamku. Masz na to dobę – powiedziawszy to, ojciec odwrócił się i zszedł z murów.

 – Znakomicie! – Roześmiał się Kasper. –To mnie zadowala. Jutro o tej porze porozmawiamy o sprawie. – Zawrócił konia i ruszył w kierunku namiotów swojego obozu.

 – Hej, Kasper, zaczekaj! – wykrzyknął jeden z naszych żołnierzy.

 – Kasper! Kasper! Kasper! – podchwycili inni, złożywszy dłonie w trąbki.

Kasper zatrzymał konia i obejrzał się.

 – My tu z bracią spieramy się, jakiej maści jest twoja kobyłka. Bądź tak dobry i zdradź nam tą tajemnicę.

 – Przyjdź do mojego namiotu, a sam zobaczysz – powiedział rycerz wesoło.

 – …Dziwne tylko to, że go nie zmartwiła zwłoka. Jak myślisz, John, dlaczego?

 – Czeka na coś – odrzekłem.

 – Raczej na kogoś – poprawiła ciocia Elli.

 – W każdym razie czas pracuje dla nas – powiedział z przekonaniem ojciec.

 Oorton skinął głową, a ciocia Elli w zamyśleniu spojrzała w kąt.

 – Mogę pójść i zobaczyć, co się dzieje u Kaspra – wypaliłem nieoczekiwanie. – Dał słowo.

 – Dał słowo co do życia i honoru, ale nie co do wolności – poprawił Oorton.

 – A czy to nie jest to samo?... Nie, to nie to samo. – Musiałem mu przyznać rację.

 – Ha, ale on zaprosił w gości moich chłopców! – Ucieszył się Oorton.

 – Można spróbować – zgodziła się ciocia Elli. – Jutro już się nie da, ale dzisiaj można. Dopóki Kasper myśli, że wszystko idzie według jego scenariusza, możemy zaryzykować. Oortonie, muszę poinstruować żołnierzy. Przyślij ich tutaj.

 – Tak w ogóle to z niego niezły chłop.Zaprosił nas do stołu, ugościł elem.

 O tym ostatnim można było nie wspominać. Żołnierze wrócili porządnie podpici.

 – O czym rozmawialiście?

 – Jak należało: najpierw o koniach, potem o sprawie, a dalej – o babach. Wszystkich ciekawiło, dlaczego powitaliśmy ich tak wesoło.

 – I co odpowiedzieliście?

 – Jak było ustalone. Opowiedzieliśmy im podanie. Że niby to póki pani tu jest, lady, nic mu się nie uda. Z początku nie wierzył, ale kiedy usłyszał, że widzieliśmy panią pół godziny wcześniej, zaczął wypytywać. Bardzo się zainteresował, pytał, czy dawno pani tu mieszka, czym pani się zajmuje, co je, dlaczego nie opuszcza pani zamku. No a my wszystko opowiedzieliśmy tak, jak było ustalone. Że mieszka tu pani już od dwustu lat, że je pani to samo, co jaśnie państwo, a czym pani się zajmuje, nie wiemy, o to trzeba zapytać młodego lorda, wiemy tylko, że maluje pani piękne obrazy. Że nie boi się pani niczego oprócz szczurów.

 Ciocia Elli spojrzała na mnie z wyrzutem, ale nic nie powiedziała. Jeden z żołnierzy dodał:

 – Powiedziałem jeszcze, że pani kazała nam się za bardzo nie rozglądać, żeby nie wzięto nas za szpiegów. Na to sir… Przepraszam. Na to Kasper odrzekł, że możemy patrzeć, on nie ma nic do ukrycia. Kiedy jutro przybędą sir Brougier i sir Tucker, to będzie co innego. Oni zawsze przywożą ze sobą baby i chowają je w namiotach.

 – Źle – powiedział ojciec. – Brougier przyprowadzi z sobą czterystu ludzi. Tucker jeszcze trzystu pięćdziesięciu.

 Ciocia Elli siarczyście zaklęła. Pierwszy raz słyszałem, żeby tak się wyraziła, Czyli nasze szanse wyglądały kiepsko. Ale ona od razu jakby się wyprężyła, jej oczy błysnęły złowieszczym ogniem, a ruchy zrobiły się szybkie i zdecydowane.

 – O czym jeszcze rozmawialiście? – zapytała żołnierzy.

 – No, dalej to już… O babach. To panią nie zainteresuje.

 – Dziękuję za służbę. Czyli wszystko według ustalonego planu. Przeciągamy czas, uczymy chłopów rycerskiego rzemiosła i budujemy maszyny.

 – John, czy na dworze jest jeszcze dość jasno? – zapytała smoczyca, kiedy wszyscy wyszli.

 – Tak, słońce zajdzie dopiero za dwie godziny.

 – Chcę cię poprosić o jedną rzecz. Tylko nie mów nikomu, co robisz i w jakim celu..

 – Dobrze. Co ja mam zrobić?

 – Zaraz nastroję okulary… Tak… Koniec, gotowe. Zdejmij je ze mnie i udaj się z nimi jak najwyżej. Czyli na główną basztę, nieprawdaż? W każdym razie tam, skąd najlepiej widać zamek i jego okolice. A teraz najważniejsze. Wyobraź sobie, że okulary leżą na mojej głowie. Albo – że to są moje oczy. I dokładnie, bez pośpiechu, obejrzyj nimi cały zamek i wszystko naokoło.

 – Zrozumiałem, ciociu Elli.

 Z okularami pod pachą popędziłem jak strzała. Wbiegłem na basztę, przyłożyłem je do oczu i zacząłem patrzeć przez nie na ściany zamku, pola, pustą wioskę koło rzeczki, namioty obozu Kaspra. Wychyliwszy się przez barierkę obejrzałem przez okulary także przybudówki i podwórza zamku. Mimo późnego popołudnia ludzie na dole uwijali się jak mrówki.

 – Ciociu Elli, a dlaczego to ma być tajemnica? – Zainteresowałem się po powrocie, zapinając rzemyk pod podbródkiem smoczycy.

 – Jeśli ludzie dowiedzą się, że okulary są moimi drugimi oczami… John, ja nie przeżyję, jeśli ktoś mi je zabierze. Bez nich zwariuję, daję słowo!

 – Dopóki jestem w zamku…

 – Miałeś pradziadka. Żył bardzo długo. Pamiętam, jak się urodził. Teraz jest na cmentarzu.

 – Zrozumiałem, ale to nieważne. Jeszcze rok, dwa…

 – Najpierw musimy zwyciężyć, John.

 – Zwyciężymy.

 – A wtedy ja… wtedy oboje będziemy mieli problemy. Podanie, John. Ludzie w nie wierzą. Nie powinnam była mieszać się do ludzkich spraw. Ale z dwojga złego…

 – Tata mówi, że z dwojga złego lepiej nie wybierać.

 – Teoretyk. – Uśmiechnęła się ciocia Elli.

 Następnego dnia zaraz po porannej naradzie wojennej ojciec wszedł na mury. Kasper w towarzystwie trębacza i chorążego podjeżdżał już do zamku.

 – Nie wykonałeś mojego rozkazu – powiedział mu ojciec surowo. – Dałem ci dobę, a ty ciągle tu jesteś. Jutro wyprowadzę ciężką konnicę i uśmieję się do rozpuku z bezczelnego parweniusza.

 – A może jeden na jednego? – zaproponował Kasper. – Po co mają ginąć ludzie?

 – Walczyć z własnym wasalem to swawola – odrzekł ojciec. – Jutro moja konnica będzie ustawiona na tym wzgórzu.

 – A ja atakuję z dołu, co? – Uśmiechnął się Kasper – Dobrze, do diabła! Jak z dołu, to z dołu. Do jutra, lordzie!

 – Kasper! Jeśli do jutra rozpuścisz ludzi po domach, zapomnę o twoich psotach. Zastanów się, to twoja ostatnia szansa.

 – Do jutra, lordzie!

**ROZDZIAŁ 14: Jak umyliśmy Kaspra w pierwszym starciu**

 Siedemdziesięciu zakutych w pancerze jeźdźców rozłożyło się na szczycie łagodnego pagórka w zwartej grupie. Przed nimi dwa rzadkie łańcuszki po szesnastu lekkozbrojnych jeźdźców w każdym, rozstawionych co dziesięć do piętnastu metrów. Z tyłu oddział kuszników w sile stu pięćdziesięciu ludzi. Sami doświadczeni, zahartowani w walkach wojownicy, oprócz owych trzydziestu dwóch lekkich jeźdźców, którzy zgłosili się na ochotnika.

 Z murów wszystko doskonale widać.

 Ciężka konnica Kaspra podjeżdża i ustawia się w kilka szeregów. Jest ich pięciokrotnie więcej. Brzmi sygnał rogu. Pochylają się piki. Słońce błyszczy na ich stalowych grotach.

 – Mamy zaszczyt was atakować! – krzyczy trębacz i znowu dnie w swój róg.

 Pierwsza linia rusza i, nabierając szybkości, pędzi na naszych jeźdźców. Za nią druga linia, trzecia, czwarta. Tylko pierwsza zachowuje do końca szyk. Pozostałe bardzo szybko przekształcają się w bezładny tłum. Tupot kopyt jest tak głośny, że słyszę go nawet ja na murach. To huk, od którego drży ziemia!

 Kiedy zbliżają się na trzydzieści metrów, pierwsza linia naszych jeźdźców na długich tyczkach podnosi z ziemi długie drągi, skrzyżowane na kształt litery „T”. Między poprzeczkami tych „T” naciągnięta jest mocna sieć z grubych sznurów. Półtora setki metrów sieci. Podniósłszy ją, jeźdźcy pędzą naprzód na spotkanie sławy. Pokryte zbroją ciężkie konie rycerskie dosłownie zmiotły nasze koniki. Ale w następnej sekundzie zaplątały się w sieci i potoczyły się, koziołkując i przygniatając jeźdźców. Ci z dalszych linii próbują zatrzymać konie. Ale spróbujcie zatrzymać bojowego konia, pędzącego do ataku! A tymczasem druga linia naszych jeźdźców podnosi na drągach jeszcze jedną sieć, biegnie i narzuca ją na stłoczonych przy zawale jeźdźców przeciwnika. Nasza ciężka jazda biegnie naprzód, ale zamiast pik mają w rękach kusze, nabite ciężkimi bełtami o stalowych grotach. Podjeżdżają, celują, strzelają. Głównie w konie, gdyż rycerza bez konia można brać gołymi rękami. Wypuściwszy strzały, zawracają konie i odjeżdżają, gdyż trzeba zwolnić miejsce dla drugiej linii kuszników. Ci strzelają we wszystko, co się rusza. Wystrzeliwszy bełt, żołnierz wypuszcza kuszę z rąk i ta zawisa mu na rzemieniu u pasa, podczas gdy ręka już sięga za plecy po drugą, nabitą. Wiecie, co to takiego trzysta pięćdziesiąt strzał, wypuszczonych w ciągu pół minuty do celu z odległości dziesięciu-piętnastu metrów? To śmierć i piekło!

 W tym momencie zabrzmiał olbrzymi bęben. Chyba tylko Oorton zauważył, że Kasper wysłał do ataku lekką kawalerię. I teraz ona pędziła jak lawina, atakując nasze lewe skrzydło. Jeszcze dwie minuty, i z kolei nasi chłopcy dostaliby się w krwawe jatki. Kusze puste. Nawet ci z jeźdźców, którzy wypuścili strzały jako pierwsi, nie zdążyli ich nabić. Ale piechota biegiem ustawia się w pięć linii. Pierwsza dzierży w pogotowiu miecze, dalsze krzątają się gorączkowo. Kiedy do przeciwnika zostaje już tylko piętnaście metrów, wszystkie linie piechoty odwracają się i biegną. A na miejscu, gdzie stali ludzie, pozostają cztery rzędy jeży, ustawionych tak, jak pola jednego koloru na szachownicy. Nie wiecie, co to jest jeż? To po prostu trzy pale, związane razem. Dwa krótsze, jeden, ostro zakończony, dłuższy. Trójnóg. I ostry pal wycelowany jest prosto w pierś konia. Nie da się już zatrzymać: siła ataku, rozpęd, a z tyłu napierają ci, którzy jeszcze nie widzą przeszkody! Krzyczą ludzie, kwiczą konie. Drugi zawał.

 Oorton wydaje komendę, i bębnista daje sygnał do odwrotu. Piechota, nie śpiesząc się specjalnie, biegnie do wrót zamku, w biegu ustawiając się w kolumnę jak na pochodzie. Ci z jeźdźców, którzy zdążyli nabić ponownie kusze, podjeżdżają do drugiego zawału, strzelają w ludzi Kaspra i truchtem jadą w ślad za piechotą. Naprzeciw naszym kusznikom biegną łucznicy Kaspra, ale są jeszcze daleko. Ojciec rozkazuje naszym łucznikom ustawić się wzdłuż ścian i przygotować się do walki. Mnie uprzejmie, ale stanowczo odpychają od krawędzi. Niski i szczupły łucznik odwraca się i poznaję Samanthę! W męskich spodniach, grubych butach i kolczudze z kapturem. Otwieram usta, ale Samantha pokazuje mi pięść, więc zamykam je i odwracam się. Nasi żołnierze już są przy bramie, a łucznicy przeciwnika zatrzymują się na pograniczu odległości celnego strzału. Widzą, ilu ludzi mamy na murach i nie śpieszą się na tamten świat.

 Rycerz w białym, zakrwawionym płaszczu podjeżdża galopem do wrót.

 – Riley, ty sukinsynu, wychodź i walcz! – krzyczy, stawiając konia dęba.

 – Ocalał, cholerny przygłup! –Martwi się Oorton i dodaje tak siarczyste przekleństwo, że żołnierze patrzą na niego z szacunkiem.

 – Wychodź i walcz, tchórzliwy szczeniaku! – krzyczy Kasper, krztusząc się ze złości.

 Ojciec wskakuje na skraj muru.

 – Nie swawol mi tu. Muszę myśleć o innych sprawach. Czas ludzi po daninę wysyłać. A ty mi się pętasz pod nogami. Oortonie, zdejmij go z konia.

 – Łatwo powiedzieć… – mamrocze Oorton, ustawiając kuszę na blance i zmieniajączwykły bełt na taki ze stalowym grotem. Brzęczy cięciwa.

 Koń Kaspra robi świecę i pada na grzbiet. Kasper toczy się do przydrożnego rowu.

 – Też nieźle – mruczy wściekły Oorton.

 Na murach radość nie do opisania. Żołnierze ryczą z zachwytu, ściskają się wzajemnie. Potłuczony Kasper wyłazi z rowu.

 – Riley, słyszysz mnie?! Przybiję cię na wrotach zamku głową w dół, ty tchórzliwy kundlu!

 – Jeszcze dwa słowa, a każę wychłostać cię w stajni! Paszoł won, szczeniaku! – odpowiada ojciec.

 Oorton już coś objaśnia naszym rycerzom, ci biegną do wrót, ale Kasprowi śpieszy na pomoc oddział trzydziestu ciężkozbrojnych jeźdźców. Przyprowadzają mu nowego konia, pomagają mu usiąść w siodle i odjeżdżają.

 – …To był znakomity strzał – poprawiam. Oorton marszczy czoło ze złością.

 – Celowałem w jeźdźca, nie w konia. Gdybym nie chybił, wojna skończyłaby się dzisiaj.

 – Mówisz więc, że nasze straty wynoszą dwunastu ludzi? – upewnia się ciocia Elli.

 – Tak. Z pierwszej linii tylko czterem udało się uratować.

 – A u Kaspra?

 – Dwa razy strzelali jeźdźcy i dwa razy kusznicy. To daje w sumie 440 strzał plus trochę z ponownego nabicia, ale tu już nie wszystkie musiały być celne. Przypuśćmy, że dwie trzecie strzał dostało się koniom. Wychodzi sto pięćdziesiąt. No i konie w zawałach na pewno wielu przygniotły. Czyli co najmniej dwustu zabitych i rannych. – Oblicza w przybliżeniu ojciec.

 – Napaskudziliśmy im! Ciociu Elli, aleśmy im napaskudzili!

 – Nie ciesz się za wcześnie, John! To dopiero pierwsze starcie. Drugi raz Kasper nie złapie się w taką pułapkę.

 – Ale im napaskudziliśmy! A jutro na pewno wymyślisz coś jeszcze!

 Ciężki, tłusty i słodkawy dym oraz kłaki sadzy wiatr niesie prosto na zamek. Przesycił całą odzież, zalatuje nim woda w studniach. Dostał się nawet do podziemi cioci Elli. Wioski nad rzeką już nie ma. Żołnierze Kaspra rozebrali ją na bierwiona, ułożyli stosy i spalają na nich zabitych i konie – po wycięciu z tych ostatnich najlepszych kawałków do zjedzenia. Mama zamknęła wszystkie okna i drzwi. Ma mdłości. Damy dworu i lekarz krzątają się przy niej. Na murach wioskowy kapłan opiewa poległych ochotników. Ojciec chodzi po zamku w ponurym nastroju. Z baszty nieprzerwanie mu komunikują, co robią ludzie Kaspra. Wprawdzie ciocia Elli zapewnia nas, że dzisiaj szturmu nie będzie, ale trzeba być przygotowanym na wszystko. Kasper był naprawdę wściekły.

 Za to nasi ludzie świętują. Ojciec kazał nakryć stoły na podwórzu i wytoczyć kilka butelek wina, więc naród się weseli.

 – Gdzie wyciągasz łyżkę – naprzeciw ojca? To swawola! – słyszę za plecami. Ostatnia fraza zrobiła się bardzo popularna. Używają jej gdzie trzeba i gdzie nie trzeba. Nawet Oorton, strofując za coś wartowników na murach, powiedział, że to swawola.

 A ciocia Elli płacze. Mówi, że to wszystko przez nią. Że ma na sobie krew. Że inne smoki nie będą z nią teraz rozmawiały. Widzieliście gdzieś inne smoki? Bo ja – nie. I nikt nie widział. Sama mówi, że na Tancie nie ma żadnego smoka poza nią. Wymyśla potwarz na samą siebie. To już na pewno jest swawola, zgadza się?

**ROZDZIAŁ 15: Jak umyliśmy Kaspra w drugim starciu**

 Już czwarty dzień żołnierze Kaspra coś szykują. Przenieśli obóz nad rzekę, tam, gdzie była wioska. To dobrze, bo daleko od lasu i błota, w którym zaczyna się tunel strumienia. Ustawili pilarkę ramową, piłują na niej deski i zbijają z nich ciężkie, mocne tarcze wysokości człowieka. Przygotowują się do szturmu. Ciocia Elli powiedziała, że będą szturmować tam, gdzie są najniższe mury, to znaczy obok stajni dla koni. W innych miejscach ściana ma dziesięć metrów wysokości, a tam tylko sześć-siedem. My też się przygotowujemy. Stefan i cieśle zakończyli montaż wielkiej katapulty. Ależ to machina! Nikt się przed nią nie obroni. Tylko nabija się ją bardzo długo. Wypróbujemy ją dzisiaj wieczorem.

 Biegam po całym zamku z okularami cioci Elli w rękach. Potem odnoszę jej je, ona patrzy przez nie i zadaje mi pytania. Jestem teraz jej oczami. Pokazywała mi: patrzysz przez okulary – i jakbyś był tam na ulicy, słyszysz nawet głosy ludzi. Tylko oczy szybko się męczą.

 Wieczorem przygotowujemy katapultę do wystrzału. Chłopi wytaczają ją na podwórze i za pomocą kilku dźwigni obracają w kierunku obozu Kaspra. Stefan osobiście wkłada do łyżki krótkie, ale ciężkie dziryty ze stalowymi grotami. Każdy dziryt waży ponad dwa kilogramy. Stefan układa je jeden obok drugiego równiutkimi rzędami i strasznie ryczy na każdego, kto zbliża się do niego. Dzirytów jest cała setka.

 Obserwatorzy z baszty komunikują, że do namiotu Kaspra jeden za drugim podjeżdżają rycerze. Przy konowiązie stoi już ponad trzydzieści koni. Przekazuję to cioci Elli. Ta bardzo się podnieca i wysyła mnie na górę z poleceniem, żeby nie strzelać bez jej komendy. Przekazuję to ojcu, ten Oortonowi, któremu wystarczy dwa-trzy słowa. Stefan wchodzi na mury i pod jego komendą chłopi obracają katapultę, kierując ją na namiot Kaspra. Ja łażę po murach i basztach z okularami cioci Elli w rękach, pokazując im katapultę z daleka i z bliska, potem biegnę do podziemi. Ciocia Elli bardzo długo porusza oczami, mrucząc coś sobie pod nosem, w końcu komunikuje, że do krótkiej dźwigni katapulty trzeba przyczepić 1750 kilogramów trzydzieści centymetrów od jej końca, bo inaczej nie doleci. Przekazuję te słowa Oortonowi, ten Stefanowi i stu chłopów zaczyna taskać z kuźni żelazne kęsy. Stefan przywiązuje je linami do dźwigni i przy tym okropnie klnie. Znowu biegam tam i z powrotem, katapultę obracają tak, by łyżka przesunęła się o półtora centymetra w prawo, i wreszcie smoczyca daje nam ustalony sygnał.

 Liny, trzymające łyżkę, są tak napięte, że aż dzwonią. Stefan rozgania chłopów, ale wszyscy zostają na murach. A ja z ojcem biegniemy na basztę. Od ciągłej bieganiny po schodach dostaję już skurczu kolan.

 Stefan podcina liny, po czym szybkim ruchem przecina mieczem ostatnią. Dźwignia z łyżką zatacza olbrzymi łuk i uderza w podtrzymującą belkę. Setka dzirytów wylatuje w niebo jak stado czarnych ptaków. Dźwignia katapulty łamie się, po całym podwórzu latają rozszczepione wzdłuż bierwiona. Od zewnątrz są czarne, a świeże złamania błyszczą jasno, prawie biało. Wygląda to pięknie i strasznie zarazem. Nigdy jeszcze nie widziałem, żeby grube, nieociosane bierwiona latały w powietrzu.

 Nie trafiliśmy w namiot. Dwadzieścia metrów za blisko i dziesięć w prawo. Trzeba było przesunąć nie o półtorej centymetra, a ciut bardziej. Było nam wstyd, aż chciało się płakać. Katapulta rozwaliła się przy pierwszym wystrzale. Tak grubych i mocnych bierwion w zamku już więcej nie ma.

 Mimo wszystko wystraszyliśmy Kaspra porządnie. Z pięćdziesięciu koni przy konowiązie prawie połowa została zabita albo zraniona. Ciocia Elli później powiedziała, że jak na taki wystrzał w plac to bardzo wysoki procent skuteczności. A jak ludzie Kaspra nas potem przeklinali! Szkoda, że tego nie słyszeliście.

 Sam Kasper wyszedł z namiotu i bardzo długo w milczeniu patrzył w naszym kierunku. Potem kazał dobić ranne konie i przenieść dalej obóz.

 – Alarm! Alarm!!! – wykrzyknął obserwator z wieży. Od razu zabrzmiał wielki bęben. Rzuciłem się pędem na basztę. Berg podał mi okulary smoczycy. Spojrzałem przez nie na przeciwnika. Żołnierze właśnie kończyli się ustawiać. Nigdy nie widziałem tylu żołnierzy na raz. To znaczy, oczywiście, widziałem, ale kiedy każdy zajmował się swoimi sprawami. A tak, kolumną, z ciężkimi tarczami wysokości człowieka – pierwszy raz.

 Dobrze, że, zaintrygowany, zostałem jeszcze trochę na baszcie. Gdybym zbiegł od razu, nie wiem, czym by się to skończyło. Gdyż nagle żołnierze podnieśli tarcze nad głowy i zamknęli je. Dopiero co stał oddział – i nagle szopa z drewnianymi ścianami i dachem. I ta szopa ruszyła na nas!

 Pobiegłem do smoczycy. Ta popatrzyła w okulary. Obejrzała dwa albo nawet trzy razy.

 – To się nazywa „żółw” – wymamrotała i zamyśliła się. A potem nagle się przeraziła. Bardziej niż wtedy, gdy przestraszyła się szczurów czy wtedy, gdy zabiła Ralfa Hienę. – John, nie poradzicie sobie z nimi!Jeśli zbudują piramidę – koniec z nami! Łuki i kusze nie przydadzą się przeciw „żółwiowi” na nic. A kiedy już wejdą na mury, zmiażdżą nas samą przewagą liczebną. Nie wiem, co robić! Nie wiem, co robić, John! Oni nas zabiją!

 – Ciociu Elli, a jeśli ich oblać wrzątkiem?

 – Nie, nie wrzątkiem – zatrajkotała smoczyca. – To za długo! Nie zdążymy! Ogniem! Olejem, spirytusem, wszystkim, co się pali! Tylko ogniem! Szybciej, John, uprzedź wszystkich! Ogniem ich! Pędź!

 Pobiegłem.

 – Oorton! Beczki ze spirytusem na mury! Olej świetlny na mury! Pochodnie w pogotowiu!

 Ludzie się zakrzątnęli. Stefan razem ze swoim pomocnikiem szybko wnieśli po stromych schodach beczkę oleju świetlnego o pojemności dwudziestu wiader. Ojciec w pełnej zbroi wszedł na mury, otworzył przyłbicę, i przyjrzał się szeregom nieprzyjaciela. Przekazałem mu, co poradziła ciocia Elli.

 – Trzeci pluton! Biegiem do spichrza po beczki! Pochodnicy! Na razie cofnijcie się pod wieżę, bo nas podpalicie! Łucznicy, na mury! Kusznicy! Biegnijcie do kuchni, przynieście tu gliniane kufle! Wszystkie, jakie mamy! Będzie mało, weźcie od chłopów! Nieboszczykom garnki niepotrzebne! – Ludzi nie trzeba było poganiać. – Stefan, olej świetlny na razie odsuńcie na bok. John, o jakiej piramidzie mówiła Elana?

 – Nie wiem, tato. Ale jeśli ją zbudują – koniec z nami. Tak powiedziała ciocia Elli.

 „Żółw” poruszał się powoli, dwa razy wolniej, niż chodzą zwykle ludzie. Ciągnęła na nas ściana z dziesięciu do dwunastu tarcz w rzędzie, złączonych tak, że nie było między nimi żadnych szczelin. Tarcze z przodu, tarcze z góry, tarcze z boków. Po raz kolejny zdumiałem się, jak wielu ludzi zdołał podporządkować sobie Kasper.

 Kiedy wniesiono na mury cztery beczki spirytusu, „żółw” był już na odległość strzału. Łucznicy wypuścili strzały. I co? I nic. Strzały wbiły się w tarcze, a „żółw” szedł dalej naprzód. Wrócili kusznicy, niosąc kosze, pełne dzbanów i kufli na el. Na murach zrobiło się ciasno. Ojciec kazał łucznikom odejść na bok, a kusznikom załadować kusze strzałami ze stalowymi grotami. Od salwy pierwszy rząd tarcz zadrżał i „żółw” na minutę czy dwie zatrzymał się, ale potem znów ruszył naprzód. Był już tak blisko, że słyszeliśmy komendy.

 – Raz, dwa, trzy cztery! Lewa, dwa, trzy cztery! – komenderował ktoś ukryty pod tarczami.

 Beczki postawiono na sztorc i wybito denka. Ojciec kazał powiesić kusze na plecach i napełniać dzbany i inne naczynia spirytusem, ale bez jego rozkazu nie rzucać. Beczki szybko pustoszały.

 „Żółw” oparł się o mury i zamarł. Suchy stuk tarcz przetoczył się jak fala. Zabrzmiała komenda i nagle w środku zaczął się jakiś ruch. Dwadzieścia metrów od murów zaczął się jakiś ruch. Część górnych tarcz opadła, tworząc stopnie, a tylne szeregi utworzyły nowe czoło „żółwia” o szerokości dziesięciu tarcz, które zaczęły podnosić się po stopniach z tarcz, aż utworzyły drugą „kondygnację”. Obliczyłem, że czwarta będzie wyższa niż krawędź murów.

 Oorton ryknął i rzucił we wrogów pustą beczką. Od uderzenia jedna z tarcz na piętrze uchyliła się i któryś z łuczników wypuścił w szczelinę dwie strzały jedną po drugiej. Tarcza upadła. Obejrzałem się. Szczęśliwym łucznikiem okazała się Samantha. Do diabła! Piętro „żółwia” zatrzymało się, tarcze zsunęły się, zamykając szczelinę, po chwili znowu na moment się rozsunęły i inne ręce podniosły upadłą tarczę. Ściana tarcz na piętrze podjęła przerwany marsz, pchając przed sobą pustą beczkę. Doszła do murów zamku, zamarła. W jej tylnej części nastąpiło przeformowanie, utworzyły się stopnie i nowy rząd tarcz ruszył na nas, tworzą c trzecią kondygnację, niższą od krawędzi murów zaledwie o metr.

 – Zaczynamy! – zakomenderował ojciec i pierwszy rzucił gliniany dzban w nadciągającą ścianę. Kawałki rozleciały się na boki, a przeźroczysta ciecz pociekła po tarczach.

 Nasi żołnierze krzyknęli, co kto chciał i zaczęli rzucać dzbany i kufle. Oorton ze Stefanem rzucili jeszcze dwie puste beczki. Tarcze nadciągały nieubłaganie.

 – Pochodnia! – rozkazał ojciec. Podbiegł pochodnik i włożył mu ją w rękę, a ojciec zaraz rzucił ją na tarcze, krzyknął: – Kto trafi w ogień?! – i odskoczył na bok.

 Kilka glinianych dzbanków rozbiło się o tarcze koło pochodni. Spirytus zapłonął. Gorące strumyki pociekły w szczeliny między tarczami.

 Spirytus pali się niezbyt jasnym błękitnym płomieniem, pod słońce prawie niewidocznym. Ale, widoczny czy nie, płomień zawsze pozostaje płomieniem. Dzikie krzyki rozległy się z wnętrza „żółwia”. Oorton ze Stefanem podnieśli ostatnią na wpół pustą beczkę i wylali w dół jej przeźroczystą zawartość, po czym zrzucili także samą beczkę. Pozostawiając za sobą mokrą ścieżkę, potoczyła się po tarczach w kierunku pochodni.

 Wu-u-uch! – zahuczał płomień. Wystrzelił tak wysoko, że opalił mi brwi i przód czupryny. Natychmiast przysiadłem, chowając się za murem. Straszny, wielogłosowy krzyk bólu omal mnie nie ogłuszył. Po chwili wyjrzałem zza ściany. Piramidy z trzech kondygnacji już nie było, zapadła się do środka. Było olbrzymie ognisko z tarcz i ludzkich ciał. We wszystkie strony rozbiegały się płonące figury. Nasi łucznicy odstrzeliwali je jedną po drugiej. Tylne rzędy „żółwia” szybko się wycofywały. Nasi wojownicy, wziąwszy szerokie zamachy, rzucali w nich ostatnie naczynia ze spirytusem, a pochodnicy – pochodnie. Spojrzałem bliżej, w dół. Płomień był teraz żółty, gdyż płonęły drewniane tarcze i ubrania ludzi. Ludzie pełzali tam, w dole, jak płonące robaki. Zrobiło mi się nieswojo. Poszukałem oczami Samanthę. Skuliła się w kącie obok jednej z wież i wymiotowała. Nie wiem, jak to się stało, ale nagle znalazłem się tuż przy niej. Wytarła ze złością twarz rękawem kolczugi.

 – Czego?

 – Nie jesteś ranna?

 – Idiota! – powiedziała Samantha.

 – A ty kretynka! – odpaliłem i uśmiechnęliśmy się do siebie wzajemnie.

 Po pół godzinie wszystko było skończone. Ognisko z tarcz i ludzkich ciał wygasło. Całe pole na odległość celnego strzału było usłane trupami. My straciliśmy jednego człowieka. Spadł z murów.

 Oorton mnie znalazł, a żołnierze postawili na tarczy i obnieśli wokół głównej baszty. Stanie na tarczy, którą niesie czterech ludzi, jest bardzo trudne. Wszyscy krzyczeli coś niezrozumiałego i walili mieczami w swoje tarcze. Machałem im ręką i próbowałem utrzymać się na tarczy. Damy dworu matki, kucharki i wiejskie baby płakały. Baby jeszcze kłaniały mi się w pas i żegnały się. Samantha szczerze mi zazdrościła.

 – Nawet nie strzeliłeś ani razu z łuku – powiedziała złapawszy mnie w drzwiach sali jadalnej.

 – Lord nie może sam walczyć. Musi kierować walką – odezwałem się ponuro. – A ty znakomicie wychwyciłaś moment, kiedy Oorton rzucił beczkę.

 Uśmiechnęła się zadowolona jak kot, którego pogłaskano po grzbiecie.

 – Nie mamy już ani sieci, ani sznurów. Stalowych grotów do bełtów zostało mniej niż sto, a zwykłą strzałą czy bełtem nie da się powalić rycerza w pełnej zbroi. Nie ma już katapulty. Spirytus też się skończył. Jeśli Kasper znowu zaatakuje, nie będziemy mieli czym go powstrzymać – powiedział ojciec.

 – Ale Kasper o tym nie wie! – zaprzeczyła ciocia Elli. – Zjem własny ogon, jeśli któryś z jego wojowników ośmieli się znowu zbudować „żółwia”. Spirytus niedługo będzie’ Stefan i jego pomocnicy wykują nowe groty. Wszystko idzie zgodnie z planem. Do tej pory tylko się broniliśmy, teraz czas przejść do działań aktywnych.

 – Jakich? – Ojciec spojrzał na nią ze zdumieniem. – On ciągle ma kilka razy więcej ludzi.

 – Ale to już nie są ci sami ludzie. Oni są zdemoralizowani.

 – Zdemo-co? – nie zrozumiałem.

 – Zastraszeni i oszołomieni. Giną jak kłosy pod sierpem, a my prawie nie ponosimy strat.

 –Tak, ale czy oni o tym wiedzą? – znowu jej przerwałem.

 – Więc trzeba im powiedzieć! – rozzłościła się smoczyca. – Lordzie Riley, niedługo ekipy pogrzebowe będą usuwały trupy, więc niech twoi ludzie porozmawiają z nimi przyjaźnie. Niech opowiedzą, ilu mamy zabitych i zapytają, ilu mają oni. I podanie – niech obowiązkowo opowiedzą im podanie. W obozie Kaspra musi je obowiązkowo poznać każdy, aż do ostatniej prosty tutki włącznie! Podanie i stosunek strat – to jeszcze bardziej zdemoralizuje armię Kaspra. A my będziemy napadali na nich po nocach.

 – Ależ pijcie, co ja, nie rozumiem, czy co? Taką pracę robić na trzeźwo – to nie daj Boże… – przygadywał nasz wartownik, spuszczając z murów na sznurku pękaty bukłak z winem.

 Ekipę pogrzebową Kaspra stanowili prości chłopi, spędzeni z najbliższych wsi. Nikt z nas nie żywił do nich urazy. A taszczyć popalone trupy – to, sami rozumiecie, mało przyjemne zajęcie. Nawet nie zdążyłem przekazać wartownikom, co kazała zrobić ciocia Elli, a oni sami już działali, jakby przeczytali jej myśli. Zawołałem trzech na bok i poinstruowałem dokładnie. Wysłałem na mury dwie baby, a te, lamentując, zaczęły prosić grabarzy o znalezienie ich syneczka, który spadł ze ściany w ogień i przyniesienie go pod wrota zamku. Kogoś tam przynieśli. Naszego czy nie, trudno było powiedzieć. Tymczasem żołnierze opowiadali chłopom, jak przebiegała walka i czemu Kasprowi nic nie wyszło. Dla żartu nazwali spirytus smoczym moczem. A ludzie Kaspra w to uwierzyli. Uśmialiśmy się z ojcem do łez. I Oorton śmiał się, i Stefan. A ciocia Elli powiedziała, że niech tak myślą. „Mamy tego du-użo!” – opowiadali przeciwnikowi żołnierze z murów. Wino rozwiązało języki, i chłopi z ekipy pogrzebowej Kaspra opowiedzieli, że po bitwie niezadowolonych było bardzo dużo i Kasper dziesięciu z nich wbił na pal. Powiedział, że jeśli będą się buntowali, wbije na pal co dziesiątego.

**ROZDZIAŁ 16: Jak najpierw my umyliśmy Kaspra, a potem raz on nas**

 Następnego dnia ludzie Kaspra, ukrywając się za tarczami, podeszli na pięćdziesiąt metrów do zamku i zaczęli kopać w ziemi. Ojciec porozmawiał z ciocią Elli, po czym wszedł na mury i zapytał, co oni robią. Odpowiedzieli, że robią podkop. Ojciec powiedział im, że to swawola, gdyż zamek stoi na skale.

 Niedługo kopacze naprawdę dokopali się do kamienia. Przyszedł sam Kasper, zszedł do wykopu i nakrzyczał do kopaczy. A potem rozkazał kopać jamy ze wszystkich stron zamku. Pod wieczór zakomunikowano mu, że ziemi jest miejscami więcej, miejscami mniej, ale wszędzie od dwu do czterech metrów, a pod nią kamień. Wtedy Kasper wsiadł na konia, kazał chorążemu wziąć białą flagę i podjechał do wrót zamku.

 – Lordzie Riley, co zrobisz, kiedy w zamku skończy się woda? – zapytał zuchwale.

 – Nie wiem – odrzekł ojciec. –Tego jeszcze nie było. Studnie ani razu nie wyschły.

 – O jakich studniach mówisz? – Roześmiał się Kasper. – Twój zamek stoi na skale i obaj dobrze o tym wiemy.

 Pomyślałem, że, jeśli Kasper dowie się o strumieniu, będzie z nami bardzo źle. Prędzej czy później znajdzie miejsce, gdzie strumień odchodzi od rzeki, zawali go i zostaniemy bez wody. Ale ojciec tylko się roześmiał:

 – Mój przodek, w odróżnieniu od ciebie, był mądrym człowiekiem. Przebij dwadzieścia metrów granitu, a będziesz miał wodę. Ile chcesz znakomitej, smacznej wody. Mogę ci ją sprzedawać, jeśli chcesz. Po miedziaku za beczkę. Moja woda jest czyściejsza i smaczniejsza od tej z rzeki!

 Kasper odjechał z niczym. A ja się zdumiałem: ależ mądry był Thomas Kong! I jakiż mądry jest mój ojciec! Przewidział to już kilka lat temu, kiedy zabronił mi wyjawiać tajemnice podziemi chłopcom z woski. Jakże daleko mi jeszcze do nich!

 Kasper jednak nie zaprzestał kopania. Następnego dnia ciocia Elli powiedziała, że trzeba będzie coś z tym zrobić. W nocy nasi ludzie wyszli z zamku i przekopali kanał głębokości połowy dorosłego człowieka wzdłuż zachodniego muru zamku. Od muru do rowu było niecałe dziesięć metrów. Ciocia Elli powiedziała, że to w zupełności wystarczy. A w dzień ojciec ustawił ludzi w dwa szeregi od studni do muru i rozkazał podawać sobie wiadra jak przy pożarze. Ostatni po prostu wylewał wodę za ścianę. Zobaczywszy, jak to idzie, ojciec wezwał dzieci i też ustawił je w szeregu – przekazywać z powrotem puste wiadra. Od razu zrobiło się weselej.Ziemia była jednak tak sucha, że wchłaniała całą wodę bez reszty. Ludzie pracowali po cztery godziny, potem się zmieniali, odchodzący szli na mury i drapali się w karkze zdumieniem. Ale z rozkazami lorda się nie dyskutuje.

 Dopiero o zachodzie słońca ojciec zwolnił ludzi. Od kopania rowu i przenoszenia wiader wszystkich bolały ręce i lędźwie. Nawet Oortona. A Yorick to już w ogóle jęczał, chodząc.

 A od rana znowu taskaliśmy wodę. Pod murem zebrały się już olbrzymie kałuże, a strumyk od nich ściekał do naszego rowu, gdzie znikał.

 I następnego dnia także taskaliśmy wodę. Oorton powiedział, że ro najdziwniejsza wojna, o jakiej kiedykolwiek słyszał. Ani jednego rannego, za to wszyscy mają krwawe pęcherze.

 A szóstego dnia woda, która zdążyła już wypełnić nasz rów, nagle wymyła sobie dziurę i cała poszła w ziemię. Tak zatopiliśmy podkop Kaspra. Z początku mieliśmy nadzieję, że w podkopie zatoną jego twórcy, ale wody okazało się za mało. Potem chcieliśmy tam wylać beczkę spirytusu i podpalić, ale spirytusu było nam szkoda, zresztą z podkopu już wszyscy wyleźli. Za to uśmialiśmy się setnie z Kaspra. Kiedy przygalopował, wszyscy wyszliśmy na mury i śmialiśmy się z niego do rozpuku. Jeden z kuszników Kaspra wyskoczył zza tarcz i puścił w nas bełt, ale nasi łucznicy naszpikowali go strzałami jak jeża.

 Zaczęło się oblężenie zamku. Kasper rozstawił dookoła zamku wiele posterunków, żeby nikt nie mógł się do niego dostać ani w dzień, ani w nocy. Na tych posterunkach całymi nocami płonęły ogniska. Ale każdej nocy dwudziestu naszych najlepszych wojowników wychodziło przez tunel strumienia na polowanie. Grasowali wokół obozu jak wilki, nieuchwytni i bezlitośni. Lady Elana nalegała, żeby wychodzili na polowanie co noc i żeby co noc był przynajmniej jeden zabity. Powtarzała im: „Nie zapalajcie się. Nie ryzykujcie i nie gońcie za ilością. Jeśli zabijecie kilku, to będzie dobra noc. Ale jednego zabijajcie co noc obowiązkowo. Ludzie Kaspra muszą bać się nocy”. Zabitym obcinali głowy i pozostawiali je na miejscu. A ciała starali się zabierać i wrzucać do rzeki, gdyż żołnierze Kaspra pili z niej wodę. Rano ludzie Kaspra znajdowali głowy i rozpoznawali zabitych. A kiedy wyławiali ciało, nie wiedzieli, kto to jest, i otrzymywaliśmy jakby dwa trupy zamiast jednego. A broń zabitych zabieraliśmy na zamek. Wielu chłopów z wioski nosiło już miecze u pasa.

 Lady Elana uprzedzała nas, że ludzie Kaspra zaczną na naszych robić zasadzki. Wkrótce rzeczywiście zaczęli i pojawili się u nas zabici i ranni. Ale na razie zawsze udawało się wynosić ciała na zamek. Ciocia Elli mówiła, że to bardzo ważne, gdyż dzięki temu wrogowie Kaspra nie wiedzieli,czy i ilu mamy zabitych. Nie mogliśmy grzebać ich na cmentarzu, gdyż znajdował się on poza murami zamku. Nie mogliśmy ich skremować, gdyż drwa będą nam potrzebne w zimie. Dlatego po pożegnaniu z bliskimi wynosiliśmy ich do podziemi. Ojciec mówił, że ich tam zamurowuje. W rzeczywistości ich rozbierano i spuszczano z prądem strumienia, tak, jak ja kiedyś spuściłem Ralfa Hienę. Nie powiem, to bardzo niedobrze, że nie urządzaliśmy im pogrzebu, ale z rzeki brali wodę do picia żołnierze Kaspra.

 Rannymi zajmował się lekarz, a Pearley mu pomagała. I wszyscy byli z jej pomocy bardzo zadowoleni. Mówili nawet, że sam jej dotyk już odejmuje ból. I wszyscy kawalerowie proponowali, że zbiorą pieniądze i wykupią ją od lekarza, żeby mogła wybrać sobie jednego z nich, który by się z nią ożenił. I nie było dla nich ważne,że ma na ramieniu piętno złodziejki. Ona odpowiadała, żeby nie zbierali pieniędzy, bo ona i tak nie odejdzie od lekarza. A lekarz mówił, że nigdy nie ożeni się z kobietą z piętnem złodziejki na ramieniu. Ciocia Elli powiedziała, że jest głupi i ma głupie ideały. Ale żebym się do tego nie mieszał, gdyż instytucja małżeństwa to w zasadzie pusta formalność, najważniejsze, żeby ludzie byli szczęśliwi. Zapytałem ojca, co to takiego instytucja małżeństwa. Nie odpowiedział mi na to pytanie, powiedział tylko, że zdejmie obrożę z Pearley w dniu, w którym lekarz zechce wziąć ją za żonę. Wcześniej nie można, gdyż lekarz z jego zasadami nie będzie chciał żyć z wolną niezamężną kobietą. Zrozumiałem, że któryś z nas jest głupi: albo ja, albo lekarz. Prędzej ja, gdyż nic z tego nie zrozumiałem, podczas gdy ojciec i ciocia Elli zrozumieli. Ale nie wypytywałem dalej. W czasie wojny nie powinno interesować się kobiecymi spódniczkami!

 – Lady Elano, oblężenie się przeciąga. Kiedy spadnie pierwszy śnieg, moi ludzie nie będą już mogli wychodzić na nocne polowania. Kasper wyśledzi ich po śladach. A podczas najsurowszych zim błoto i strumień tak zamarzały, że wodę trzeba było brać aż z rzeki. – powiedział do smoczycy ojciec.

 – Lordzie Riley, bardzo żałuję, ale nie jestem w stanie nic więcej wymyśleć. Stosunek strat wynosi dziesięć do jednego, ale i stosunek sił jest ciągle ten sam, a jeśli przejdziemy do aktywnych działań, zmieni się na naszą niekorzyść, gdyż Kasper może uzyskać posiłki, a my nie. Poza tym, jeśli Kasper powtórzy próbę szturmu w zimie, ze spirytusu będzie znacznie mniej pożytku, gdyż dobrze płonie na ziemi, ale rozpuszcza się w wodzie i można go będzie wtedy łatwo ugasić śniegiem.

 – Mówimy o tym samym. Lady Elano, jeśli ja uwolnię panią z zamurowania, pomoże mi pani rozprawić się z Kasprem?

 – Czyli zabijać jego żołnierzy… Lordzie Riley, zanim zdołam opuścić tą piwnicę, wojna skończy się tak albo siak.

 – Nie rozumiem.

 – Proszę podejść bliżej i spróbować włożyć rękę między zaprawę a moją szyję.

 Ojciec zdjął rękawiczkę, zakasał rękaw i spróbował włożyć dłoń do szczeliny, ciocia Elli odsunęła szyję i cała dłoń weszła w szparę.

 – Opiera się o coś.

 – Proszę nacisnąć mocniej.

 – Tato, nie trzeba! – wykrzyknąłem.

 – Proszę nacisnąć, lordzie Riley.

 Ojciec nacisnął, ręka zagłębiła się jeszcze kilka centymetrów. Smoczyca krzyknęła. Ojciec szybko wyciągnął rękę. Z palców kapała krew i biała maź.

 – Co to jest?

 – Zbyt długo sterczałam w murze, mój lordzie. I zrosłam się z nią – powiedziała ciocia Elli, krzywiąc się z bólu. – Proszę umyć rękę w ścieku.

 – Pani krwawi...

 – Zaraz przejdzie. Robiliśmy już z Johnem podobne doświadczenia.

 – To znaczy, że pani nie da się uwolnić.

 – Czemu nie? Jeśli moje ciało uwalniać po kawałeczku, dzień po dniu, to narośnie nowa skóra. Ale to praca na kilka lat.

 – Czyli nie zdoła pani nam pomóc… – Ojciec był rozczarowany.

 – Dlaczego? Mój rozum i wiedza jest na pańskie usługi, lordzie Riley.

 Wojna trwała. Stefan i ciocia Elli wymyślili wielką kuszę, zrobioną prawie jak zwykła, tylko cztery razy większą. Stała na trójnogu. Stefan skonstruował ją i wypróbował na podwórzu. Biła wspaniale. Wtedy Stefan zebrał wszystkich rzemieślników i zrobili jeszcze dziewięć takich urządzeń. Nasi najlepsi kusznicy potrenowali na tylnym podwórzu, potem wnieśli wszystkie dziesięć machin na ściany i w biały dzień ostrzelali posterunki Kaspra. Ludzie Kaspra rozbiegli się, a nasi jeźdźcy wyjechali za wrota, zabrali trupy i rannych Kaspra, zebrali prawie wszystkie strzały, a drewniane szańce oblali spirytusem i podpalili. Kiedy przybyła ciężka konnica Kaspra, nasi byli już za murami. Ostrzelaliśmy także Kaspra i jego zbrojnych. Kilku zabiliśmy albo zraniliśmy, zabiliśmy także konia Kaspra i jego ludzie wycofali się. No i co? Przesunął posterunki dalej od ścian zamku, i tyle.

 Następnego dnia ustawiliśmy kusze na wozach, wyjechaliśmy z zamku i znowu rozpędziliśmy ludzi Kaspra. Zabiliśmy jednak tylko czterech i jednego wzięliśmy do niewoli. I kolejnego dnia znów ich rozpędziliśmy, ale zabiliśmy tylko konia. Przywiązaliśmy go do wozu, zawlekliśmy go do zamku, no i chłopi go zjedli.

 A na czwarty dzień straciliśmy dwa wozy, cztery konie i trzech ludzi. A to dlatego, że w nocy ludzie Kaspra wyryli jamy, w dna wbili zaostrzone piki, a od góry zamaskowali je. No i przestaliśmy napadać w dzień na ich posterunki.

**ROZDZIAŁ 17: Jak zwabiliśmy Kaspra w pułapkę**

 Ludzie Kaspra dwa razy dziennie chodzą z bosakami wzdłuż rzeki i szukają trupów. Wyławiają je z wody i zostawiają na brzegu, a pod wieczór wóz, zabiera wszystkie i wywozi do lasu. Wykopali tam długą i głęboką jamę, do której je wrzucają, ale na razie nie zakopują.

 Ciocia Elli powiedziała, że teraz na epidemię nie ma już co liczyć, gdyż zaczęły się jesienne chłody.

 A ojciec wymyślił jakiś plan. Bardzo długo omawiał go najpierw z ciocią Elli, potem z Oortonem. Potem nasi najlepsi wojownicy stali się nagle kamieniarzami. Całymi dniami taszczyli kamienie na noszach gdzieś na koniec tunelu. A Oorton zaprowadził swoją matkę do sali ze szkieletami i przywiązał ją tam na łańcuchu. Wprawdzie dał jej bardzo dużo ciepłych ubrań i koców, ale wszystkie były stare i podarte. Dał jej też dwa kaganki i beczułkę oleju świetlnego. Chciałem z nią porozmawiać, ale ona widocznie zwariowała, gdyż gadała od rzeczy i nie chciała wyjść z podziemi. Jak zawsze, poszedłem po radę do cioci Elli. Ta powiedziała, że wszystko w porządku, to część planu mojego ojca. Ale nie może mi nic powiedzieć, gdyż dała słowo smoka, że nikomu nie powie. Kiedy je dawała, nie pomyślała, że trzeba było oddzielnie uzgodnić to ze mną, ale teraz już jest za późno. Muszę pójść po pozwolenie do ojca.

 A w cztery dni później jeden z jeńców podczas przesłuchania obraził czymś ojca i ten kazał zaprowadzić go do Sali szkieletów, przykuł go tam obok matki Oortona i powiedział, że niedługo w tej Sali będzie o dwa szkielety więcej. Matka Oortona zaczęła obrzucać ojca obelgami, ale on na to nie zwracał żadnej uwagi.

 Wieczorem położyłem się spać i omal nie przespałem wszystkiego. Zgadnijcie, kto mnie obudził? Samantha! Ale ona też nic nie wiedziała, tylko widziała, że coś się szykuje, gdyż wszyscy żołnierze szykowali się do walki. I my też przygotowaliśmy się do walki. A potem pobiegłem do cioci Elli i tam upewniłem się, że coś będzie, gdyż przed nią na stole leżał olbrzymi miecz o długości większej niż wzrost dorosłego człowieka, z rękojeścią w kształcie łopaty, żeby smoczyca mogła utrzymać go w pysku.

 – Nie bój się, John, do tego nie dojdzie. – Wskazała miecz. –To na uspokojenie. Bardzo się denerwuję.

 Poszedłem dalej, aż do kanału, i zobaczyłem, że śluza jest uchylona, wody w kanale po pas, a jeniec i matka Oortona znikli z sali szkieletów. Pobiegłem na górę i zakomunikowałem o tym ojcu, ale ten powiedział tylko:

 – Wszystko normalne, John. Mógłbyś jeszcze ze dwie godziny pospać. Mamy jeszcze czas.

 Ha! Pospać! W zamku spały w tym czasie tylko kury i małe dzieci. Opowiedziałem wszystko Samancie i pobiegłem na główną wieżę, a Samantha za mną.

 Nie uwierzycie, ale w obozie Kaspra działo się to samo, co u nas. Tam też trwała bezszumna krzątanina. Widziałem przez lunetę, jak piesi i jeźdźcy ciągle przesłaniali płomienie ognisk. Zszedłem i opowiedziałem o tym ojcu, który rozmawiał przyjaźnie z matką Oortona. A na podwórzu stały osiodłane konie naszych rycerzy i sami rycerze byli w zbrojach.

 I wtedy nagle usłyszałem umówiony świst smoczycy. Pośpieszyłem do podziemi. Ojciec i Oorton pobiegli za mną, a za nimi wielu łuczników i kuszników. Samantha wreszcie się odczepiła. Bała się cioci Elli.

 – Idą. Słyszę ich – powiedziała smoczyca. Wszyscy pośpieszyliśmy do śluzy. Wody w korytarzu było już powyżej pasa. Ojciec jednak zostawił pochodnie w korytarzu, biorąc ze sobą tylko jeden mały kaganek.

 Zamarliśmy, ustawieni w dwa szeregi po obu stronach strumienia, wzdłuż ścian. Było nas sześćdziesięciu. Kiedy moje oczy przywykły do ciemności, w głębi tunelu zobaczyłem odbłysk pochodni. Szum wody się zmienił: tunelem szli ludzie. Staliśmy, wstrzymując oddech.

 Kiedy pochodnik, brnąc po pas w wodzie, doszedł prawie do wyjścia z tunelu, ojciec nagle odszedł od ściany i wylał na niego wiadro spirytusu. Woda się zapaliła!

 – Pochodnie! – wykrzyknął ojciec.

 Nie zrozumiałem, co krzyczał, gdyż krzyknęli od razu i nasi ludzie, i Kaspra – wszyscy równocześnie. Ale ci, którzy mieli zrozumieć, zrozumieli; zresztą nasi i tak wiedzieli, co kto ma robić. Kusznicy zaczęli strzelać w tunel, a ojciec i Oorton szybko kręcić wrota śluzy. Jedynie ja nie wiedziałem, co mam robić i tylko uważnie patrzyłem. Spirytus na wodzie bardzo szybko zgasł, ale przyniesiono już pochodnie.

 – Bełty! I stańcie przy ścianie w rozkroku! – krzyknął znowu ojciec.

Woda w śluzie już ryczała i wirowała. Kusznicy po kolei podbiegali do tunelu i strzelali w ciemność. Puste kusze wyrzucali do wody i biegli z powrotem do drzwi, przez które ktoś podawał im nabite.

 Stawidło śluzy było już całkowicie podniesione i potok pędził. Zrozumiałem, dlaczego ojciec tak krzyczał. Spróbujcie utrzymać się na nogach w ryczącym potoku, jeśli ściany są gładkie i śliskie! Prąd zaczął spychać ludzi Kaspra koło nas. Oorton i Stefan chwycili kołaty i zaczęli bić nimi tych, których prąd ciągnął koło nich. Kusznicy przyklękli na jedno kolano wzdłuż ścian, gdzie było płyciej i zaczęli dźgać ich mieczami. Ja też wyjąłem swój miecz i zacząłem dźgać ludzi Kaspra, celując w twarz lub w szyję, gdyż całą resztę okrywała zbroja. Woda niosła ich jednak tak szybko, że nie zawsze udawało mi się trafić.

 Kiedy główna woda spłynęła, Oorton wykrzyknął:

 – Zasadzka! Zdradzono nas!

 – Ratuj się, kto może! Uciekamy! – podchwycił ojciec. A nasi ludzie krzyczeli:

 – Bij Kaspra! W pogoń!

 – Zdradzono nas! – wrzasnąłem na całe gardło.

 – W pogoń! – ryczał Stefan.

 – Bogdan, ty tu dowodzisz! – zarządził ojciec. – Sprawdź kawałek tunelu. Ale nie ryzykuj. Wiesz, co tam będzie. – I pobiegł na górę. Oorton i Stefan za nim, a ja – za nimi.

 Na górze było pięknie i strasznie. Wszyscy mężczyźni, ilu ich nie było w zamku, byli na murach. Cały zamek był oświetlony pochodniami. Tylu ludzi na murach jeszcze nigdy nie widziałem. My też weszliśmy na mury. Ludzie Kaspra przygotowywali się do szturmu, choć na razie stali poza zasięgiem strzał i bełtów. Ich też było bardzo dużo.

 – Zwycięstwo! –wykrzyknął ojciec. – Szpiedzy zlikwidowani! Wszyscy, co do jednego!

 I zaczęło się! Nasi ludzie radośnie krzyczeli i machali bronią. Ja też krzyczałem i machałem mieczem. A mój miecz był cały zakrwawiony, co widziała Samantha! A potem ojciec wyznaczył nagrodę za głowę i prawą rękę Kaspra: pięćset złotych monet. Ludzie Kaspra zaszumieli niezadowoleni. Że niby to Kasper wojuje uczciwie, a ojciec nie.

 – Ach wy, wcześniaki! – znowu krzyknął ojciec. – Kto jeszcze nie próbował moczu smoka?! – I dał znak ręką.

 Pomocnik Stefana przyłożył pochodnię do łyżki katapulty i nacisnął dźwignię. Ta katapulta była znacznie mniejsza od tamtej, która rozwaliła się od pierwszego wystrzału, ale wypełniony spirytusem gliniany dzban wielkości wiadra wzleciał w niebo jak kometa i spadł pośrodku ludzi Kaspra. Co prawda płonącą szmatkę zgasił w locie wsteczny prąd powietrza i spirytus się nie zapalił, ale dziesięciu łuczników zaczęło strzelać w to miejsce płonącymi strzałami i po chwili spirytus zapłonął. Nikt nie doznał uszczerbku od ognia, tylko trzech zginęło od strzał i jeden od uderzenia dzbanem, ale ludzie Kaspra bardzo się przestraszyli. A ojciec, Oorton i Stefan już zeszli z murów i wsiedli na konie. Wziąłem od jakiegoś żołnierza krótki łuk, na plecy zarzuciłem dwa kołczany ze strzałami, wskoczyłem na konia i schowałem się za rogiem. A kiedy się obejrzałem, za mną, także na koniu, wyczekiwała chwili Samantha. Chciałem ją przepędzić, ale nie zdążyłem, gdyż wrota się otworzyły i nasi jeźdźcy popędzili na wroga. A za nimi – ja z Samantha.

 Przebiliśmy się przez szeregi piechoty Kaspra jak nóż przez masło. Nawet nie zdążyli się opamiętać. Na takiej szybkości ani ja, ani nikt z nas nie wypuścił ani jednej strzały, to było niemożliwe; sądzę jednak,że co najmniej kilkunastu wrogów padło zadeptanych przez kopyta koni.

 Zaraz potem nasz oddział się rozdzielił. Większą część ojciec powiódł z sobą wprost na obóz Kaspra, a dziesięciu ludzi z Oortonem na czele pocwałowało w kierunku końca tunelu. Ja też popędziłem za Oortonem, gdyż zrozumiałem, że tam będzie najciekawiej. A Samantha oczywiście za mną.

 Pełnym galopem wjechaliśmy w las. Gałązki boleśnie uderzyły mnie w twarz. Wypuściłem cugle i pochyliłem się tak, że moja twarz prawie dotykała szyi konia. Na szczęście lasek był malutki i zaraz się skończył. Myślałem, że koło błota zejdziemy z koni, ale Oorton wpędził konia wprost w wodę, a za nim i pozostali. Tego nie wolno robić, i jeden z koni rozpruł sobie brzuch o zatopiony pień drzewa, aż wypadły mu wnętrzności, ale tak się śpieszyliśmy, że nawet jej nie dobiliśmy. Zrozumiałem, że Oorton chce przegonić tych ludzi Kaspra, którzy wracają tunelem. Ale ich z pewnością jest co najmniej stu, a nas wszystkiego… dziesięcioro. Było dwanaścioro.

 Zeszliśmy z koni dopiero przy samej kracie. Jeden z żołnierzy od razu skrzesał ogień i zaczął zapalać pochodnie, inni zagrodzili wodzie drogę do błota, spychając ją łopatami i tarczami do owego wąskiego otworu, którym spływała do rzeki. Oorton i Stefan weszli do środka i usłyszeliśmy stamtąd głuche uderzenia. Wszyscy bardzo się śpieszyli. Ja też wlazłem do środka. Stefan rozwalał ściankę z desek, której wcześniej nie było.

 – Odsuńcie się! – wykrzyknął. Obaj z Oortonem odskoczyliśmy i ścianka runęła. Za nią stały jedna na drugiej stał tuzin pękatych beczek na wino, każda o pojemności dwudziestu wiader. Po zapachu poznałem, że zawierają spirytus. Dwie beczki Oorton kazał podnieść na górę, z pozostałych wybił denka i ustawił je w rzędzie, po czym usiadł i czekał.

 Niedługo usłyszeliśmy kroki, a ściślej komendy. „Lewa, lewa, lewa” – komenderował ktoś w ciemności. Oorton zaczął wylewać spirytus z beczek wprost na podłogę. Zamiast wody na spotkanie idących popłynął strumyk spirytusu. Zrozumiałem, co teraz będzie i wyszedłem na zewnątrz. Czterech żołnierzy trzymało w przygotowaniu pochodnie. Oorton wylazł zaraz po mnie. Stefan zatrzasnął kratę i, zamiast zamknąć ją na kłódkę, wbił w zawiasy kindżał i złamał go. Oorton wybił pięścią denko jednej z dwu pozostałych beczek i, kiedy z wnętrza tunelu usłyszeliśmy przekleństwa i łoskot rozrzucanych beczek, wychlusnął z niej cały spirytus na kratę. Odszedł o kilka kroków i dał znak jednemu z pochodników. Ten rzucił pochodnię.

 Wwwuch! – Dziesięciometrowy język ognia uderzył zza kraty i opalił mi twarz. Oorton rzucił się w wodę, podniósł się brudny, mokry i bardzo zły. A z tunelu dobiegł potworny wrzask, jakby stu kotom równocześnie nadepnięto na ogon. A po trzech minutach wszystko ucichło. Spojrzałem na Samanthę. Siedziała blada i zmarznięta, aż szczękała zębami. I wciąż próbowała jak najcieplej opatulić się kolczugową koszulą. Głupia. Jakby dziurawe żelazo grzało.

 Czekaliśmy około kwadransa. Potem Oorton podniósł się, wylał ostatnią beczkę spirytusu, odczekał chwilę, żeby spirytus przeciekł trochę dalej i rzucił pochodnię. Tak potężnego „wwwuch!” nie było, ale dymu zrobiło się znacznie więcej. Po dalszej półgodzinie Oorton poszedł na zwiad do tunelu. Wrócił bardzo szybko, strasznie kaszląc.

 – Tam nie ma czym oddychać – zakomunikował.

 Powiedziałem mu, że przed lasem było nas dwanaścioro, a dojechało dziesięcioro i jeden doszedł piechotą. Oorton wysłał paru ludzi, którzy szybko znaleźli w lesie człowieka ze złamaną szyją i przyprowadzili jego konia. Poprosiłem Oortona, żeby ten opowiedział Samancie, po co przywiązał w podziemiach na łańcuchu własną matkę. To wymyśliłem sprytnie. Wszyscy myśleli, że znam plan, a ja sam chciałem o tym usłyszeć. I Oorton opowiedział.

 Jego matka, choć wyglądała jak stara głownia, zachowała bystry umysł i dobrą pamięć. Trzy dni oswajała się w piwnicy, a na czwarty umieszczono koło niej jeńca. Udając wariatkę, nakłamała mu, że jakoby przesiedziała w piwnicy trzydzieści lat i osobiście znała te szkielety, kiedy jeszcze były żywymi ludźmi, czym kompletnie wystraszyła młodzika, a potem opowiedziała mu o tunelu, otworzyła wytrychem zamki i odprowadziła do śluzy. Młokos opowiedział o wszystkim Kasprowi, a ten, rozumiejąc, że rano ucieczka zostanie wykryta, w nocy wysłał ludzi do tunelu, żeby ci zabili wartowników i otworzyli wrota. A my ich spotkaliśmy! U nas zginął jeden człowiek, a u nich trzystu!

 Ale potem pomyślałem, że Kasper teraz wie o tunelu i może zamknąć nam wodę. Co prawda, on myśli, że to zwykłe podziemne przejście, niemające ze studniami nic wspólnego. Ale teraz będziemy musieli zamurować otwór na końcu i zatopić tunel na stale. Co prawda będziemy mogli brać z niego wodę, ale jeśli Kasper wrzuci tam kilka trupów, będziemy mieli wielki kłopot. Sami łykniemy tego, co szykowaliśmy Kasprowi.

 Opowiedziałem o tym Oortonowi. Ten powiedział, że smoczyca na pewno coś wymyśli, żeby wodę uczynić pitną. Wszyscy zaczęli się kłócić. Tylko Samantha siedziała na boku, najeżona. Kiedy pędziliśmy tutaj, wykąpała się w błocie i teraz bardzo marzła.

 – Wojujecie jak tchórze! – krzyknęła nagle i odwróciła się. Wszyscy zamilkli, zdumieni.

 – John, ona przecież jest jeszcze kompletnie zielona. Po coś ją wziął? – zapytał któryś z żołnierzy i roześmiał się. Wszyscy pozostali także się roześmiali. Niepotrzebnie tak powiedział. Samantha spojrzała na mnie z taką nienawiścią!

 Oorton poszedł znowu na zwiad do tunelu.

 – Niedługo będziemy mogli iść. – powiedział, wróciwszy.

 Mimo to poczekaliśmy jeszcze z godzinę, potem usunęliśmy tarcze, przegradzające strumień, zapaliliśmy pochodnie, wzięliśmy konie za uzdy i weszliśmy do tunelu. Uch, ależ tam była woń! Na podłodze leżało całe mnóstwo trupów. Konie potykały się o nie i denerwowały się. Nie uwierzycie, ale spalonych było stosunkowo niewielu. Jeden na czterech, najwyżej na trzech. Pozostali się udusili. Strumyk spirytusu był słaby i spłynął tam, gdzie dno było najgłębsze. A oni przycisnęli się do ścian, poza tym ich ubrania były całe mokre. No i udusili się dymem. Oorton wydał rozkaz i żołnierze zaczęli tykać mieczami w szyje trupów. Samantha syknęła pogardliwie.

 My wszyscy także omal nie udusiliśmy się w tym tunelu. Wyszliśmy z niego z potwornym bólem głowy. A konie… Widzieliście kiedyś pijanego konia, który nie może ustać na czterech nogach? Ja wtedy widziałem. Dopóki szliśmy tunelem, nie było jeszcze tak źle, ale kiedy wyprowadziliśmy je na świeże powietrze, jeden z nich upadł. Oorton obejrzał go i kazał zabić na mięso.

 W zamku sprawy stały bardzo kiepsko. Z oddziału rycerzy, którym dowodził ojciec, wróciła jedna trzecia. I Kaspra nie zabili, gdyż go nie znaleźli. Spalili wszystkie namioty w obozie Kaspra, całe siano i w ogóle wszystko, co mogło się palić. Ale, podczas gdy palili obóz, ludzie Kaspra poszli na szturm. A ciężka jazda Kaspra zawróciła i chciała zaatakować ojca. Ale ojciec z nimi nie zaczął walczyć, tylko uciekł przed nimi po wielkim łuku pod ściany zamku. A konnica Kaspra biegła za nimi i wydawało się, że to jeden wielki oddział. Nasi ludzie znowu krzyczeli: „Zdrada!”, „Zdradzili nas!”, „Ratuj się, kto może!”. Ludzie Kaspra nie od razu zorientowali się, kto na nich pędzi, a kiedy się zorientowali, nasi już przez nich przebiegli, a na nich mknęła konnica Kaspra. Zrobiło się wielkie zamieszanie, szturm się załamał, ale nasi łucznicy i kusznicy na murach mieli mnóstwo pracy. Ojciec dwa razy obiegł zamek dookoła, zanim jeźdźcy Kaspra zrozumieli, że lepiej będzie, jeśli będą się trzymali z dala od murów. Wtedy otworzono wrota i nasi zdołali ukryć się za murami. Ale kilka koni nie wytrzymało takiej gonitwy, a większość padła już na podwórzu w zamku. Mimo że natychmiast zdjęto z nich pancerze i derki, wytarto do sucha i wychodzono, część z nich trzeba było zabić. Mieliśmy też sporo zabitych i rannych na murach, skończył nam się ponownie spirytus oraz strzały i bełty ze stalowymi grotami przeciw rycerzom. Mimo to wielu się cieszyło, gdyż przy tak olbrzymich stratach Kaspra wydawało się im, że wygrywamy. Nie zdawali sobie sprawy, że jeszcze trzy-cztery takie szturmy, a w zamku nie pozostanie ani jeden wojownik. Same baby i chłopi, wprawdzie nieco podszkoleni, ale żołnierzy nie zastąpią.

 Znalazłem ojca. Był żywy i zdrowy. Tylko wargę miał rozbitą i spuchniętą jak kotlet, a na lewym policzku ślad od miecza. Zupełnie płytki, właściwie zadrapanie. Ja też miałem na lewym policzku zadrapanie. Gałązka mnie dziobnęła, kiedy pędziliśmy przez las. Oorton popatrzył na nas obu i roześmiał się. A mama objęła nas i rozpłakała się. Potem zaczęła robić mi wymówki i kląć. Płakała i klęła. Dlatego powiedziałem, że muszę iść do cioci Elli i pobiegłem do podziemi.

 W pokoju cioci Elli było bardzo złe powietrze, gorsze, niż w tunelu, kiedy nim szliśmy. Smoczyca położyła głowę na stole, a jej oczy były mętne. Otworzyłem drzwi na oścież i podparłem ławką, żeby się nie zamknęły. Potem wróciłem na górę, wezwałem ludzi i pootwieraliśmy wszystkie drzwi i luki, prowadzące do podziemi. Tymczasem Oorton przekazał ojcu moje słowa o wodzie i ojciec wysłał ludzi z bosakami wyławiać trupy z dolnego tunelu, a innych wynosić z górnego. Teraz już nie było sensu ukrywać tunel przed swoimi ludźmi, kiedy nawet Kasper o nim wiedział.

 W międzyczasie ciocia Elli trochę przyszła do siebie i zaczęła wypytywać, jak szła bitwa. Najpierw ojca, potem po kolei dwudziestu ludzi z murów. A mnie bolała głowa, byłem bardzo zmęczony i ni w ząb nie mogłem zrozumieć, co chce przez to osiągnąć. Ojciec też chyba nie mógł zrozumieć, gdyż zapytał:

 – Co pani o tym myśli, lady?

 – Nikt nie koordynował działań wojsk Kaspra. Każdy z jego dowódców działał według własnego rozeznania. I to dobrze, gdyż w przeciwnym razie moglibyśmy już tu nie rozmawiać.

 O czym tam dalej mówiono, nie wiem, gdyż zasnąłem – przy stole, na siedząco. Wiem tylko, że przez cały dzień nasi chłopi i drużyny pogrzebowe Kaspra zajmowali się usuwaniem trupów. Nasi zabierali im broń i zbroje, a ciała wynosili na mury i zrzucali w dół. A drużyny pogrzebowe Kaspra wywoziły je wozami w las, wraz z tymi, którzy zginęli podczas szturmu. A tych wozów było bardzo, bardzo dużo. Kiedy zaś z tunelu wyniesiono wszystkie trupy, ojciec zamknął śluzę, żeby zebrać wodę i przemyć cały tunel.

**ROZDZIAŁ18**: **Jak zakończyła się wojna**

 Chcecie wiedzieć, czym zakończyła się wojna? A niczym! Kasper znikł! A pozostali rycerze nie zdołali wybrać jednego, któremu by się wszyscy podporządkowali. Pięć dni po szturmie pokłócili się i zaczęli walczyć między sobą. W rezultacie naszych wrogów zrobiło się jeszcze o półtora setki mniej. Wtedy ojciec wysłał do nich gońca i kazał im rozjechać się po domach. Tym, którzy odjadą, obiecał przebaczenie, albo, jak to określił, amnestię. Ale dla tego, kto odjedzie ostatni, amnestii nie będzie.

 W nocy w obozie Kaspra znowu wybuchły walki. A następnego dnia obozu już nie było. Tylko setka świeżych trupów i setka ciężko rannych, z których połowa do wieczora umarła. Ciekawie to wyszło: oni wojują, a my mamy za nimi sprzątać trupy!

 A co się stało z Kasprem, dowiedzieliśmy się dopiero po miesiącu. W czasie nocnego szturmu wjechał pełnym galopem w jeden z własnych dołów-pułapek. Jeszcze raz się potwierdziło przysłowie: kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada. Czterech chłopów z drużyny pogrzebowej Kaspra znalazło ciało dopiero pod wieczór i, pamiętając o wyznaczonej nagrodzie, schowało je w lesie. A w nocy pokłócili się o podział przyszłej nagrody i pozabijali się wzajemnie. Dobrze, że jeden z nich zdążył wygadać się markietance, z którą żył, bo inaczej nigdy byśmy się nie dowiedzieli, gdzie podział się Kasper.

 – Na wojnie jak na wojnie – powiedziała o tym ciocia Elli. I Oorton się z nią zgodził, a ojciec nie.

 Ciocia Elli zaczęła wydziwiać. Wojna się skończyła, a ona dostała pomieszania zmysłów. Powiedziała mi, że nie trzeba jej dalej odkopywać, że jej życie się skończyło i ma już tylko jedno pragnienie – umrzeć. A to tylko dlatego, żeśmy zabili wielu ludzi Kaspra. Głupio, nieprawdaż? Jeśli wroga nie zabijesz, on zabije ciebie. A lady Elana w ogóle nikogo nie zabiła, tylko dawała rady. A tak w ogóle, to wojna wyszła jej tylko na korzyść. Dopóki trwało oblężenie, nie miałem czasu jej odkopywać, więc wszystkie rany zarosły i nawet łuska się przebiła. Czyli organizm smoczycy zgromadził te wszystkie wewnętrzne zasoby, których mu brakowało. Chciałem odkopać jej tylne nogi, ale pomyślałem sobie, że z tym się lepiej nie śpieszyć. Wtedy dookoła nóg będą jamy, do których będzie ściekała krew. A myślicie, że to przyjemnie stać po kolana we krwi? I kontynuowałem oczyszczanie grzbietu.

 W ogóle w zamku było bardzo dużo zajęć. Część chłopów rozjechała się, ale ze wsi na brzegu rzeki nie został ani jeden dom. I jej mieszkańcy nie mieli gdzie jechać. W zimie nie bardzo da się budować domy, zresztą ludzie Kaspra zniszczyli bardzo dużo lasów. Ciocia Elli powiedziała, że, jeśli zajmiemy się zadrzewieniem, to za dwadzieścia lat prawie odtworzymy stan sprzed wojny. Wyobrażacie sobie – sadzić lasy! Śmiechu warte! Przecież to nie kartofle! Ale lekarz się z nią zgodził, po nim także ojciec, który obiecał na wiosnę wysłać ludzi. A sam zebrał oddział i pojechał po zamkach rozdawać amnestie i przyjmować przysięgi. No i wypuszczać na wolność tych rycerzy, którzy zostali zamknięci w podziemiach na rozkaz Kaspra, na przykład sir Snowa. Było ich naprawdę wielu. Tylko w podziemiach zamku Kongów nikt nie siedział – oczywiście z wyjątkiem cioci Elli.

 Z daniną ojciec postąpił bardzo rozsądnie. Rozkazał, żeby ci, którzy walczyli po stronie Kaspra, sami ją przywieźli. On w tym roku nie ma do tego głowy, ma wiele innych trosk. Ale jeśli ktoś przywiezie mniej niż się należy, niech się nie obraża. Ojciec sam przyjedzie i weźmie cztery razy więcej. A tych, którzy byli przeciw Kasprowi, zwolnił na rok od wszelkich płatności.

 Wielu, szczególnie ci, którzy przeżyli pierwszą bitwę, kiedy ojciec narzucił na rycerzy sieci, skarżyło się, że walczył nieuczciwie. Ojciec śmiał się i odpowiadał, że w ogóle tego dnia nie walczył, tylko po prostu ukarał tchórzliwe psy. Że walczy z dzielnymi ludźmi, a nie z tchórzliwymi szakalami. Byli stronnicy Kaspra zaprzeczali, jakoby byli tchórzliwymi szakalami.

 – A w pięciu na jednego – to nie jest tchórzostwo? – zapytywał ojciec. – Gdybyście wystawili siedemdziesięciu jeźdźców, to byłaby uczciwa walka. Ale wystawiliście trzystu pięćdziesięciu, więc pobiłem was jako tchórzy. A w ogóle to przez całą wojnę walczyliście jak tchórze. A to kopaliście podkop, a to chowaliście się za tarczami. Tylko raz uczciwie i odważne poszliście na szturm. Pod sam koniec. I wtedy wsiadłem na konia i odpędziłem was od zamku. To była dobra walka, w której dwa razy okrążyliśmy zamek, zanim was rozpędziliśmy.

 Rycerze ze wstydem spuszczali oczy. Trudno im było zaprzeczyć. Ja sam oczywiście tego nie słyszałem, ale opowiadali mi o tym Oorton i inni.

 A do naszego zamku przybyło bardzo dużo dzieciarni, wszystkie ze znanych rodów, z wygórowanymi ambicjami. I wielu akademików, którzy ich uczyli. W sali jadalnej postawiono dla dzieciarni oddzielny stół – na samym środku. Niby to najbardziej honorowe miejsce, ale trudno zawołać na służbę, poza tym u wszystkich na widoku, więc nie da się za bardzo połobuzować. Przez pierwszy tydzień codziennie bili się o to, kto ma gdzie siedzieć.

 Samantha nawet na nich nie patrzyła. Na mnie zresztą też. Dopóki trwała wojna, deptała mi po piętach, a kiedy wojna się skończyła – zero uwagi, funt pogardy. W zimie na cały miesiąc wyjechała do ojca. Wróciła jeszcze bardziej dumna i nieprzystępna. Doprawdy, nie wiem, dlaczego ona tak się pyszni. Niedługo pewnie zostaną żebrakami. Sir Dobur przesiedział całą wojnę w zamku, Kasper zniszczył im pola, popalił wioski. Chłopi mieszkają w ziemiankach. Sir Dobur za ostatnie pieniądze ze skarbca kupił ziarno, które raz w tygodniu rozdaje chłopom podług ilości gąb w rodzinie. A Samantha zadarła nosa.Z czego?

 Po zadrapaniu na policzku pozostała blizna. Mała, ale widoczna. Wszyscy, nawet ciocia Elli, myślą, że to od miecza, jak u ojca, tylko ja wiem, że to od suchej gałązki na błocie i dlatego każdemu mówię, że nie pamiętam, kiedy ją dostałem. Przed walką jej nie było, a po niej się pojawiła. Dzieciarnia mi zazdrości, i ci, którzy byli w dziecięcej armii Samanthy, też. A kiedy im opowiadam, jak Samantha przebrała się za łucznika i strzelała do ”żółwia”, oni tylko lekceważąco wydymają wargi i odwracają się.

 Wojownicy ojca uważają mnie za swojego. Nie w sensie „za pan brat”, ale za dorosłego. Jeśli im rozkażę, pójdą za mną w bój. Dlatego, że walczyliśmy razem. Dlatego, że widzieli, jak razem z ojcem ruszałem do ataku w decydującej nocnej bitwie. A że każdy z nich jest wyższy ode mnie o dwie głowy – to nic, przecież lord ma wydawać rozkazy, nie musi machać mieczem. W każdym razie moje dzieciństwo się skończyło. Przyznała to nawet mama. Żaden z akademików nie może mi teraz robić wyrzutów, że opuściłem zajęcia. Bo teraz ja wybieram,czego i kiedy będę się uczył i sam wyznaczam im godziny zajęć. Oczywiście tak naprawdę to doradza mi to ciocia Elli, ale o tym poza nami wiedzą tylko rodzice i lekarz. Zresztą i tak ja mam tutaj ostatnie słowo.

 Ale nie myślcie zaraz, że bycie dorosłym jest takie przyjemne. Jeśli mogę powiedzieć uprzykrzonemu akademikowi: „Przepraszam, dzisiaj jestem zajęty”, to wcale nie znaczy, że ja tak robię. Wtedy bowiem ktoś mógłby się zainteresować, czym ja się tak naprawdę zajmuję i oboje z lady Elaną mielibyśmy bardzo duże nieprzyjemności. A tak wszystko toczy się swoją koleją. Codziennie oczyszczam kawałek wielkości dłoni, co nie zajmuje mi więcej niż kwadrans. Raz w miesiącu taszczę kamienie do drogiego pokoju i spuszczam do dziury w podłodze. Błonka na skrzydłach rośnie normalnie. Jeśli mam być szczery, to mi się to już dawno śmiertelnie sprzykrzyło. Śluz, krew, podrygujące mięśnie, niepewny sufit nad głową. Ciocia Elli przyznała mi się, że czasem się nawet cieszy, kiedy z jakichś powodów pomijam dzień i nie męczę jej. Ale przyśpieszyć procesu się nie da. Dwa razy próbowaliśmy, i u cioci Elli pojawiały się symptomy szkorbutu.

**ROZDZIAŁ 19: Jak sir Dobur zbuntował się, a Samantha dostała obrożę zamiast piętna.**

 U sir Dobura sprawy szły coraz gorzej i gorzej. Ojciec pożyczył mu ziarno na zasiew i zwolnił go na parę lat od daniny. Ale, jak na złość, kolejne lata były równie nieurodzajne. Sir Dobur był zmuszony jeszcze raz pożyczyć od ojca ziarno. Inni wasale otwarcie sarkali: dlaczego ojciec zwolnił od daniny tylko jego?

 – Dlatego, że on nie poddał się Kasprowi – odpowiadał ojciec. – Dlatego, że jego córka z bronią w ręku broniła murów mojego zamku. A gdzie wyście wtedy byli?

 Minął rok, drugi… I nagle stało się coś strasznego: sir Dobur przegonił poborców daniny, wysłanych przez ojca.

 Termin spłaty daniny minął, ojciec jeszcze raz go przedłużył, ale sir Dobur powinien był zwrócić ziarno, pożyczone w zeszłym roku. I ojciec wysłał poborców. Sprawa wydawała się prosta, gdyż sir Dobur zawsze był wiernym wasalem, więc ojciec wysłał niedoświadczonych młokosów, surowo zakazując im rozrabiać, a zaraz po ich wysłaniu pojechał na polowanie. Przesyceni odpowiedzialnością chłopcy podjechali pod zamek sir Dobura i natknęli się na zamknięte wrota. Co prawda, o dziesięć kroków od mostu zwodzonego stały stoły z prostym, ale obfitym jedzeniem. Sir Dobur myślał, że chłopcy zjedzą i nie będą tak się złościć.

 – Co to ma znaczyć? – zapytał dowódca oddziału.

 – Bardzo mi przykro, panowie, ale w tym roku nie mogę zwrócić długu. Przekażcie to lordowi Riley.

 Gdyby tam był Oorton albo w ogóle któryś ze starszych wojów! Porozmawiałby i wszystko rozeszłoby się po kościach. Ale dla młodych bałwanów nie wykonanie zadania i powrót z niczym wydawał się straszną hańbą. Klnąc najgorszymi słowami postanowili podpalić wrota zamku. Po co? Sami nie wiedzieli. Sir Dobur rozkazał łucznikom postraszyć idiotów. Poleciały strzały. Oczywiście nikomu nie wyrządziły krzywdy, ale występek ze zwykłego nieposłuszeństwa od razu zamienił się w bunt.

 A w drodze powrotnej chłopcy spotkali ojca, który polował z przyjaciółmi już trzeci dzień. Właściwie to już „polował”, gdyż wszyscy byli podpici – „trzeźwi” akurat na tyle, że jeszcze trzymali się w siodle, gdyż spadających służący wynosili do namiotów. Ojciec bardzo się rozzłościł i pogalopował na zamek sir Dobura, do którego miał niedaleko, gdyż bliżej naszego zamku Kasper wyciął prawie wszystkie lasy. Do ojca przyczepiło się jeszcze kilku rycerzy, i to było fatalne, gdyż wszyscy byli pijani i nie zdawali sobie sprawy z tego, co robią. Kiedy podjechali pod zamek sir Dobura, zaczęli krzyczeć: „Spuść most i otwórz wrota! Przyjechaliśmy ciebie powiesić!”. Oczywiście sir Dobur nie wpuścił ich na zamek.

 Dwa dni później ojciec powrócił do domu. Trzeźwy i bardzo zły. Wszyscy, z Samanthą włącznie, wiedzieliśmy już, co się stało, opowiadali nam o tym gońcy. Mama wezwała Samanthę do siebie i zaproponowała jej wzięcie dwu koni i ucieczkę okrężnymi drogami do ojczystego zamku, ale ta jeszcze wyżej zadarła nosa i powiedziała, że w rodzie Doburów nie było tchórzy. A potem zamknęła się w swoim pokoju.

 Opowiedziałem o wszystkim cioci Elli i ona też bardzo się zaniepokoiła. A kiedy przyjechał ojciec, od razu rozkazał zamknąć Samanthę na klucz i na następny dzień wyznaczył jej sąd. Namówiłem ciocię Elli i ona coś zrobiła z okularami, po czym zaniosłem je do gabinetu ojca i położyłem na parapecie. Po posiłku w ponurej jadalni rodzice poszli od razu do gabinetu i długo tam rozmawiali. Kiedy matka wyszła, zapukałem, powiedziałem, że zapomniałem okularów cioci Elli, zabrałem je i poszedłem.

 Ciocia Elli przesłuchała rozmowę ojca z mamą i powiedziała, że ojciec nie zabije Samanthy, ale nie wiadomo, czy to lepiej czy gorzej dla tak dumnej dziewczyny. Ojciec postanowił bowiem ją napiętnować jak złodziejkę, by wszyscy wiedzieli, że ród Doburów to ród złodziei.

 Wyobraziłem sobie, jak Samancie przykładają do policzka gorące żelazo i rozpłakałem się po raz pierwszy od trzech lat. Przecież to był koniec wszystkiego! Lekarz, człowiek na pewno poważany, ale nie z wyższych sfer, nie może się ożenić z Pearleytylko dlatego, że ona ma piętno na ramieniu. Na ramieniu, a nie na policzku! Nawet go nie widać pod sukienką. Więc czy ja, lord, będę mógł pojąć za żonę dziewczynę z piętnem złodziejki na policzku? A drugiej takiej jak Samantha nie znajdę w całym świecie.

 – Ciociu Elli, wymyśl coś – zacząłem ją błagać.

 – Kto jej pilnuje?

 – Oorton.

 – O Boże! Ale nie, to i tak byłoby do niczego. Jeśli ona ucieknie, to tylko jeszcze bardziej zaogni sytuację – wymamrotała ciocia Elli, głośno myśląc. – Lord Riley zbierze wojska i weźmie szturmem zamek sir Dobura. Będzie jeszcze gorzej. Potrzebny jest wentyl, żeby spuścić parę. Ktoś musi zostać ukarany, ale nie aż tak surowo. – Wpatrzyła się niewidzącym spojrzeniem i zamarła na całe pięć minut, po czym zapytała: – John, jeśli rozkażesz Oortonowi uwolnić Samanthę, on ciebie posłucha?

 – Nie wiem – przyznałem szczerze.

 – A co ojciec zrobi z Oortonem, jeśli Samantha ucieknie?

 Spuściłem głowę.

 – Posłuchaj, John, widzę tylko jedno wyjście. Musisz włożyć na Samanthę obrożę niewolnicy. Nie przerywaj! – Osadziła mnie gniewnie. – Obroża obroni ją przed ojcem i jego złość spadnie na ciebie i Oortona. Muszę jeszcze pomyśleć, jak wyprowadzić Oortona spod ciosu.

 – W czym obroża jest lepsza od piętna?

 – W tym, że można ją zdjąć, idioto! W tym, że przenosi Samanthę pod twoją jurysdykcję. W tym, że ucieczka nie będzie potrzebna, a co za tym idzie, wina Oortona będzie znacznie mniejsza. Samantha pozostanie w zamku i będziesz mógł ją jako swoją własność trzymać gdzie ci się spodoba. –Smoczyca wypluwała słowa ze złością. Widać było, że cały pomysł bardzo się jej nie podoba. I po raz pierwszy nazwała mnie idiotą. Nagle zmieniła ton i zatrajkotała: – Czekaj, czekaj… W tym coś było… Zwrot tematu… Aha! Bunt posłuszeństwa! To jest wyjście!

 – Nie rozumiem…

 – Co ma zrobić żołnierz, jeśli dwóch sierżantów wyda mu sprzeczne rozkazy?

 – Nie wiem.

 – Ależ wypełniać ten, który został wydany jako ostatni! Albo ten, który mu się bardziej podoba! Żołnierz uzyskuje wolność wyboru. Wezwij Oortona.

 I tak nie zrozumiałem, ale pośpieszyłem do wyjścia.

 – John! – zawołała ciocia Elli, kiedy już byłem przy drzwiach. – Wybacz mi, proszę. Brzydko cię nazwałam. Po prostu cały ten pomysł tak bardzo mi się nie podoba… Że ty, akurat ty zostaniesz właścicielem niewolników. I ja sama popycham cię do tego…

 Szedłem korytarzem i nie mogłem dojść do siebie. Czyżby Samantha już dzisiaj wieczorem miała zostać moją niewolnicą? Jej się to nie spodoba… I ojcu się nie spodoba, i Oortonowi, i mamie. Cioci Elli już się nie podoba. A mnie się podoba!!!

 Na podwórzu zawołałem dwóch żołnierzy i zaprowadziłem przed drzwi, gdzie mieli zmienić Oortona.

 – Za tymi drzwiami jest Samantha – powiedziałem im. – Będziecie jej pilnowali, dopóki Oorton nie wróci. Odpowiadacie za nią głową. Oortonie, lady Elana chce z tobą mówić.

 Oorton jeszcze raz poinstruował żołnierzy i poszedł ze mną. Potem długo spierał się z ciocią Elli. Wyszedłem na korytarz. Myślicie, że za drzwiami decydował się los Samanthy? Figa z makiem! Tam rozstrzygał się mój los! Ale ciocia Elli, jeśli naprawdę zechce, potrafi przekonać każdego. Po kwadransie Oorton opuścił pomieszczenie, kręcąc głową w oszołomieniu, jakby nie wierzył w to, co ma zaraz zrobić. Wyszedłszy z zamku rozkazał sierżantowi zebrać ludzi i poszedł ze mną do Stefana. Kowal pogrzebał w szafie i znalazł obrożę, pasującą na Samanthę. Sprawdził, jak obraca się kluczyk w zamku, przetarł obrożę czymś tak, że zabłyszczała jak nowa i poszliśmy po Samanthę.

 Do pokoju Samanthy nie wchodziłem. Nie powinna była widzieć mnie przed czasem. Ale wszystko słyszałem z korytarza.

 – Masz przed sobą dwie drogi – powiedział jej Oorton. – Albo jutro otrzymasz piętno złodziejki, albo dzisiaj obrożę niewolnicy. Co ci bardziej odpowiada?

 Samantha krzyknęła cieniutko, jak postrzelony zając.

 – Nie możesz dokonać wyboru. Niepewność to cecha niewolnicy. – PodsumowałOorton, po czym usłyszałem dźwięki krzątaniny.

 – Nie! Nie trzeba! Pójdę sama! – Płakała Samantha. Kiedy Oorton wyprowadził ją z pokoju, ręce miała związane za plecami, od czego jej piersi podniosły się i wzgórkami naciągnęły sukienkę, a na głowie gęsty czarny worek – wszystko jak należy.Stefan z Oortonem wzięli ją za łokcie i zaprowadzili na tylne podwórze. Tylnego podwórza nie widać z okien gabinetu ojca i można tam się bardzo głośno zachowywać.

 Żołnierze już na nas czekali. Sierżant dał znak i zaczęli rytmicznie uderzać mieczami w tarcze. Oorton podniósł rękę i zapadła cisza. Głośno i wyraźnie opowiedział o przestępstwie sir Dobura i karze, jaką otrzyma za to jego córka. Stefan podniósł Samanthę, machnął nią jak dywanikiem i położył na ziemi tak, że jej twarz dotknęła czubków moich butów. Pochyliłem się i zapiąłem obrożę na jej szyi. Szczęk zamka wyraźnie zabrzmiał w przedwieczornej ciszy. Ale Samantha jeszcze nie wiedziała, kto jest jej właścicielem. Gotów jestem założyć się o wszystkie skarby zamku Kongów, że nigdy nie pomyślałaby, iż to będę ja. Żołnierze znów zastukali mieczami po tarczach. Stefan pochylił się, rozwiązał tasiemkę i zdjął worek z głowy dziewczyny. Potem wziął ją od tyłu za włosy i zaczął powoli podnosić. Samantha zobaczyła czubki butów, cholewy, spodnie, sprzączkę rzemienia, bicz za pasem… Nasze oczy się spotkały.

 Nigdy u nikogo nie widziałem aż takiej rozpaczy w zapłakanych oczach.

 – Ty miernoto! Ty słabeuszu i tchórzu! – krzyczała Samantha. – Bez sług jesteś pustym miejscem! – Wykręciła się i plunęła mi w twarz, ale nie trafiła. Dobrze, że żołnierze już się rozeszli, gdyż w przeciwnym razie musiałbym wysłać ją do stajni, żeby tam jej wlepili dziesięć batów. Oorton, okręciwszy jej włosy dookoła swojej pięści, przygiął jej głowę ku ziemi. – Daj mi miecz i dowiedź, że jesteś mężczyzną!

 – Oortonie, puść ją – rozkazałem. – Daj mi twój miecz.

 Miecz Oortona był szerszy i cięższy od mojego, ale tylko o dwa centymetry dłuższy. Wbiłem przed nią w ziemię oba miecze: jego i swój.

 – Wybieraj.

 Wypróbowała oba miecze i wybrała mój. Klinga Oortona była nieco za ciężka dla jej ręki, dla mojej zresztą też; poza tym chciała, żebym walczył nieznaną bronią.

 – Walczymy na śmierć i życie – zastrzegła. Jakaż była w owej chwili piękna!

 Pokręciłem ósemki mieczem Oortona, żeby określić jego punkt równowagi i w ogóle poczuć go. Był podobny do swojego właściciela: masywny, ciężki, niezawodny.

 – Po co mi martwa niewolnica? Nie będę ciebie zabijał, ale cię spiorę.

 – Najpierw mnie pokonaj. – Samantha oderwała od sukienki cały dół, aż do kolan, z lewej strony rozdarła prawie do pasa. – Zdejmij mi obrożę! Nie chcę walczyć w obroży.

 Rzuciłem klucz Oortonowi.

 – Oortonie, jeśli zwycięży, jest wolna.

 – Ojcu to się nie spodoba – powiedział Oorton, ale rozkaz wykonał. No bo kto walczyłby na miecze z własnym niewolnikiem?

 Samantha, po zdjęciu obroży, pokręciła głową i stanęła w pozycji bojowej. Specjalnie wybrała ją tak, żeby słońce świeciło mi w oczy.

 – Jesteś gotów?

 Zasalutowałem jej mieczem, ustawiłem się w pozycji bojowej i od razu zostałem zasypany lawiną szybkich ciosów. Z prawej, z lewej, z dołu w górę, cięcie proste i od razu potężne, szerokie zamachowe po nogach. Samantha oczekiwała, że odbiję jej brzeszczot, ale ja przeskoczyłem przez niego, a kiedy ona, o mało nie straciwszy równowagi, obróciła się do mnie bokiem, nie wytrzymałem i dałem jej kopniaka w tyłek. Kopniak wyszedł silniejszy niż chciałem – ciężkim butem trafiłem prosto w kość ogonową. Samantha krzyknęła z bólu i złośliwie błysnęła oczami.

 – Przepraszam, lady, zapomniałem, że pani walczy boso. Więcej ciosów nogami już nie będzie, daję słowo.

 Odstąpiłem na trzy kroki, dając jej czas na przeczekanie bólu. Po chwili Samantha znowu rzuciła się do ataku, zaczynając od ciosu kłującego w pierś. Odskoczyłem w bok, przechwyciłem lewą ręką jej nadgarstek i lekko uderzyłem ją płazem w czoło. Teraz Samantha ze złości zupełnie przestała uważać. Dwa razy mogłem złamać jej miecz, kiedy opuszczała jego koniec do samej ziemi, ale to przecież był mój miecz! Dwa razy mogłem odciąć jej rękę aż po łokieć, ale to przecież była ręka Samanthy! Parować jej ciosy było bardzo łatwo i po prostu czekałem, aż się zmęczy. Co prawda, sam też zaczynałem odczuwać zmęczenie, no i miecz Oortona był dla mnie nieco za ciężki. Nareszcie zrobiła błąd. Odprowadziłem jej ostrze w bok, rzuciłem się na nią ciałem i mocno popchnąłem. Omal nie upadła na plecy, jej ręka trzymająca rękojeść miecza, osłabiła chwyt, i wybiłem z niej broń mocnym uderzeniem z góry tuż przy rękojeści. Przez kilka sekund Samantha przyglądała się oszołomiona swojej pustej dłoni, po czym zacisnęła pięści i rzuciła się na mnie. Zrobiłem krok w bok i podstawiłem jej nogę. Nawet nie próbowała się podnieść, tylko płakała i biła pięściami w ziemię.

 – Obroża! – rozkazałem Oortonowi. Włożył mi ją do ręki, a ja pochyliłem się i zapiąłem obrożę na szyi dziewczyny.

 – Bicz! – Oorton podał mi bicz. Dwa razy uderzyłem nim dziewczynę po plecach. Dwa razy zadrżało jej ciało. Ale potem usłyszałem jej płacz. I błagania:

 – Jestem wolna, nie masz prawa, dlaczego mnie nie zabijesz? Zabij mnie, gadzie, ja chcę umrzeć wolna!

 Okręciłem jej włosy dookoła swojej ręki i szarpnięciem uniosłem jej głowę.

 – Spójrz na mnie. Jestem twoim panem, a ty jesteś moją niewolnicą. Nie umiesz walczyć ani na miecze, ani na pięści. Jesteś tylko słabą dziewczynką, choć wybujałaś jak osinowa tyka. Oortonie, odprowadź ją do moich pokojów. Niech zamiecie podłogę i wytrze kurze. Jeśli będzie się sprzeciwiała, zwiąż ją i rzuć w kąt.

 Oorton kazał jej podnieść się i wyprowadził. Znalazłem swój miecz, włożyłem do pochwy. Tak wstrętnie na duszy nie było mi jeszcze nigdy. Zawsze tak się zachwycałem Samanthą! Czemu ona nie chce zrozumieć, że próbuję ją obronić przed piętnem na policzku? Piętno – to na całe życie, na zawsze. A obrożę można zdjąć. Jakże ona mną gardziła, jak starała się zabić! Za co? Jeśli nie złamię jej butnego charakteru, jeśli nie podporządkuję jej sobie, nigdy nie będziemy szczęśliwi. A co powiem cioci Elli? Obiecałem jej, że nie tknę Samanthy palcem.

 Nie poszedłem tego wieczoru do lady Elany. Od tego zrobiło mi się jeszcze gorzej na duszy. Wydawałoby się, że gorzej już być nie może – a jednak okazało się, że może. Gdy wróciłem na zamek, kucharka Flora zakomunikowała mi, że Samantha próbowała się powiesić. Oorton w porę wyjął ją z pętli. Popędziłem na górę.

 Usłyszawszy moje kroki, lady Sara zaczęła przesadnie głośno czytać legendę o Tristanie i Izoldzie. Pchnąłem drzwi. Samantha leżała na łóżku. Nie, ona była przywiązana do łóżka!

 – O Boże, po co aż tak?! – wykrzyknąłem, wyjąłem kindżał i zacząłem piłować sznury, wiążące jej ręce do oparcia łóżka.

 – No, to już wasze sprawy, młodzi, ja idę. – Lady Sara skierowała się do drzwi.

 Obiegłem łóżko i przeciąłem sznur, krępujący pod kocem nogi Samanthy.

 – John, ja muszę wyjść. Pozwól mi pójść się załatwić.

 – Dobrze, Santi… Tylko daj mi słowo, że nic z sobą nie zrobisz, proszę cię… Dlaczego płaczesz?

 – Śmiejesz się?... Chcesz, bym biegała po zamku goła, to już lepiej przywiąż mnie do wrót.

 – Samantho, uwierz mi, ja chcę dla ciebie tylko dobrze.

 – Więc zwróć mi sukienkę.

 – A gdzie ona jest?

 – Skąd mam wiedzieć? Zapytaj matki.

 Biec do matki – nie, tylko nie to! Nie wyjaśnisz jej przecież, że w długiej sukni nie da się walczyć na miecze. Długa suknia plącze nogi, przez co można zginąć. Tylko dlatego Samantha ją skróciła. A walczyć na miecze z dziewczyną – tego matka nigdy nie zrozumie… Nie, do matki nie mogę iść. Więc co mam zrobić?

 Chowam się za oparciem łóżka, szybko zdejmuję żakiet i spodnie.

 – Włóż na razie moje ubranie. Rano coś ci wymyślę.

 – Odwróć się.

 Odwracam się w stronę okna i nagle przypominam sobie, że zostawiłem kindżał na kocu. Robi mi się strasznie. I o siebie, i o Samanthę. Chyba jednak bardziej o siebie.

 – Samantho – mówię. – Jeśli chcesz umrzeć, zabij lepiej mnie. Na kocu leży mój kindżał. Ale zaklinam cię, nie śpiesz się. Jestem twoim przyjacielem, a nie wrogiem.

 – Sama wybieram sobie przyjaciół – odpowiada gniewnie. Ale to już inny gniew. W jej głosie brzmi obraza, a nie złość. Uspokajam się.

 Trzaśnięcie drzwiami. Odwracam się. Kindżał leży na łóżku. Grzebię w komodzie, znajduję inne spodnie, ubieram je. Chwilę myślę, gdzie schować kindżał, ważę go na dłoni i rzucam z półobrotu w ścianę, pod sam sufit. Tuż po rzucie drzwi się otwierają i wraca Samantha, Nie znajduję słów na opisanie, jaka jest piękna. Moje spodnie i żakiet są na nią za krótkie, gdyż jest ode mnie wyższa o całą głowę, chociaż węższa w ramionach. Wilgotne oczy błyszczą w półmroku, a włosy!... Jak śmiałem motać je na rękę?! Nie wiem, co robić, boję się tylko zostawić ją samą. Samantha zamyka za sobą drzwi, poły żakietu się rozchylają, a pod nim… Nie wiem jak, ale nagle znajduję się tuż obok dziewczyny. Ona bierze moją dłoń i kładzie na swoją pierś. Sam bym się na to nie odważył. A pierś ma srebrzystą, miękką, mięciutką na wskroś! Wyczuwam, jak pod nią bije serce.

 Z pewnością to bardzo głupie: gwałcąc niewolnicę-dziewicę błagać ją, żeby była ostrożniejsza w pojedynkach na miecze. Ale to była moja pierwsza noc z kobietą. Ba, dla nas obojga to była pierwsza noc, choć Santi jest o dwa lata starsza ode mnie, ma już szesnaście i pół roku. I niech będzie błogosławiona lady Sara, niezmienna dama dworu mojej matki, za szczere rozmowy na temat roli mężczyzny i kobiety. Nie pamiętam, co plotłem tej nocy, kiedy moje ręce i wargi pierwszy raz rozkoszowały się ciałem dziewczyny, choć Samantha potem dużo mi o tym opowiadała. Ale nieważne, co jej mówiłem, podbiło ją to, że w każdym moim słowie brzmiała troska o nią, strach o nią i nadzieja na nasze wspólne szczęście. Jeśli wieczorem Samantha zamierzała ustąpić sile, udać upokorzoną, ale w przyszłości rozbić moje serce i zemścić się okrutnie, to nad ranem sama oddała mi serce i miłość. Raz na zawsze. Żeby tylko miała choć trochę miększy charakter!...

 Miałem przed sobą jeszcze trzy nieprzyjemne sprawy. Nieprzyjemne… Słabo powiedziane. Aż kolana mi drżały, kiedy o tym myślałem. Rozmowa z lady Elaną, rozmowa z ojcem i wyjazd do sir Dobura. Ponad godzinę leżałem w pościeli z otwartymi oczami, patrzyłem na jaśniejący sufit i myślałem. Widzieliście, jak pracują kowale? Jeden trzyma szczypcami rozżarzoną bryłę, a trzech młotników po kolei w nią bije. Pytanie: czy to ciekawe być taką bryłą?

 – Samantha, wstawaj. Słuchaj mnie uważnie i nie przerywaj. Dopóki nie pogodzę się z ojcem, masz w zamku tylko dwóch obrońców: ja i lady Elana. Nie sądzę, żeby lady Elana była tym zachwycona, ale tylko tam będziesz bezpieczna. Ubierz się ciepło, może będziesz musiała spędzić tam niejeden dzień. Dlatego postaraj się zrobić na cioci Elli dobre wrażenie. I nie zapomnij jej przeprosić.

 – Chcesz, żeby mnie zjadła? Nie pójdę!

 W pierwszej chwili chciałem nazwać ją tchórzem, ale zamiast tego wziąłem jej twarz w dłonie i pocałowałem.

 – Pójdziesz ze mną. Nie chcę, żeby na twoim policzku postawiono piętno. Lady Elana będzie ciebie strzec, dopóki nie wrócę. Wierz mi.

 Samantha spuściła wzrok. Szybko się ubrałem, otworzyłem drzwi i wyjrzałem na korytarz. Na krześle koło drzwi leżała sukienka Samanthy – pewnie lady Sara się zatroszczyła. Rzuciłem sukienkę Samancie, z dolnej szuflady komody wyjąłem gruby koc podróżny i też jej rzuciłem. Zapaliłem kaganek, wziąłem ją za rękę i zaprowadziłem w podziemia jedną z najbardziej niewygodnych tras. Najpierw długim ciemnym korytarzem, potem stromymi spiralnymi schodami bez poręczy, którymi nikt poza mną nie chodził od ponad stu lat. Wyjąłem klucz ze skrytki, otworzyłem skrzypiące drzwi i szybko poprowadziłem po korytarzach podziemi. W sali przykutych zatrzymałem się, podałem jej kaganek i udałem, że wytrząsam kamyczek z buta. Kiedy doszliśmy do drzwi pomieszczenia cioci Elli, ręka Samanthy odczuwalnie drżała w mojej. Wszystko szło zgodnie z planem.

 – Ciociu Elli, to Samantha. Samantho, to lady Elana, twoja pani. Słuchaj jej bez słowa sprzeciwu. Lady Elana będzie strzegła ciebie do mojego powrotu. Opowiedz jej o wszystkim, co wczoraj zaszło.

 Samantha rzuciła na mnie żałosne, bezradne spojrzenie. Ale ja tylko dolałem oleju do kaganków na ścianach, zapaliłem je od swojego i skierowałem się do drzwi.

 – John, co to ma znaczyć?

 – Później, ciociu Elli. Nie mam czasu. Samantha ci opowie.

 – John! John!

 Ale ja już szedłem korytarzem. Dobrze to wymyśliłem, nieprawdaż?! Samantha jest wystraszona i nie będzie arogancka. A do czasu, kiedy wrócę, ciocia Elli już wysłucha całej historii z ust Samanthy i nieco ochłonie. Nagle omal się nie potknąłem. „Panno święta!” – Przyszłomi do głowy – A jeśli Samantha opowie nie to, co było naprawdę, tylko…”.

 I wtedy po raz pierwszy pomyślałem, że to dobrze, iż ciocia Elli nie może się ruszyć z miejsca. Cokolwiek by nie naopowiadała jej Samantha, i tak będzie później musiała wysłuchać mojego opowiadania. Komu uwierzy? Oczywiście, że mnie. Dość już o tym. Jeszcze raz: co ja powiem ojcu…

 – Jak śmiałeś, psie?

 – A tak. Zrobiłem jak mi przykazano.

 – Kto ci przykazał?

 – Młody lord.

 – A co ja ci rozkazałem?!

 – Pana tam nie było, a on był. Wykonałem to, co on mi przykazał. I nie trzeba tak do mnie krzyczeć. Ja mam dobry słuch.

 – Oortonie, ty musisz wykonywać moje rozkazy! Tylko moje!

 – A rozkazy młodego lorda na bok? Nie ma tak! Dopóki pan się go nie wyrzekł, on też jest moim panem. I lady, pańska żona, też moja pani! A jak się panu nie podoba, proszę szukać sobie kogo innego. Co się stanie w zamku, jeśli ludzie przestaną wykonywać rozkazy?

 Oortonowi nie było lekko. Nigdy nie słyszałem, żeby mówił aż tak gniewnym głosem. Trzeba się włączyć zanim Oorton nie zapląta się w radach cioci Elli. Stanowczym ruchem odchyliłem portierę za drzwiami gabinetu i wszedłem.

 – Oortonie, wyjdź.

 – Słucham, młody panie – odrzekł Oorton z ulgą, ukłonił się i wyszedł. Ojciec siedział za stołem, czerwony z wściekłości. Usiadłem naprzeciw niego.

 – Gdzie jest Samantha?

 – Ma moją obrożę, tato!

 – Gwiżdżę na to, że ma obrożę! Musi mieć piętno złodziejki! Na czole!

 – Tato, ja nie chcę, żeby matka mojego dziecka nosiła piętno złodziejki.

 – Matka twojego dziecka?!!! – Ojciec walnął obiema pięściami w stół, aż dzban czerwonego wina podskoczył, przewrócił się, stoczył się ze stołu oblewając mnie całego i rozbił się na podłodze. – Jak śmiałeś?!

 – Tato… Nie miałem racji, ale teraz już nic nie zmienisz.

 – Na pal, zetnę jej głowę, zaduszę, utopię w wychodku! – Ojciec objął głowę rękami.

 Zrozumiałem, że burza minęła. A także, że ojciec wypił, i to bardzo dużo. Tyle, ile nigdy nie pił w domu przy matce, tylko czasem na polowaniu, które odbywało się nie częściej niż raz w miesiącu.

 – Tato, obroża niewolnicy – to też dobra kara. Wszyscy będą widzieli, jak córka niepokornego wasala usługuje ci przy stole i jest ci we wszystkim posłuszna.

 Ojciec gwałtownie wstał, przewracając krzesło, zataczając się podszedł do okna, otworzył je silnym pchnięciem. Długo stał przy nim wdychając rześkie poranne powietrze i coraz mniej się zataczając. A ja obserwowałem kałużę czerwonego wina na podłodze. Cienki strumyczek ciekł od niej w kierunku ku drzwi i zastanawiałem się, co pomyśli służba, kiedy wycieknie na korytarz.

 – Synu, daj mi słowo lorda, że nigdy nie zdejmiesz z niej obroży – przemówił w końcu ojciec zadziwiająco trzeźwym głosem.

 – Nie mogę dać takiego słowa. Będę zdejmował z niej obrożę, gdy będzie rodziła mi dzieci. Chcę, żeby moje dzieci rodziła wolna kobieta.

 Ojciec znowu długo milczał.

 – Wcześnie zacząłeś, synu… Mam nadzieję, że będzie miała z tobą córkę. Najstarszego syna lorda powinna urodzić prawdziwa żona, wolna kobieta, a nie niewolnica Mama wie?

 – Lady Sara wie. Zapewne powiedziała mamie.

 – Nie pozwalaj Samancie na zbyt dużo, bo ona ciebie zgubi. Pamiętaj, że to tylko niewolnica. John, skoro już tak wyszło, to porozmawiajmy jak mężczyzna z mężczyzną. To nie jest partia dla ciebie, ale ty tego jeszcze nie rozumiesz. Nie masz doświadczenia. Zgodzisz się ze mną, że nie masz doświadczenia?

 – Tak, tato, z tym się zgadzam.

 – To go nabierz! Nie zatrzymuj się na jednej! Jesteś lordem, wszystkie okoliczne dziewczyny są twoje. Nie spodobają ci się te, to jedź do Sentral, tam kup na bazarze każdą, która ci się spodoba. A jeśli spodoba ci się wolna, zaproponuj jej dwadzieścia złotych monet – i będzie twoja. Nie zechce za dwadzieścia, daj jej dwieście. Nie zechce dwustu, kup jej za te dwieście złote zabaweczki. Jesteś lordem, stać cię na to. Po dziesiątej albo setnej zaczniesz czuć ich mocne i słabe strony, jak ręka czuje broń. I dopiero wtedy wybieraj sobie towarzyszkę życia i zrób z niej swoją lady. Nieważne, kim była wcześniej, będzie tym, kogo z niej zrobisz.

 – Nawet, jeśli przed tym była złodziejką?

 – Widziałeś szmaragd, który nosi matka? Przez długie lata leżał gdzieś w ziemi, w błocie. Po wydobyciu wymagał oprawy i oszlifowania. Tak samo i z twoją złodziejką. Nie żałuj pieniędzy na nauczycieli dla niej, a otrzymasz brylant. Uważaj tylko, żeby nie miała piętna.

 – Tato… A… Z tobą i mamą było przecież inaczej.

 – Mnie się udało… Tobie – nie.

 I wtedy zrozumiałem, co robić dalej. Jak przejść do trzeciej naglącej sprawy.

 – Pomyślę nad twoją radą… Daj mi na tydzień Oortona.

 Ojciec spojrzał mi w oczy.

 – Jak się okazuje, zupełnie cię nie znam. Wątpiłem nawet, czy warto z tobą rozmawiać na ten temat. Opowiedz o tej rozmowie lady Elanie.

 – Obiecuję, tato.

**ROZDZIAŁ 20: Jak odwiedziłem zamek sir Dobura.**

 Teraz znowu trzeba iść do lady Elany, a tam jest Samantha. Do diabła, jestem lordem czy nie? W ostateczności tyle dla niej zrobiłem… Czy to nie wszystko jedno, czy była w obroży, czy nie, kiedy ją wziąłem? Czy ja wyrzekam się swoich własnych słów?

 Wymyślając oskarżenia i usprawiedliwienia, powoli szedłem do podziemi, jak na szafot. Zbliżając się do drzwi usłyszałem głosy Samanthy i cioci Elli, rozmawiających przyjaźnie. Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie postać za drzwiami i podsłuchać, o czym one mówią, ale przypomniałem sobie, jaki ciocia Elli ma czuły słuch, i pchnąłem drzwi. Rozmowa natychmiast się urwała i dwie pary oczu wpatrzyły się we mnie. Pod ich ostrzałem wziąłem krzesło i usiadłem naprzeciw smoczycy. Przez kilka sekund gniewnie patrzyliśmy sobie w oczy. Powstrzymałem chęć odwrócenia wzroku. Ciocia Elli wciągnęła powietrze.

 – John, czuć od ciebie winem.

 – To ubranie. Rozbił się dzban czerwonego wina. – Usłyszałem, jak za moimi plecami Samantha aż jęknęła. – Ciociu Elli, po śniadaniu wyjeżdżam na tydzień.

 – Dokąd?

 – Do zamku sir Dobura.

 – Coś ty, zgłupiałeś?! – wykrzyknęła Samantha. – Nigdzie nie pojedziesz! Ojciec jajka ci obetnie! Nie puszczę!

 – Wyjdź! – ryknąłem.

 – Nigdzie nie wyjdę! Myślisz, że jesteś taki dobry, jeśli mnie pokonałeś?! Ojciec w pięć sekund zakłuje cię jak świnię!

 – Jeszcze dwa słowa, a dostaniesz dziesięć batów w stajni.

 – Niechby i sto! A jeśli ty zabijesz ojca, nigdy ci tego nie wybaczę! Zarżnę cię w łóżku! Gardło zębami ci przegryzę, zrozumiałeś!?

 – Nie zamierzam z nim walczyć.

 – Santi, dziewczynko, wyjdź na minutkę, proszę cię – poprosiła łagodnie ciocia Elli. Usłyszałem stuk zamykanych drzwi. Smoczyca westchnęła i mówiła dalej:–Należałoby ciebie postawić w kącie, ale jesteś już prawie dorosły. Postanowiłeś więc pojechać sam do sir Dobura. Mądre, ale i ryzykowne rozwiązanie.

 – Nie będę sam. Ze mną pojedzie Oorton.

 – Sam czy we dwóch – to nic nie zmienia. Jeśli sir Dobur ci nie uwierzy, weźmie ciebie do niewoli i lord Riley będzie miał całą masę nieprzyjemności. Samantha także. O tobie już nie mówię. Ale jeśli on ci uwierzy, zakończysz konflikt, zanim rozwinie się w wojnę, wielu ludziom uratujesz życie, a sir Dobur znowu stanie się wasalem twojego ojca, i to najwierniejszym, jako twój kuzyn. Pomyślmy, więc, jak masz przeprowadzić rozmowę z nim.

 Wyszedłem od cioci Elli dopiero po dwu godzinach. Omówiliśmy wiele wariantów na różne możliwe sytuacje. Pod koniec opowiedziałem o rozmowie z ojcem. Ciocia Elli powiedziała, że jestem w wieku przejściowym i mam przerośnięte poczucie własnej wartości. Jeszcze trochę, a stanę się zarozumiały.

 Samantha czekała na mnie, siedząc na schodach. Zawinęła się w koc i drzemała, skulona pod ścianą.

 – Napiszę list do ojca. Tylko przysięgnij mi, że nie będziesz go czytał. I przysięgnij mi jeszcze, że nie wyzwiesz ojca na pojedynek.

 – Nie będę.

 – Przysięgnij.

 – Jesteś głupia. Mało ci słowa Kongów?

 Śniadanie jedliśmy w ponurej jadalni.Samanthę oczywiście odprawiłem, żeby zjadła w kuchni. Ojciec i matka też z pewnością odbyli poważną rozmowę i teraz oboje siedzieli ponurzy, zasępieni, z rzadka rzucając na siebie wzajemnie gniewne spojrzenia. Matka wyglądała, jakby chciała porozmawiać ze mną po śniadaniu, więc bardzo szybko, nie podnosząc oczu znad talerza, spałaszowałem swoją porcję i wyśliznąłem się z jadalni. Pobiegłem do swojego pokoju, byle jak wepchnąłem do sakwy koc, ubranie myśliwskie, kuszę, kindżał, jeszcze parę drobiazgów, miecz wziąłem pod pachę, worek zarzuciłem na plecy i wybiegłem z pokoju. W korytarzu zderzyłem się z Samanthą.

 – Ty dokąd? – zapytała.

 – Do twojego ojca.

 – Ależ John, ja jeszcze nie napisałam listu.

 – Nie ma czasu.

 – Dałeś słowo.

 – Dobrze. Chodź ze mną. – Pobiegliśmy po korytarzach we dwójkę.

 Śpieszyłem się do stajni, ale wybrałem taką trasę, żeby na pewno nie spotkać matki, gdyż inaczej z wyprawy nic by nie wyszło. Oorton, poinstruowany przez ciocię Elli, kończył właśnie siodłać cztery konie: dwa, na których pojedziemy, i dwa na zmianę. Rzuciłem mu sakwę, potrząsnął nią i w środku zabrzęczało. Oorton popatrzył ponuro na mnie.

 – Wiem, nie zwracaj uwagi, śpieszyłem się. Na pierwszym postoju ułożę wszystko jak należy.

 – John, list – przypomniała Samantha.

 – Widzisz, że nie ma czasu.

 – To bardzo ważne.

 Zamyśliłem się.

 – Dobrze. Napiszesz list i wyślesz go przez gońca. Będziemy czekali na niego za lasem. Oortonie, pojedź naprzód i otwórz wrota zamku.

 Dobrze to wymyśliłem! Gdybyśmy we dwójkę krzątali się u wrót, matka mogłaby to zobaczyć i okrzyknąć kogoś, żeby mnie zatrzymał. A tak przebiegnę galopem i nawet, jeśli mnie zauważy, nie zdąży otworzyć okna, żeby krzyknąć. Oorton stępa podjechał do wrót, prowadząc na postronku zmiennego konia, obładowanego naszym dobytkiem i wydał rozkazy żołnierzom, którzy naparli na uchwyty wrót. Tymczasem Samantha objęła mnie i pocałowała. Zbaraniałem. A wczoraj było zupełnie inaczej…

 Po chwili opamiętałem się: czas biegnie, matka na pewno mnie już szuka, oczywiście zaczynając od pomieszczenia cioci Elli. Potem wyśle kogoś na główną wieżę, a później to już na pewno do stajni.

 – John, proszę cię, zdejmij ze mnie obrożę – poprosiła Samantha. Podałem jej kluczyk.

 – Możesz zdejmować ją tylko w moim pokoju i u cioci Elli. Jeśli ojciec zobaczy ciebie bez obroży, postawi ci na czole piętno złodziejki. Albo przypali ci stopy i wstawi do nosa żelazny pierścień, jak zbiegłej.

 To też dobrze wymyśliłem. Teraz Samantha nie będzie na mnie nastawała, żebym zdjął jej obrożę. Że niby to ja pozwoliłem ją zdjąć, ale i tak zdejmować nie można. Oczywiście ojciec nie będzie jej piętnował, co najwyżej każe ją wychłostać w stajni, ale ona o tym nie wie!

 Sprawdziłem ostatni raz popręgi – moja kobyłka czasami lubi nadymać brzuch – i wskoczyłem na siodło. Okręciłem dookoła dłoni cugle drugiego konia.

 – John, nie zapomnij, dałeś słowo nie czytać mojego listu. Oj, John, stój! Jakże ja wyślę gońca? Przecież nikt teraz nie będzie mnie słuchał. I nie wypuszczą mnie za wrota.

 Samantha miała rację.

 – Yorick! – zawołałem pomocnika Oortona. – Póki Oortona nie ma, odpowiadasz głową za lady Elanę. Samantha zaraz przyniesie ci list, zawieziesz go Oortonowi. Będzie czekał na ciebie za lasem. Pojedziesz na tym koniu – rzuciłem mu cugle drugiego konia – a potem zostawisz konia Oortonowi. Wszystko zrozumiałeś?

 – Czego nie rozumieć. Z powrotem iść piechotą.

 Roześmiałem się, klepnąłem go po ramieniu, mrugnąłem porozumiewawczo do Samanthy i puściłem kobyłę z miejsca w cwał. Płosząc kury, przemknąłem przez podwórze, ostro skręciłem we wrota i tyle mnie widzieli. Za wrotami przeszedłem na lekki kłus. Nie, ja naprawdę jestem dzisiaj zuchem! Nawet, jeśli Yoricka zapytają, gdzie jestem, on nie wie. Gdzie szukać Oortona, wie, ale Oorton swoją drogą, ja swoją drogą… Nie, dzisiaj wszystko przewiduję nie gorzej niż ciocia Elli. A może zaczynam być zarozumiały?

 Oortona dogoniłem w lesie. Za lasem zatrzymaliśmy się, przebrałem się w ubranie myśliwskie, powiesiłem u pasa pochwę z mieczem, z drugiej strony powiesiłem kindżał, a za cholewę wetknąłem nóż. Przebrałem rzeczy i ułożyłem je w sakwie jak należy. Yorick ciągle nie jechał. Oorton rzucił na trawę derkę i drzemał. Wypatrzyłem najwyższe drzewo, ale zaledwie wlazłem na nie, przyjechał Yorick. Oprócz listu przekazał Oortonowi jakieś zawiniątko. Postanowiłem nie pokazywać się Yorickowi, żeby ten nie miał niepotrzebnych pytań. Niedługo odszedł. Zlazłem z drzewa, rozwinąłem zawiniątko i… zastygłem z otwartymi ustami. Była w nim kolczuga. Ale jaka! Wszystkie ogniwa malutkie, błyszczące, nie większe niż pięć milimetrów. Widzieliście zwykłe żołnierskie kolczugi? Ich ogniwa są wielkości niedużych monet. Kindżał miłosierdzia przejdzie przez nią bez przeszkód. Ta była zupełnie inna, w stosunku do tamtych jak wyrób jubilera. I jeszcze do niej kolczugowe rękawiczki równie misternej roboty. Bardzo drogi podarunek. Nie wytrzymałem i włożyłem ją. Oorton chrząknął. On nie uznawał kolczugi. Mówił: jaka z niej korzyść, jeśli zamiast obciąć ci rękę, złamią ją? I tak następny cios zetnie ci głowę. Co innego zbroja płytkowa. Nie spierałem się, ale kolczugą byłem zachwycony. Leżała na mnie jak druga skóra. Wspaniałe uczucie. Postanowiłem jej nie zdejmować, tylko kaptur zarzuciłem na plecy i na wierzch ubrałem lekki płaszcz. Oorton ponownie chrząknął. Moja kobyłka obwąchała nowość, parsknęła i potrząsnęła głową. Nie podobało się. Nie, daleko jej do rycerskiego konia. Ma swoje zalety, ale koń rycerza powinien aprobować wszystko, co chroni jego gospodarza, nawet, jeśli nosi przez to trochę większy ciężar.

 Jeśli bardzo się śpieszyć, do zamku sir Dobura można dojechać w ciągu doby. Zupełnie mi się nie chciało śpieszyć, ale zapytałem Oortona.

 – Nie podoba ci się na tym świecie, czy co? – Zainteresował się. No i pojechaliśmy stępa. Wszystko tak obliczyliśmy, żeby dojechać tam w dwa dni, przenocować gdzieś w pobliżu, a rano trzeciego dnia podjechać pod zamek. Pogoda była cudowna, świeciło słońce, kopyta koni wesoło stukały po drodze. Mijaliśmy puste, wczesnojesienne pola – orki jeszcze nie zaczęto – a na mnie błyszczała wspaniała kolczuga. Szkoda, że nikt mnie nie widzi.

 Czyżby nikt nie miał zobaczyć mnie w kolczudze? No, niechby się trafił choć jeden chłop! Powymierali czy co?

 Swołocz! Nikczemna swołocz! Kiedy nie trzeba, ich pełno. Pętają się pod nogami ze swoimi wozami. A kiedy trzeba – ani jednego! Gdybyż choć jeden zachwycił się swoim lordem! Opowiedziałby później innym. Pytam, dla kogo właściwie cierpię tą mękę? Niechby tak spróbowali cały dzień pochodzić w kolczudze!

 Włożyłem dłoń pod kołnierz i pokręciłem szyją. Kolczugowy kaptur, którego nie włożyłem na głowę, odciągał kołnierz do tyłu i ogniwa kolczugi uciskały mi gardło, utrudniając oddychanie. Pod palcami wyczułem, że skóra na szyi nie jest gładka, odcisnął się na niej wzór, podobny do smoczej łuski. Ramiona też bolą. Trzeba było pod kolczugę ubrać grubą flanelową koszulę, ale kto mógł to przewidzieć?

 Uff! Nareszcie Oorton postanowił zatrzymać się na noc. Złażę z konia i na rozkraczonych nogach kuśtykam w krzaki. Nawet, kiedy jeździłem z poborcami daniny, nie siedziałem w siodle tak długo. A jeszcze do tego ta kolczuga… Jutro jadę bez niej! Jeśli w ogóle pojadę. Jeśli Oorton zdoła mnie wyprostować i wsadzić na konia.

 Budzę się późno. Oorton gotuje śniadanie. Podnoszę się, przeciągam. Zielona trawka, słoneczko świeci, ptaszki śpiewają. Mięśnie nie bolą. Znakomicie! I nagle przypominam sobie, dokąd i po co jedziemy. Jem śniadanie w ponurym milczeniu, podczas gdy Oorton jest zadowolony z życia i zachwyca się otaczającą przyrodą. A ja zastanawiam się, co zrobię, jeśli zaczną do mnie strzelać z murów. Dobry bełt przebije nawet zbroję. A są jeszcze takie łuki wysokości człowieka, ze strzałami o długości półtora metra. Łucznik kładzie się na ziemi, zapiera się w łuk nogami i odciąga cięciwę obiema rękami. Jeśli taka strzała trafi konia w pierś, cała w nim grzęźnie, sterczy tylko brzechwa. Nie, z takiego łuku nie będą do mnie strzelali. Z murów to bardzo niewygodnie.

 W takich wesołych rozmyślaniach trwam aż do obiadu.

 – Oortonie, o czym teraz myślisz? – zapytałem, kiedy wyruszyliśmy po jego zjedzeniu.

 – O lady Elanie.

 – Myślisz, że Yorick sobie nie poradzi?

 – Poradzi, oczywiście. Co ma sobie nie poradzić? – burknął Oorton i zamilkł na długo.

 Przejechaliśmy w milczeniu ze dwa kilometry, gdy nagle podjął

 – Rozumiesz, John, w ciemnicy powinni siedzieć więźniowie. Dopóki smoczyca była więźniarką, wiedziałem, co robić. I mój ojciec wiedział, i dziadek. Ale ty wszystko wywróciłeś do góry nogami. Teraz wszyscy ją szanują, ale ona ciągle jest w ciemnicy. To jest nieprawidłowe i nie może trwać długo.

 – Proponujesz rozbić ścianę i ją wypuścić? – zapytałem z nadzieją.

 – Twój ojciec złożył przysięgę. I jest podanie…

 – Znam to podanie. Wymyślił je z zemsty Thomas Kong.

 – Może i tak. Ale od tego czasu minęło dwieście lat i ono ciągle żyje.

 – Myślisz, że w ciągu dwustu lat kłamstwo może zamienić się w prawdę?

 – Kto wie, kto wie… John, a dlaczego ty myślisz, że podanie jest kłamstwem?

 – Ale… – zacząłem i urwałem. Co miałem mu odpowiedzieć?

 Człowiek wysunął hipotezę. Jak ją sprawdzić? Przeprowadzić doświadczenie, jak mówi ciocia Elli. Czyli wypuścić ją na wolność. Jeśli mój ród zmarnieje, a władzę w zamku przejmie uzurpator, będzie to znaczyło, że hipoteza Thomasa Konga była słuszna. Ale ile lat czy pokoleń trzeba będzie czekać na wynik eksperymentu? A jak przeprowadzić doświadczenie kontrolne? Ciocia Elli mówi, że należałoby przeprowadzić co najmniej trzy doświadczenia i dopiero wtedy można być pewnym wiarygodności rezultatu. A czym zakończyłaby się wojna z Kasprem, gdyby nie ciocia Elli?

 Nie od razu zauważyłem, że Oorton obserwuje mnie z zainteresowaniem. A kiedy zauważyłem, potrząsnąłem głową i roześmiałem się.

 – Przecież to wszystko jest kompletną bzdurą. Jeśli sir Dobur zastrzeli mnie z kuszy, mój ród zmarnieje bez względu na smoczycę.

 – Właśnie, jeśli... – mruknął Oorton wieloznacznie.

 Zrozumiałem, że on święcie wierzy, iż dopóki ciocia Elli jest w podziemiach, nic mi się nie stanie. Jakkolwiek by się do niej nie odnosił, nie zechce wypuścić jej na wolność. Za nic. Nie wie, że ciocia Elli jest już wolna w trzech czwartych czy nawet w czterech piątych. Zostają do oswobodzenia tylko szyja, łapy i brzuch. Sama już podkopuje się końcem ogona, a mnie wzywa tylko, żebym wyniósł zebrane kamienie, albo jeśli trafi się mocno osadzony kamień. I błonki skrzydeł rosną jej normalnie. A jeśli tak, to ja naruszyłem przysięgę Kongów. Czyli sir Dobur naprawdę może mnie po prostu zastrzelić. Nie, bzdura. Ojciec składał przysięgę, ale ja jeszcze nie. I ciocia Elli bądź co bądź ciągle jeszcze jest w podziemiach.

 Od tych myśli jednak spokojniej mi się nie zrobiło. W nocy spałem źle, budząc się przy każdym szmerze. Rano wstałem z ciężką głową, zapomniawszy wszystkie wskazówki cioci Elli. Pogrzebałem łyżką w kociołku, zmusiłem się do zjedzenia czegoś. Po długich wahaniach włożyłem kolczugę. Oorton okulbaczył konie.

 Most zwodzony był spuszczony, wrota zamku otwarte. Ale zamknięto je, zaledwie nas dostrzeżono.

 – Powinieneś był ubrać coś na kolczugę – mruknął Oorton.

 –Przedstawcie się! – zawołał z murów strażnik, kiedy konie weszły na most. Oorton spojrzał pytająco na mnie. Skinąłem głową.

 – Symeonie, ty stary psie, cóż to,nie poznajesz młodego lorda? – krzyknął Oorton. – Otwieraj wrota!

 – Tak przecież my, zdaje się, wojujemy z wami.

 – Jeśli mi nie otworzysz, zaraz zacznę wojować z twoją dupą.

 – Poczekaj, zapytam sira.

 Początek mi się podobał. Na razie nikt nie zamierzał do mnie strzelać. Nie wiem, dlaczego, ale pomyślałem, że jeśli nas nie wpuszczą, będziemy mogli odjechać z godnością.

 – Po co pan przyjechał? – rozległ się z murów głos sir Dobura. Spojrzałem w górę. Kiedy on zdążył włożyć zbroję? Obnażyłem miecz i podałem go Oortonowi. Ściągnąłem przez głowę kolczugę i też mu ją oddałem, po czym wjechałem na środek mostu.

 – Musimy porozmawiać.

 – Słucham.

 – Tak nie będziemy rozmawiali. Proszę otworzyć wrota.

 – Młody lord ma list od pańskiej córki – krzyknął Oorton.

 Jedno skrzydło wrót się uchyliło. Podjechałem i zatrzymałem się.

 – O co chodzi? – zapytał sir Dobur z murów. – Rozmyślił się pan?

 – Czekam, aż się otworzą wrota.

 Wrota otworzyły się zupełnie i wjechałem. Oorton krzyknął, że zaczeka na mnie pod lasem, tak, jak się umówiliśmy wcześniej. Za bramą dziesięciu łuczników stało półkolem w pełnej gotowości. Nie celowali we mnie, ale strzały mieli na cięciwach. Zsiadłem z konia, odwróciłem się tyłem do nich i patrzyłem, jak sir Dobur schodzi z murów. Nie miał na sobie zbroi. Udawał, włożył tylko na głowę hełm i narzucił kirys, nawet ich nie zapinając, żeby z dołu wydawało się, że on jest w zbroi. A teraz i to zdjął.

 – Sir John Kong, czy naprawdę ma pan list od mojej córki?

 Podałem mu solidnie wymiętoszony list. Nie byłem jeszcze władcą zamku, ale nie obraziłbym się, gdyby nazwał mnie lordem. Przeszliśmy do gabinetu. Sir Dobur kazał służącej nalać mi wina. Upiłem łyk, aby nie pomyślał, że boję się, iż mnie otruje i odstawiłem kubek. Sir Dobur wypił swój do dna i pochylił się nad listem. Czytał go strasznie powoli, cały czas poruszając wargami. Przeczytał list trzy razy i dopiero wtedy zwrócił się do mnie.

 – Sir John, czy pan wie, co jest w tym liście?

 – Dałem słowo przekazać go nie czytając.

 – Rozumiem. Więc o czym chce pan ze mną porozmawiać?

 Ba, żebym ja to wiedział! Smoczyca wie. Ja w ogóle nie chcę rozmawiać. Chcę uciec jak najdalej.

 – Mój ojciec mówił panu, że napiętnuje pańską córkę jak złodziejkę?

 – Mówił – Sir Dobur powiedział to spokojnie, nawet z uśmieszkiem.

 – Ale pan i tak nie otworzył mu bramy. Wyrzekł się pan swojej córki.

 – Mój chłopcze… – Uderzyłem pięścią w stół. Sir Dobur drgnął i podniósł na mnie oczy. – Proszę mi wybaczyć, sir John… Bywają okoliczności… Mam cztery tysiące chłopskich rodzin, i wszystkie chcą jeść. Tego, co pozostało, nie wystarczy do następnych zbiorów. Ludzie będą głodować. Skarbiec pusty. Odroczenie, którego udzielił mi pański ojciec, minęło pół roku temu. Żeby nie było rozboju i grabieży, zabrałem ludziom wszystkie zapasy i sam będę je rozdzielał. Gdybym oddał te resztki poborcom daniny, zamorzyłbym głodem cztery tysiące chłopskich rodzin. Na to nie mogę pójść.

 – Nie otworzył pan wrót mojemu ojcu.

 – Był pijany, wściekły. Nie mogłem ryzykować.

 – Pojedzie pan ze mną i poprosi ojca o przebaczenie.

 – A pan, sir John, zagwarantuje mi, że wrócę do domu?

 – Nie.

 – Więc po co mam jechać?

 – Żebym mógł zdjąć z pańskiej córki obrożę niewolnicy. Włożyłem go jej, żeby ojciec jej nie napiętnował. Obrożę można zdjąć, piętno nie. Piętno – to już na całe życie.

 – Może i ja przed wyjazdem mam włożyć obrożę? – zapytał sir Dobur głosem pełnym gorzkiego sarkazmu.

 – W takim przypadku będę mógł zagwarantować panu bezpieczny powrót. – odrzekłem z całą powagą. Sir Dobur chrząknął. Kontynuowałem, nie żywiąc większych nadziei:–Ojciec jest mądrym człowiekiem. Wszystko zrozumie. Poza tym każdy sam powinien odpowiedzieć za swoje czyny. A pańska córka została ukarana za pana.

 – Sir John, proszę powiedzieć szczerze, czy ojciec pana tu przysłał?

 – Nie. On nie wie, gdzie jestem.

 – Tak myślałem. Proszę mi opowiedzieć, co się stało w waszym zamku.

 Spojrzałem na sir Dobura. Nie wyglądał teraz jak rycerz, a po prostu jak zmęczony człowiek. No i opowiedziałem. Wszystko. Dokładnie jak było.

 – Dziękuję panu, sir John – powiedział sir Dobur. – Pojadę z panem. I niech się dzieje, co chce. Proszę to przeczytać. – Położył przede mną list.

 – Dałem słowo, że nie będę tego czytał. – Natychmiast odwróciłem arkusz papieru do góry nogami. Sir Dobur wziął list i, zacinając się przy każdym słowie, przeczytał głośno:

 Witaj, tatko! Ten młokos, który przekazał Ci list, to największy osioł świata. Ale mieczem włada jak bóg! Sprawdziłam to, nie zostawił na mnie suchej nitki i nawet się nie zmęczył. W innych sprawach jest kompletnie naiwny. No i wyobraź sobie, że zakochałam się w nim po uszy. Możesz w to uwierzyć? Bo ja nie. Ale tak jest.

 Tato, jestem na ciebie bardzo zła. Przez Twe sztuczki omal mnie nie napiętnowali jako złodziejkę. W ostatniej chwili namówiłam tego osiołka, żeby zamiast tego włożył na mnie obrożę niewolnicy. Żebyś widział, co tam u nich z ojcem było! Tłukli naczynia! Daję słowo! Ale uchroniłam od podpalenia swoją drogocenną skórkę. Tak, że nie gniewaj się na niego i bądź dla niego dobry. Odważnie mnie bronił. Podarowałam mu za to swoje dziewictwo (nie klnij, to Twoja wina!), a na przyszłe lato zamierzam podarować rękę i serce. Życz mi powodzenia

 Całuję.

 Przyszła pierwsza lady zamku Kongów.

 P. S. Papo, nie obrażaj mojego osiołka. Bardzo Cię proszę. Ja go kocham.

 Jakby mi w twarz chluśnięto wrzątkiem.

 – Po co pan mi to przeczytał?

 – Wydaje mi się, że dobrze odnosisz się do mojej córki. Musisz wiedzieć, z kim masz do czynienia. W przeciwnym wypadku później się rozczarujesz i to będzie o wiele bardziej bolesne dla was obojga.

 – Znam Samanthę.

 – No i dobrze. Powiem szczerze: ten list bardzo ci pomógł. Ale teraz pewnie męczy ciępytanie, komu bardziej wierzę: tobie czy listowi. Odpowiadam: tobie. Ja też dobrze znam Samanthę.

 Niebo za oknem pociemniało. Zaczął kropić deszcz. Wysłałem człowieka po Oortona. Poinstruowałem go, co ma powiedzieć. Kazałem mu powtórzyć.

 – Ja mówię mu „ku-ku”, on odpowiada „Kukuryku”, potem ja mówię „Miau-miau”, a dalej już po ludzku. O Boże, pierwszy raz w życiu mówię takie bzdury.

 – To się nazywa hasło i odzew – wyjaśnił mu sir Dobur.

 Do kolacji gadaliśmy o głupstwach, a po niej zaraz poszedłem do pokoju, który przydzielił mi sir Dobur, zaś on sam i Oorton zostali i degustowali beczułkę wina. Położyłem się wcześnie, ale w żaden sposób nie mogłem zasnąć. Odtwarzałem sobie w pamięci wydarzenia dnia. Ależ wczoraj nawymyślałem strachów! Teraz w żaden sposób nie mogłem się uspokoić. Miałem dreszcze. W dzień wszystko było normalne, jeśli nie liczyć tej chwili, kiedy stałem plecami do łuczników, a teraz mnie trzęsło. Ciocia Elli powiedziałaby, że mam spóźnioną reakcje. Oortona wszyscy tu znali i on znał wszystkich. Aż dziwne, zważywszy, że bardzo rzadko opuszczał nasz zamek. Mnie tu prawie nikt nie widział, ale wszyscy o mnie słyszeli. Aż za dużo. Musiałem zademonstrować, jak należy rzucać kindżały. Cztery kindżały wbiłem z ośmiu kroków w słup, a potem z pełnego obrotu wypuściłem piąty z dwudziestu kroków w drzwi szopy. Na szczęście trafiłem. To była dziecinada, ale mój autorytet wśród żołnierzy podniósł się nieprawdopodobnie wysoko. Brodate chłopy zaczęli rzucać w ścianę szopy wszystko, co wpadło im pod rękę. Noże, kindżały, miecze, a nawet topór. Hałasowali, krzyczeli, klęli i cieszyli się jak dzieci.

 Kiedy wreszcie jako tako uspokoiłem się i zacząłem zasypiać, do drzwi zapukał sir Dobur. Był porządnie podpity. Usiadł na łóżku i zaczął opowiadać o Samancie. Jak z nią żył po śmierci jej matki. Zrozumiałem, że musiał się przed kimś wygadać.

 – Może będę jutro żałował tego, że dzisiaj ci to mówię. Ale jesteś dobrym chłopcem, John. Zrozumiałem to jeszcze wtedy, kiedy zobaczyłem cię po raz pierwszy. Już wtedy broniłeś mojej dziewczynki. Ale ty tego chyba nie pamiętasz.

 – Pamiętam.

 – Rozumiesz, John, ona ma charakter po mnie, a rozum po matce. I sam widzisz, co z tego wyszło! A w rodzinie jak w oddziale: musi być jeden przywódca. Ciało musi mieć jedną głowę. Jedną! Jeśli będą dwie, lewa ręka zacznie walczyć z prawą. Jesteś silny i dzielny, ale dobry. A ją trzeba krótko trzymać. Dlatego – wiesz, co? Nie zdejmuj z niej obroży, dopóki nie zmądrzeje! Ale ja ci tego nie mówiłem! – Pogroził mi palcem. –Zrozumiałeś mnie? I jeszcze jedno. Ten zamek będzie dla twojego drugiego syna. Jestem już stary i nie mam syna. Twój pierwszy syn dostanie twój zamek i tytuł lorda, a drugi mój zamek. Tak będzie dobrze. Nie wyobrażasz sobie, ile krwi się polało o to,że prawie cały spadek dostaje najstarszy syn.

 Długo jeszcze mówił, a ja rozmyślałem, w jakiej głupiej sytuacji się znalazłem. Jeśli posłucham sir Dobura i nie zdejmę obroży, obrazi się na mnie i Samantha, i ciocia Elli. Jeśli zdejmę, będziemy się z Samanthą wiecznie kłócili z byle powodu. Tak źle i tak niedobrze… Więc co mam robić: zdejmować czy nie zdejmować?

 W końcu wymyśliłem: zaprowadzę sir Dobura do cioci Elli. Niech się pokłócą. A ja i tak postąpię, jak będę chciał.

**ROZDZIAŁ 21: Jak ojciec wybaczył sir Doburowi.**

 Rano jeszcze raz wszystko omówiliśmy i doszliśmy do wniosku, że jest jeszcze za wcześnie, żeby sir Dobur pokazywał się ojcu na oczy. Najpierw ja muszę, jak ciocia Elli to nazywa, kiedy jest w figlarnym nastroju, „odbyć konsultację wychowawczą” z rodzicami.

 Najpierw powiedziałem ojcu, że sir Dobur zapisał mi w testamencie swój zamek i postanowiłem dać go swojemu drugiemu synowi. Ojciec ryknął i długo patrzył gniewnie na mamę, po czym rozkazał:

 – Opowiadaj o wszystkim.

 No i opowiedziałem. Jak biednie żyją chłopi u sir Dobura, jak on walczy z losem, jak troszczy się o swoich podanych. W zasadzie wszystko, jak jest. Ojciec wysłuchał tego z zasępioną twarzą, a potem nagle wstał i wyszedł z pokoju. Zgadnijcie, dokąd poszedł? Do lady Elany! Samantha później mi to powiedziała. Akurat była u cioci Elli, kiedy ojciec wszedł. Spojrzał na nią ze złością i wskazał jej oczami drzwi. Oorton miał rację. Dla sir Dobura jeszcze za wcześnie pokazywać się na zamku.

 Ciocia Elli odmówiła przekazania mi, o czym oni rozmawiali. Ale to szybko zrobiło się dla mnie nieważne, ponieważ zrobiła coś takiego!

 Szarpnęła się całym ciałem w tył i oderwała szyję od kamienia. Krew poszła tak obficie, aż oboje się przeraziliśmy. I akurat wtedy wszedł Oorton.

 – Co się pani stało, lady Elano!? – wykrzyknął.

 – Oderwałam szyję od kamienia – odpowiedziała szczerze smoczyca.

 – Wezwę lekarza.

 – On nie pomoże…

 Ale Oorton już wybiegł z pomieszczenia. Przybiegli ojciec, matka, lekarz i Pearley.

 – Po co zatrwożyłeś tylu ludzi? –przyganiała mu smoczyca.

 Bardzo ją bolało, zęby szczękały, a źrenice rozszerzyły się na całą tęczówkę. Krew spływała po podłodze do ścieku, ciemniała, gęstniała. Lekarz krzątał się dookoła, ale nic nie mógł zrobić. Żeby coś zrobić, trzeba byłoby rozebrać ścianę. Ciocia Elli położyła głowę na kamiennym stole. Mama usiadła obok i czule głaskała ją po szyi. A szyja z tej strony zrobiła się o pół metra krótsza. Obliczyłem w przybliżeniu, ile wyciekło krwi. Nie tak znowu wiele. Bywało więcej. Ale potem pomyślałem, że po tamtej stronie ściany jest jej chyba ze dwa razy więcej.

 Po dwu godzinach ciocia Elli otworzyła oczy i słabo się uśmiechnęła.

 – Chyba już po strachu – powiedziała. Lekarz wybiegł.

 – Co pani ze sobą zrobiła, lady? – zapytał ojciec.

 – Oderwałam szyję od kamienia. Teraz na dolnej części szyi znowu wyrośnie łuska i będę mogła swobodniej poruszać głową.

 – Ale jak pani to zrobiła? Przecież pani jest zamurowana – zdziwił się Oorton.

 – Ach, drogi Oortonie – odpowiedziała ciocia Elli. – Pamiętam twoją matkę jako wysoką i piękną pannę. Nawet nie stawała na palcach, gdy przecierała moje łuski. A teraz? A przecież jestem dużo starsza…

 Sp4róbowałem wyobrazić sobie matkę Oortona wysoką i piękną i parsknąłem śmiechem. No tak, ciocia Elli zawsze wie, jak przekierować rozmowę.

 Niedługo powrócił lekarz. Dwóch służących wniosło za nim beczułkę czerwonego wina. Lekarz powiedział, że to lekarstwo, które pomaga odtwarzać krew i że zostaje tu na noc. Spojrzałem na ciocię Elli, a ta zrobiła taką minę, jakby wzruszyła ramionami. Przecież, jeśli lekarz tu pozostanie, nie będę mógł zobaczyć, co się dzieje z drugiej strony ściany. Lekarz zobaczy światło w szczelinie albo usłyszy, jak ja tam chodzę. Oorton przyniósł mu siennik, koc, dzbaneczek wina i resztę rzeczy, potrzebnych mu do spania.

 A w dwa dni później ciocia Elli powiedziała mi, żebym szybciej uwalniał jej łapy. Nastąpiło przejście ilości w jakość, proces regeneracji ruszył z pełną mocą i, jeśli teraz nie uwolnię jej łap, będzie ją bardzo, bardzo bolało – jak w pierwszych latach. Zapytałem, co to za przejście, i wziąłem się do pracy. Ciocia Elli powiedziała, że przejście ilości w jakość to dialektyka. Bardzo zrozumiale!... A istota polega na tym, że na całym ciele smoczycy zaczęły rosnąć łuski i trzeba im dać miejsce, żeby miały gdzie rosnąć.

 W ciągu czterech dni uwolniłem jej łapy ze wszystkich stron, tylko nie od dołu. Od dołu uwolnię, gdy z boków narośnie skóra. Krwi znów było bardzo dużo. Ale ciocia Elli piła czerwone wino beczkami, a surowych owoców i warzyw pochłaniała tyle, że aż dostała biegunki.

 Wszyscy byli tak pochłonięci jej zdrowiem, że kiedy przyjechał sir Dobur, ojciec kazał odprowadzić go do pokoju, podać mu posiłek i poinformować, że nie ma teraz dla niego czasu.

 Samantha wybiegła do ojca, chciała rzucić się w jego objęcia, ale miała obrożę na szyi, a sir Dobur był wolnym człowiekiem. Uklękła więc przed nim i ucałowała jego rękę. Podszedłem do niej, powiedziałem „Do zachodu słońca” i zdjąłem jej obrożę. Rzuciła się ojcu na szyję.

 Dobrze zrobiłem, że uwolniłem ją tylko do wieczora. Bo nawet przez tak krótki czas zdążyła pokłócić się ze wszystkimi kucharkami i doprowadzić je do łez. Wieczorem do mnie przyszła smutna i zawstydzona. Powtarzała przez łzy, że po prostu nie mogła nic na to poradzić. Taki już ma charakter.

 Następnego dnia ojciec wezwał gościa do swojego gabinetu i rozkazał, żeby chłopi z wiosek sir Dobura przybyli do niego i zajęli się sadzeniem lasów, które wycięli ludzie Kaspra. Powiedział, ile będzie płacił każdemu człowiekowi za dzień pracy. Wynagrodzenie było naprawdę szczodre. Doświadczony czeladnik tyle nie dostaje. A potem w ostrych słowach zakończył audiencję.

 Odszedłem od okna piętro wyżej, usiadłem na krześle i zamyśliłem się. Na polach nie ma teraz co robić. Lasy nam są na pewno potrzebne, ale mamy przecież swoich chłopów, którym płacić nie trzeba. Więc dlaczego? Ciocia Elli mówiła: „Poszukaj, dla kogo to może być korzystne”. Dla kogo? Tylko dla chłopów sir Dobura. Zarobiwszy tyle pieniędzy, przeżyją całkiem dostatnio do następnych zbiorów. Wychodzi na to, że ojciec postanowił podkarmić ludzi sir Dobura. Przebaczył… A ostre słowa się nie liczą. To dla pozoru. Albo chce, żeby mój drugi syn dostał zamożną posiadłość i zamek z bogatą kiesą. A co to właściwie za różnica?

 Ale co ja mam zrobić z Samanthą? Zdejmować obrożę czy nie? A wy co bycie zrobili?

**ROZDZIAŁ 22: Jak ciocia Elli wyszła na wolność.**

 Ciocia Elli całymi dniami drepcze w miejscu. Mówi, że musi wyrabiać masę mięśniową. Wygląda to bardzo śmiesznie, gdyż ona jak dawniej leży na brzuchu, tylko podnosi i opuszcza łapy, jak maszerujący w miejscu żołnierz. Próbuje też rozpostrzeć skrzydła. Ale to już zupełnie jej nie wychodzi. Nie ma miejsca. A przejście ilości w jakość idzie pełną parą. Kiedy smoczyca próbuje obrócić się na bok, nie ma już żadnej krwi, gdyż na brzuchu sama z siebie narasta skóra. Jutro albo pojutrze zupełnie oderwie się od kamienia. Ale plan ucieczki będziemy musieli zmienić. Nawet, jeśli ciocia Elli zdoła przetaszczyć swoje ciało trzy kilometry przez wąski tunel strumienia, i tak nie zdoła odlecieć. To wiem dokładnie. Skrzydła ma za słabe. Trzeba będzie je przez kilka tygodni trenować, i to nie w podziemiu, a na powietrzu. Ale ją te sprawy zupełnie nie frasują. Mówi, że najważniejsze to oderwać się od kamienia i uzyskać swobodę przemieszczania się. A resztą nie muszę się przejmować.

 To stało się w zimie, zaraz po moich piętnastych urodzinach. Ojciec i matka już pogodzili się z myślą, że Samantha będzie moją lady, ale umówiliśmy się w tajemnicy, że nie będę z niej zdejmował obroży do czasu, aż zajdzie ze mną w ciążę. Matka liczyła na to, że im dłużej pochodzi w obroży, tym bardziej złagodnieje jej charakter. Zresztą przyjaźń z Pearley też wywarła na nią bardzo dobry wpływ. Wtedy to już było widoczne,

 Ojciec akurat rozmawiał o czymś z ciocią Elli, kiedy to się stało. Pokój nad przodem smoczycy postanowiono zapchać starymi, niepotrzebnymi meblami, aż podłoga nie wytrzymała i runęła na ciocię Elli. Myślałem, że ma jeszcze około metra grubości, ale gdzieś pomyliłem się w obliczeniach i zostało niecałe pół. W każdym razie przywaliło smoczycę porządnie, tak, że nie mogła oddychać.

 – Jo-o-ohn!!! – wykrzyknęła i straciła przytomność.

 Zanim wyciągnięto z pokoju meble, zanim rozbito wielkie kawałki podłogi-sufitu na mniejsze, które ludzie mogli odtaszczyć na bok, ciocia Elli przyszła już do siebie. Zaprowadziłem ludzi do podziemi, do mojego przejścia, i, pracując od góry i od dołu, w ciągu godziny uwolniliśmy smoczycę od odłamków. Ciocia Elli, ostrożnie, cały czas jęcząc, cofnęła się i wysunęła głowę przez nowy otwór.

 – Moje skrzydło! – płakała. – Moje skrzydło! John, zrób coś! Trzeba je zaszyć! A moje palce nie pracują.

 Skrzydło naprawdę wyglądało bardzo kiepsko. Odłamek kamienia zerwał aż dwa metry błonki. Wezwałem Pearley. Smoczyca wytłumaczyła jej, jak zszywa się błonkę, ale w pomieszczeniu było zbyt ciemno. Krzycząc z bólu, ciocia Elli wylazła przez dziurę w suficie i przeczołgała się korytarzem do jadalni. Odsunęliśmy szybko stoły i położyła się pod oknami. Pearley zaczęła zaszywać jej skrzydło. Pracowała do samego zmierzchu, było to dla smoczycy strasznie bolesne, a podłoga była cała zalana krwią.

 – Wiele lat bałam się, że sufit się zawali – jęczała smoczyca – i właśnie dziś to się stało. Boże, ależ to boli! Szyj, dziewczynko, szyj. Nie zwracaj uwagi na moje jęczenie.

 Ojciec snuł się z kąta w kąt po jadalni i tarł podbródek. Nie wiedział, co robić. I co zamierza dalej robić lady Elana. I czy z jego strony nie było naruszenia przysięgi? Niby nie było…

 – Mój lordzie, może ja na razie zamieszkam w tej sali?

 – Oczywiście, lady. Proszę bardzo – odpowiedział ojciec i od razu się uspokoił. A ja zdumiałem się, jak zgrabnie ciocia Elli to zrobiła. Tylko jedno zdanie – i jakby wszystko było po staremu, nie ma powodów do obaw.

 Ojciec, oczywiście, bardzo uważnie obejrzał tą pieczarę, którą wydłubałem, uwalniając smoczycę. Teraz, kiedy jej nie było, pusta przestrzeń wydawała się olbrzymia.

 Mnie ojciec o nic nie pytał. I całe szczęście, bo gdyby uczciwie i wprost zapytał, musiałbym mu równie uczciwie i wprost odpowiedzieć. No i co wtedy z przysięgą? A że wiedziałem o norze, wiodącej do ogona smoczycy, nie ulegało wątpliwości, gdyż sam zaprowadziłem tam ludzi. Inna sprawa, czy dziecko mogłoby wydrążyć w skale tak olbrzymią przestrzeń, i to w dodatku tak, żeby nikt się tego nie domyślił? Ojciec przecież nie wiedział, że od soków smoczego ciała zaprawa wiążąca kamienie zwilgotniała i zrobiła się nie twardsza niż udeptana glina. Może kanał dookoła ciała cioci Elli istniał zawsze?

 Męcząc się takimi pytaniami, ojciec snuł się po zamku trzy dni. Przez te trzy dni ciocia Elli trochę przyszła do siebie. Pierwszego dnia, kiedy Pearley zaszywała jej skrzydło, bardzo ją bolało. Cały drugi dzień przepłakała, oglądając siebie. Zapewniała mnie, że została z niej tylko szyja i ogon, a to, co między nimi określała jako „bukłak z nieczystościami”. Nie chce na to patrzeć. Ani śladu muskulatury, tylko tkanka tłuszczowa, a w dodatku z kości wymywa się potas. Błonka na skrzydłach, nawet na tym zdrowym, jak się okazało, narosła nieprawidłowo, powinno być jej trzy razy więcej. Tak nawet się nie da rozłożyć skrzydeł. Ale najbardziej martwiły smoczycę łapy. Nie było na nich ani palców, ani pazurów.

 Czwartego dnia ciocia Elli powiedziała, że żebra już ją mniej bolą, pogodziła się ze swoją potwornością, położyła głowę na parapecie i cały dzień patrzyła w okno. Gdybyż tylko patrzyła!... Co chwila: „Oj, John, zobacz, kureczka! Konik! Pieseczek!”! I tak przez cały dzień. Jakbym kureczek nie widział. A w drzwiach przez cały dzień tłoczyli się chłopi, ciekawi smoczycy. Całe ciepło wypuścili, salę wystudzili, narobili takich przeciągów, aż dostałem kataru. Jednych wygonisz, po pięciu minutach następni pchają głowy w drzwi. Jeśli już nie mogą wytrzymać, to niechby przynajmniej wchodzili i zamykali za sobą drzwi, zamiast uchylać je i wypuszczać ciepło. Ale boją się wejść.

 Piątego dnia ciocia Elli z niewiarygodnym uporem zaczęła pełzać po sali. Krąg za kręgiem. Dyszała, płakała, jęczała, ale cały czas wyrzucała w przód łapy i, wijąc się, podciągała ciało.

 – To nic, John, zobaczymy jeszcze niebo w diamentach! – jęczała. – Poczujemy jeszcze przytłaczające uczucie nieważkości!

 Po obiedzie ojciec zebrał najbardziej poważanych ludzi zamku, żeby zadecydować o losach cioci Elli. Jak ona ma dalej żyć?

 – Tato, jeśli ty znowu zamurujesz lady Elanę, odejdę na zawsze z zamku – powiedziałem twardo. – Słowo lorda!

 – Poczekaj, synu, nie gorączkuj się. Wysłuchamy najpierw samej lady Elany.

 – Ach, mój lordzie, musi pan przyznać, że uczciwie odsiedziałam w ciemnicy swoje zesłanie do końca. Nie czyniłam prób wydostania się stąd albo wezwania swoich przyjaciół na pomoc, chociaż pokusa była olbrzymia. Więc czy teraz, kiedy sama opatrzność mnie uwolniła, zechce pan znowu pozbawić mnie wolności? Oczekiwałam tego dnia całe dwieście lat.

 – Lady, co pani powiedziała o swoich przyjaciołach?

 – A John wam nie mówił? Mogłam wezwać ich od dnia, kiedy ożyły moje okulary.

 – Czyli mogła ich pani wezwać także wtedy, gdy Kasper oblegał zamek?

 – Mogłam, mój lordzie. Ale to byłoby najgorsze, co mogłabym zrobić. Obawiam się, że wtedy z zamku nie pozostałby kamień na kamieniu. A teraz spójrzcie w okno.

 Otworzyliśmy okna i wychyliliśmy się po pas. Smoczyca zapytała, czy nie szkoda nam pnia konowiązu, po czym z jej oczu wyskoczył oślepiający, cienki jak szydełko, promień i przepołowił pień. Stefan wyszedł na ulicę i przyniósł ścięty kawałek. Cięcie było równiutkie i nieco zwęglone.

 – Nie będę próbował zatrzymać pani siła, lady, ale podanie… – zaczął mój ociec.

 – Podanie odeszło w przeszłość. Wydarzenie, którego dotyczy, jest już za nami – przerwała smoczyca. – I najlepszym tego dowodem jest to, że ściany zamku same mnie same mnie wypuściły. A co się tyczy przysięgi, to pańskie sumienie jest czyste i honor nieposzlakowany. Wszystko stało się samo z siebie.

 – Pani nas opuści, lady?

 – Nie od razu, mój lordzie. Jestem kompletną ruiną i po prostu wstyd mi w tym stanie pokazywać się na oczy smokom. Jeśli Pan pozwoli, pomieszkam w zamku jeszcze kilka miesięcy.

 No i wszystko się dobrze skończyło. Wszyscy za bardzo kochali i szanowali lady Elanę, żeby ją z powrotem zamurować.

 A ciocia Elli wciąż pełzała. Ponieważ zaś łuski na jej brzuchu jeszcze nie odrosły, przetarła sobie skórę do krwi. Bardzo się tym zdziwiła i zaczęła rozprawiać o jakimś systemie sygnałów. Że zakończenia nerwów jeszcze się nie odtworzyły i nie przewodzą sygnałów bólu. Samantha długo jej słuchała, a potem powiedziała:

 – Jeśli prosiaka powiesić za ogon na głównej baszcie, to będzie system sygnalizacyjny.

 Jeszcze zupełnie głupiutka. Ale to nic. My z ciocią Elli i z akademikami ją podkształcimy. A to, że procesy regeneracji w organizmie smoczycy zwolniły, według jej słów, pięciokrotnie – to poważna sprawa. Ciocia Elli mówi, że nie tylko regeneracja, ale i wszystko pozostałe. Ma to związek ze zmianą metabolizmu i obniżeniem temperatury ciała. A przyczyną tego wszystkiego jest długie niedojadanie. Przeszła na metabolizm zimnokrwistych, a teraz musi powrócić do normalnego. Ale jeśli odwrotna adaptacja ma potrwać dwieście lat, to już lepiej byłoby, gdyby została tam, w piwnicy.

 A kiedy Samantha i inni wyszli, ciocia Elli opowiedziała mi, że w jej okularach po tym wystrzale prawie nie pozostało energii. Cała poszła w promień, który ściął słup. I podsystem łączności też nie działa, jeszcze od czasu, gdy smoczyca koziołkowała w kutrze. Właśnie, dlatego nie mogła wezwać sputnika i przyjaciele nie przyszli jej na pomoc. Okłamała ojca, kiedy powiedziała, że może wezwać przyjaciół. Ale kłamać jest bardzo brzydko, i nie powinienem brać przykładu ze starej grzesznicy. Zapytałem, jak w takim razie połączy się ze swoim sputnikiem, a ona odpowiedziała, że akurat to nie jest problemem. Można na ziemi ułożyć z białych kamieni „czarodziejskie” słowo z trzech liter. I, kiedy tylko sputnik je zobaczy, prawie natychmiast pojawią się jej przyjaciele. A jeśli uda się jej odnaleźć swój kuter, to już w ogóle po problemach.

 – Ciociu Elli, Yorick kiedyś napisał na ścianie czarodziejskie słowo z trzech liter i od razu zjawił się Stefan. Ale Yorick, co charakterystyczne, wcale się nie ucieszył.

 Żart był taki sobie, ale uśmialiśmy się z niego do rozpuku – po prostu dlatego, że wszystko się dobrze skończyło. Śmialiśmy się tam długo i wesoło, że śpiąca w pokoju przylegającym do sali jadalnej Flora obudziła się i wyjrzała do nas.

 A wy znacie to słowo? SOS! Obawiam się, że na całej Tancie znamy je tylko ja i ciocia Elli.

 – Tu chodzi przede wszystkim o temperaturę – wpaja mi ciocia Elli. – Obniż temperaturę o dziesięć stopni, a szybkość reakcji chemicznych zmniejszy się kilkadziesiąt, a nawet kilkaset razy. A organizm każdej żywej istoty to jedna wielka reakcja chemiczna.

 W rzeczywistości ciocia Elli upewnia nie mnie, tylko siebie. A moim zdaniem i tak wszystko idzie znakomicie. Dzisiaj pierwszy raz wyszła z zamku za potrzebą. Zresztą to niezbyt dobrze wypadło. Ona za potrzebą, a wszyscy mieszkańcy zamku, ilu ich było, wylegli na mury popatrzeć na nią. Wśród chłopów oczywiście zaczęły się pogaduszki: co to za smok, który ledwie się czołga? Dlatego puściłem słuch, że smoczycę tak mocno poraniły kamienie i stare meble. Gdy za miesiąc albo dwa jej się polepszy, niech ją ktoś spróbuje nazwać jaszczurką!

 A jej apetyt wzrósł co najmniej dwukrotnie. To pierwszy symptom poprawy jej stanu. I jeszcze jedna osobliwość. Wcześniej jej łuski były gdzieniegdzie jaśniejsze, gdzieniegdzie ciemniejsze, ale zielone. A teraz ciemnieje z każdym dniem. Niedługo będzie całkiem czarna.

 Dzisiaj smoczyca pierwszy raz obeszła zamek dookoła. Zima zbliża się już ku końcowi, ale śnieg, który wewnątrz murów był udeptany, na zewnątrz sięgał po pas. Dlatego ciocia Elli posadziła mnie i Samanthę na swoim grzbiecie. Bardzo się zmęczyła, zmarzła, ale powiedziała, że od jutra zacznie biegać dookoła zamku rano i wieczorem. A przez cały pozostały czas będzie trenowała skrzydła, rozciągała błonkę. I zaczęła jeść jak ludzie, łyżką. Stefan zrobił jej taką specjalnie dużą. Łyżkę jeszcze jej trudno utrzymać, gdyż palce ma słabe i krótkie, ale od razu przestała się krępować i je razem ze wszystkimi. Przedtem jadła wcześniej albo później.

 Przedwiośnie. Śnieg w płatach, między nimi zielona trawa i pierwsze kwiatki.

Widzieliście? Przeleciała przez mur zamku! Szczerze mówiąc, wątpiłem, czy smoki naprawdę latają. Są przecież takie ciężkie! No, skrzydła mają. I co z tego? Kura też ma skrzydła. Teraz rozmawiamy tylko o wiosennej ekspedycji w Góry Wschodnie. Będziemy szukali kutra cioci Eli. W kilka dni po pierwszym przelocie ojciec zaproponował:

 – Lady Elano, zamiast tak po prostu latać dookoła zamku, mógłbym pani pokazać moje użytki myśliwskie – i dodał z uśmiechem: – Przy okazji pochwalę się przed sąsiadami.

 Myślałem, że ciocia Elli odmówi. Przecież, jeśli jest się lady, to nie wypada wykorzystywać siebie jako konia wierzchowego. To swawola. Ale ona z radością się zgodziła. Powiedziała tylko, że lata jeszcze niezbyt pewnie i musi z tydzień potrenować. A w trzy dni później już niosła na grzbiecie… Myślicie, że mnie? Nie, Yoricka! Byłem bardzo obrażony. Ale ciocia Elli zrobiła surową minę i powiedziała:

 – Przypominam, że najbardziej niebezpieczne doświadczenia robi się na najmniej cennych członkach załogi. – Po czym dodała już z uśmiechem: – Należy odpowiedzieć: „Ech, czego to ja już nie próbowałem we Wszechświecie!”

 Tak właśnie odpowiedziałem. No i polecieliśmy. Za pierwszym razem wrażenie było takie sobie. To znaczy: bywa gorzej, ale raczej rzadko. Za to, kiedy już się przyzwyczaisz… tego się nie da opisać słowami! Widać dziesięć razy dalej niż z najwyższej wieży zamku. Ciocia Elli podnosiła się po spirali coraz wyżej i wyżej, a horyzont odsuwał się coraz dalej i dalej.Coraz zimniejsze powietrze parzyło płuca i porządnie przemarzłem. A ciocia Elli się zmęczyła. Możecie mi wierzyć albo nie, ale na horyzoncie widziałem zamek sir Snowa!

Tylko, że siedzieć na cioci Elli jest… no, nie tyle niewygodnie, ile dziwnie, a nawet odrobinę strasznie. Zaproponowałem jej zrobienie siodła, ale ona się obraziła, a ściślej: udała obrażoną, gdyż tak naprawdę nigdy się na mnie nie obraża.

 – No wiesz, John! – powiedziała. – Każdy mężczyzna może wziąć na ręce ukochaną dziewczynę i zanieść ją nawet na koniec świata. Od tego nie przestanie być mężczyzną. Ale jeśli dziewczyna włoży na niego siodło, to kim będzie?

 Jeszcze tego samego dnia powtórzyłem to w kuchni, niby tylko dla Samanthy, ale tak, żeby wszyscy słyszeli. To się nazywa zakulisowa polityka. Za dwa dni będą o tym mówili we wszystkich pobliskich wioskach.

 Myślicie, że jako trzeci poleciał ojciec? Mylicie się, Oorton! Ojciec też chyba się troszeczkę obraził. Ale ciocia Elli powiedziała, że Oorton jest cięższy, a próby trzeba przeprowadzać w ekstremalnych warunkach. Jeszcze coś tam mówiła o przemieszczeniu ku przodowi środka ciężkości, ale ja w aerodynamice się nie orientuję.

 A potem zaczęliśmy składać sąsiadom wizyty. Okazało się to znacznie mniej ciekawe, niż myślałem. Za każdym razem było bardzo dużo wina i rozmów o polowaniach, ciekawych może dla ojca, ale dla mnie potwornie nudnych, gdyż mnie na tych polowaniach nie było. Za to ciocia Elli zachowywała się jak prawdziwa lady. Od razu zapamiętywała każdego po imieniu, nawet służących. Prowadziła wyszukane rozmowy o dawnych czasach, o tym, jakie to okrutne i prostackie charaktery mieli ludzie dwieście lat temu, gdy o honorze ludzie mówili tylko wtedy, kiedy im było wygodnie. Chwaliła czasy współczesne, prawiła komplementy gospodarzowi zamku i jego małżonce. A jakie toasty wznosiła!

 Po szóstej, a może po ósmej wizycie miałem dość. Ale ciocia Elli powiedziała, że to polityka mająca na celu umocnienie władzy Kongów. Wychodziło więc na to, że ja w tych spektaklach jestem główną osobą. Próbowałem oponować, ale czy przekonasz ciocię Elli?

 Ojciec nazywa ją „lady Elana”. We wszystkich legendach mówi się o smokach, że są istotami chytrymi i nieprzewidywalnymi. Dziś to lady, a jutro odgryzie ci głowę. Co innego „ciocia Elli”. Ciocia – czyli istota bliska, oddana rodzinie i domowemu ognisku. A występować przeciw lordowi, który ma za ciotkę smoczycę – to pewne samobójstwo. A kto nie wierzy, niech wspomni sir Kaspra (zauważyliście: Kasper znowu stał się SIR).

 A w dniach, kiedy obaj z ojcem odpoczywaliśmy od wizyt, ciocia Elli latała z moją mamą. Mama zawsze wracała pobudzona i zadowolona. Bo latała tam, gdzie chciała, a nie tam, gdzie było potrzebne z powodów politycznych. Ciocia Elli powiedziała, że obie wesoło spędzają czas z żonami lordów, ale ich rozmowy są wybitnie kobiece i mnie nie zainteresują.

 Oprócz tego kilkakrotnie polecieliśmy do zamku sir Dobura. I za każdym razem, zanim wsiedliśmy na smoczycę, demonstracyjnie zdejmowałem obrożę z Samanthy. Żeby ludzie nie myśleli, że smoki byle kogo noszą na swoich grzbietach.

**ROZDZIAŁ 23: Jak naprawialiśmy kuter cioci Elli**

 – Oj, John, jeśli coś się z nim stało, ja tego nie przeżyję! – lamentowała przez całą drogę ciocia Elli. A do mnie dopiero teraz dotarło, że ona może odlecieć NA ZAWSZE. Nie mogłem sobie po prostu wyobrazić, jak będę bez niej żył.

 – Ależ ciociu Elli, masz przecież cztery warianty rezerwowe.

 – Nie rozumiesz, że inaczej będzie wyglądało, jeśli ja sama się z nim połączę, jakby nic się nie stało: „Halo, halo, co słychać, dawnośmy się nie widzieli”, a zupełnie inaczej, jeśli to on mnie uratuje. Nie wyobrażasz sobie, jakie to dla mnie ważne.

 Niepotrzebnie się bała, że go nie znajdziemy. Można było nie czekać do tak późnej wiosny. CZEGOŚ TAKIEGO trudno nie zauważyć. Olbrzymia kula z zardzewiałego żelaza. Tak duża, że zmieściłaby się w niej główna wieża naszego zamku.

 – Ale wielki! – Byłem pod wrażeniem.

 – Osiemdziesiąt pięć metrów średnicy. Ale i ja też chyba nie jestem mała – odrzekła smoczyca, skręciła, zamachała skrzydłami i wylądowała na samym szczycie kuli. – Ale to nieprawdopodobne. Niemożliwe. John, daję słowo, że tu go nie było. Założę się o własny ogon.

 Chciałem zejść, ale ona znowu wzbiła się w powietrze i wznosiła się coraz wyżej i wyżej.

 – O, tam był! – Wyciągnęła przed siebie łapę, wskazując pas lodu pomiędzy skałami.– To zamarznięty wąwóz, tam było wtedy niżej. Lodowiec wypchnął kuter, który tu się stoczył.

 Po tych skałach nie doszedłbym do wąwozu nawet w dwie godziny. Widoczne kuter jest bardzo mocny, jeśli dotoczył się aż tutaj i nie rozleciał się.Ale żeby lodowiec mógł poruszyć taką machinę… Cóż, ciocia Elli wie lepiej, to jej statek. Zniżyliśmy lot i oblecieliśmy go dookoła. Luk okazał się otwarty, ale dostać się do niego można było tylko od dołu, choć znajdował się wyżej, niż wierzchołki najwyższych znanych mi drzew. Ciocia Elli wylądowała pod nim, zsunąłem się z niej, po czym odleciała kawałek, znowu wylądowała, rozpędziła się i podskoczyła do luku jak kura na grzędę. Rozległo się ciężkie, głuche uderzenie.

 – Ciociu Elli, żyjesz?

 – Nie wiem, John, ale jestem w środku! – odpowiedziała radośnie smoczyca.

 Po chwili spuściła sznur, obwiązałem się marynarskim węzłem i wciągnęła mnie do luku.

 – Tu u mnie nieposprzątane – trajkotała jak gospodyni domowa. – Nie zwracaj uwagi. I w ogóle stoimy na ścianie. To jest podłoga. – Poklepała zardzewiałą ściankę metalową. – Nie, pomyśl tylko! To ma być stal nierdzewna! Hańba! Oszczędzają nikiel. Wstyd przed ludźmi!

Sypiąc słowami, cały czas próbowała przekręcić metalowe koło na ścianie przeciwległej do wejścia.

 – Coś tu nie tak – wymamrotała i nagle prawie krzyknęła – Ależ ze mnie kapuściana głowa! To przecież śluza! Trzeba albo zamknąć luk zewnętrzny, albo zdjąć blokadę.

 Otworzyła żelazne drzwiczki,przerzuciła dźwignię w prawo i koło gładko się obróciło. Zobaczyłem ciemne przejście.

 – Zaraz, zaraz, John – mamrotała gorączkowo, szurając łapami po podłodze. – Już!

 Zabłysło światło. Aż zmrużyłem oczy z zaskoczenia.

 – Ostrożnie, nie stań na wyłączniku – uprzedziła mnie ciocia Elli i weszliśmy w głąb kuli. – A to sterówka – pochwaliła się, kiedy weszliśmy do dużej, wysokiej sali. Była mniejsza od naszej jadalni, ale wyższa. I, jak cała reszta, sala leżała na boku. Możecie sobie wyobrazić pokój leżący na boku? Ja teraz mogę.

 Ciocia Elli zapaliła w sali światło, zeskoczyła, potem spuściła mnie. Wątpię, czy wydostałbym się stąd o własnych siłach.

 – To tu wtedy skakałam jak piłeczka – pochwaliła się. – Zaraz zobaczymy, co się połamało, a co ocalało.

 Stanęła na tylnych łapach, żeby sięgnąć do sterczącego ze ściany stołu, i zaczęła naciskać klawisze komputera. Że to komputer, zrozumiałem od razu, gdyż nieraz mi go rysowała. I ekran poznałem prawie od razu – gdy tylko się zaświecił. Pojawił się na nim przekrój kutra. A wewnątrz niego jakieś linie i kontury zapalały się na czerwono. Potem zieleniały i zapalały się następne.

 – Nieźle, John, całkiem nieźle! – powtarzała ciocia Elli. – Kiedy nie powróciłam, autopilot czekał dwa lata, a potem włączył program głębokiej konserwacji. Ne zdążyłam go wyłączyć, i dobrze, bo gdybym go wyłączyła, mielibyśmy tu trumnę z muzyką.

 – A co teraz mamy?

 – Teraz… – Ciocia Elli się zamyśliła. – Dobre pytanie! Moim zdaniem najpierw musimy postawić bryczkę na koła. Jak myślisz?

 – Zgadzam się, lady – odrzekłem z powagą, choć nie zrozumiałem, o czym mówi.

 – No to! No to do roboty, szyper! Mam taki plan: rozpędzamy żyroskop Y i ostro hamujemy. Jeśli się uda, stoimy na kołach!

 – A jeśli nie?

 – A jak nie, to nie – odpowiedziała smoczyca niefrasobliwie. – Ale najpierw pomyślimy o technice bezpieczeństwa.

 Znowu zaczęła naciskać klawisze. Wielki leżak z resztkami rzemieni schował się zgrzytając pod podłogę, a na jego miejscu wynurzył się szeroki fotel z wysokim oparciem dla człowieka. Ciocia Elli obróciła fotel tak, żeby na oparciu można było się położyć, umieściła mnie tam i przywiązała Rzemienie bardzo sprytnie objęły mnie w ramionach i w pasie, a ich klamra była na piersi. Bardzo ciekawie siedzi się na krześle, które wystaje ze ściany. Nogi powyżej głowy.

 – Teraz zadajemy program autopilotowi. Trzymaj się mocno, John.

 – A ty?

 – Ja też się postaram.

 Rozległo się narastające wycie, przechodzące w świst. Fotel pode mną lekko się zatrząsnął.

 – Ciociu Elli, czy to tak ma być?

 – Wątpię, John. Wyłączam system bezpieczeństwa. Trzymaj się!

 Ja się utrzymałem. A ciocia Elli nie. Kiedy świat się przewrócił i fotel pode mną szarpnął jak stający dęba koń, przeleciała koło mnie w powietrzu, wijąc się jak kot, który wypadł z okna, i wyrżnęła w ścianę. A mnie rzemienie tak szarpnęły, jakbym dostał pięścią w splot słoneczny, zakręciło mi się w głowie i zamroczyło mnie. Kiedy złapałem oddech, fotel stał już na podłodze, a nie sterczał ze ściany. Podłoga była nieco ukośna, ale to już była podłoga.

 – John, żyjesz? – usłyszałem.

 – Ech, czego to ja już nie próbowałem we wszechświecie! – odrzekłem. – A ty?

 – Zaraz przeprowadzę inwentaryzację. – Smoczyca poruszyła ramionami, rozłożyła i złożyła skrzydła, kokieteryjnie pokręciła zadkiem. – Wiesz, to zadziwiające, ale wszystko jest na swoim miejscu.

 W rzeczywistości na pewno porządnie oberwała, gdyż przez następne dwa dni kulała na lewą tylną łapę, ale to była proza życia i zajęliśmy się remontem kutra. Było to bardzo łatwe, gdyż wszystko powierzyliśmy cyberom. Ciocia Elli wybrała potrzebne hasło na klawiaturze pulpitu, po czym zeszliśmy do ładowni i wypuściliśmy cybery ze ściennych szafek. Były tam tak sprytnie przymocowane klamrami do ścianek, że się nie potłukły. Wypuściliśmy tylko sześć, a potem one same wypuściły resztę i zaczęły naprawiać sobie wzajemnie drobne usterki. Ciocia Elli zawołała jednego, otworzyła drzwiczki na jego brzuszku i pokazała mi, co on ma w środku. To samo, co na zewnątrz: żelazne szkatułki i błyszczące elementy, zupełnie mnie to nie zdziwiło.Potem podnieśliśmy się na samą górę i ciocia Elli poszukała tam nowych okularów, położyła i nowe, i stare obok komputera, wyciągnęła z niego dwa sznurki z błyszczącymi końcówkami i wetknęła w obie pary. Powiedziała, że przekazuje informację ze starych w nowe. Podczas przepływu informacji chciała pokazać mi, gdzie mieszkała. Ale jak tylko zajrzała do pokoju, od razu zatrzasnęła drzwi i oparła się o nie plecami.

 – Wybacz, John, u mnie tam nieposprzątane.

 Jednak ją przekonałem, że wszystko rozumiem, że tam nie może być porządku, jeśli statek toczył się z góry. A co było w pokoju, to po prostu trudno opisać. Wszystkie rzeczy zwalone w jeden kąt, potem zalane wodą – mnie po pas, albo i wyżej – wszystko zapleśniałe, wyrosły tam jakieś korzonki, liany, które potem wyschły i popękały. Ohyda. Jak olbrzymia pajęczyna.

 – Ciociu Elli, skąd tu tyle wody?

 – Z materaca. My materace napełniamy wodą. Mój pękł, i masz… – W oczach smoczycy pojawiły się łzy, gdy zobaczyła, że z jej ulubionych obrazów, wiszących na ścianach, zostały tylko przegniłe ramy. Miała tam jeszcze akwarium z niebieskimi rybkami. Liany pochodziły właśnie z niego, później się rozrosły.

 – Lecimy do domu, John – zaproponowała po chwili – Cybery będą miały tu roboty na miesiąc.

 I polecieliśmy do domu. Smoczyca leciała nisko nad ziemią i pojękiwała. Jednak mocno się potłukła o ścianę. A mnie było smutno, gdyż za miesiąc odleci do domu. Teraz to już na pewno odleci…

 – … można i nie odtwarzać. Wystarczy jedna komora zero-t. Ale wyobrażasz sobie, jaki będzie efekt! Zapraszam przyjaciół, oni tu przylatują – a mój statek błyszczy na słońcu jak nowiutki! Od razu inna kategoria awarii… Nie katastrofa, a po prostu nieudane lądowanie w górach z przymusowym postojem w celu remontu. Zupełnie inna para kaloszy.

 Mamrotała bardziej do siebie niż do mnie. Myślami była już bardzo daleko. Ale jej kulka nie będzie błyszczała jak nowiutka. Na korpusie ma wgniecenia jak na pancerzu żołnierza po porządnej bitwie. I nogi ma odłamane.

 Dlaczego, kiedy zdziałałeś coś dobrego, robi ci się tak smutno? Przecież już dziesięć lat temu wiedziałem, czym to się skończy. I dłubałem kamień. A mogłem nie dłubać. Mogłem przebudować skrzydło zamku, usunąć ścianę, pogłębić podłogę, przebić wysokie i szerokie okna, żeby ciocia Elli widziała światło słońca. I wychowywałaby moje dzieci i wnuki.

 Sam wybrałem. I dość już o tym.

**ROZDZIAŁ 24: Jak przyleciał Timur, a potem ciocia Elli odleciała**

 Jak zwykle jedliśmy śniadanie w dużej sali. Jak zwykle Samantha podała chleb moim rodzicom i poszła roznosić pozostałym. Jak zwykle złapałem ją za talię i posadziłem sobie na kolanach, a później obok siebie. Jestem lordem czy nie? Mogę robić, co chcę. Ojciec oczywiście zrobił surową minę, ale jego oczy się śmiały. Służąca czekała już w pogotowiu. Wzięła od Samanthy koszyk z chlebem i poszła wzdłuż stołu.

 Zresztą nie zawsze zatrzymuję Samanthę. Czasem, kiedy w czymś przewini, udaję, że jej nie zauważyłem. Wtedy musi sama roznosić chleb po wszystkich stołach. Ludzie to widzą i na Samanthę ze wszystkich stron sypią się pieprzne żarty, obraźliwe aluzje i uszczypnięcia z tyłu. Wtedy jest na mnie obrażona aż do samego wieczora.

 Ale tego dnia wszystko było jak zwykle. Do czasu. Samantha nie zdążyła jeszcze przesiąść się z moich kolan na swoje miejsce, kiedy ciocia Ellizerwała się, przewracając stół.

 – John, zero-t zadziałało! Ktoś przyleciał! Lordzie Riley, pokornie proszę o wybaczenie. O Boże, ależ naświniłam! – i nagle krzyknęła na cały głos (A musicie zrozumieć, że jeśli smok krzyczy na cały głos w zamkniętym pomieszczeniu o kamiennych ścianach, to wychodzi NAPRAWDĘ GŁOŚNO): – TAK! TIMUR!!! TO! JA! JA! JAK! MNIE! ZNALAZŁEŚ?! – I trochę ciszej – John, to Timur! Oj, ja lepiej wyjdę! Wybaczcie mi, proszę!

 Wielu zatkało sobie uszy dłońmi i padło twarzami na stół. Spróbujcie tak zrobić, a zrozumiecie, co się stało z miskami i talerzami. Samantha, na przykład, wysłała swoje śniadanie na kolana ojca, a moje na dół swojej sukienki. Ponieważ łyżka zrobiła mi się niepotrzebna, rzuciłem ją na stół i wybiegłem w ślad za smoczycą.

 – John, to Timur! Znasz go, on jest na portrecie w moim pokoju. Przyleciał po mnie. Nie, ja nie wytrzymam! Lecimy mu na spotkanie. Ty po prostu musisz go zobaczyć!

 I polecieliśmy. Tak szybko ciocia Elli jeszcze nie latała, w każdym razie ze mną. Musiałem sięna niej położyć i mocno trzymać, żeby mnie wiatr nie strącił. A kiedy zobaczyła czarny punkt, lecący na jej spotkanie, wyhamowała lot i wylądowała na łące.

 Smok też wylądował na łące o kilka metrów od nas.

 – Długo cię szukałem – powiedział, trochę zagniewany, jakby rozstali się dopiero wczoraj. Ciocia Elli spuściła oczy i pogrzebała łapą w ziemi.

 – Zrobiłam się mądrzejsza i rozsądniejsza. Przeczytałam całą klasykę i od nowa powtórzyłam geometrię analityczną.

 – Jak widzę, poprawiłaś się.

 – Uhu – odpowiedziała ciocia Elli i ciężko westchnęła.

 A potem zaczęli się ściskać i całować. Odszedłem, żeby im nie przeszkadzać. A później oboje podlecieli do mnie.

 – Poznajcie się, to lord John z rodu Kongów – powiedziała ciocia Elli. –To on zwrócił mi honor i wolność. On i jego ojciec, lord Riley.

 – Miło mi pana poznać, lordzie John Kong. – powiedział smok i uścisnął mi rękę.

 – Wszystko poplątałeś – rozzłościła się na niego ciocia Elli. – Mówiłam ci przecież, że tu, jeśli człowiek jest lordem, nie trzeba podawać nazwiska. Wystarczy tytuł i imię.

 – Proszę o wybaczenie, lordzie John – poprawił się smok.

 – A pan nazywa się Timur – powiedziałem. – Ciocia Elli dużo mi o panu opowiadała.

 Smok ze zdziwieniem podniósł brwi.

 – Ciocia Elli to ja – wyjaśniła mu lady Elana. – Kilka pokoleń Kongów rodziło się, dorastało i umierało na moich oczach. Jestem tu czymś w rodzaju starego rodzinnego ducha. Lećmy, przedstawię cię moim przyjaciołom.

 Znajomość rozciągnęła się na trzy dni. Ciocia Elli ze mną i z Timurem obleciała wszystkich wasalów ojca. Lądowaliśmy na krótko w każdym zamku, przedstawiałem Timura jako narzeczonego lady Elany, a ona witała się ze wszystkimi. Pamiętała wszystkich z imienia i ludziom bardzo się to podobało.

– Nie obrażaj się. To polityka. Muszę odchodząc zostawić tu mocne tyły – wyjaśniała ciocia Elli Timurowi. – Nie wyobrażasz sobie, jakie tutaj są ciekawe obyczaje. Zebrane feudalne tradycje z całej Europy zachodniej, z domieszką wschodnioeuropejskich, z Podniebnej i z Wysp Wschodzącego Słońca. Tak więc, jeśli nie wiesz, jak się zachować, po prostu działaj na pewniaka. Jakbyś tak robił całe życie.

 Śmieszny pomysł, nieprawdaż? Ale potem pomyślałem sobie, że jeśli nawet lord nie może zachowywać się jak chce, to po co w ogóle być lordem? Ale najśmieszniejsze było to, że wszyscy w okolicy już wiedzieli, co się stało w naszym zamku. Z ust do ust przekazywano sobie, że ciocia Elli tak głośno krzyknęła, iż wszystkie smoki w promieniu trzech dni jazdy konnej usłyszały i zleciały się. I było ich co najmniej dziesięć. Tak się rodzą legendy.

 Polecieliśmy do kutra jeszcze raz, z Samanthą, żeby i ona mogła go zobaczyć, a zarazem żeby smoki skontrolowały przebieg remontu. Zabraliśmy także Pearley, ale ciocia Elli od razu wsadziła ją do biowanny. Pearley tam zasnęła, przespała całą wizytę i nie ma co o niej pisać. No, chyba tylko wspomnieć, że piętno z jej ramienia znikło. Ale to nastąpiło dwa dni później – a może i wcześniej, tylko nikt tego nie zauważył.

 Kuter rzeczywiście błyszczał jak nowiutki.

 – Nie powiedziałeś mi, jak się dowiedziałeś, że tu jestem – cały czas wypytywała Timura ciocia Elli.

 – Kiedy nie połączyłaś się z nami, sprawdziliśmy wykorzystanie energii systemów zero-transportowych i zrozumieliśmy, że oszukałaś automaty. Przeszukaliśmy chyba z dziesięć układów planetarnych, ale nic nie znaleźliśmy. Ten też sprawdziliśmy, ale sputnik strażniczy zakomunikował, że tu nie było metalowego obiektu wielkości twojego statku.

 – Podmieniłam sputnik.

 – Ach, więc to tak! Przeszukaliśmy cały znany kosmos, ale nie znaleźliśmy nic. Kompletnie nic! Doszliśmy do wniosku, że wpadłaś w chromosferę gwiazdy. Przerwaliśmy aktywne poszukiwania, ale otrzymywałem informacje o co bardziej intrygujących wydarzeniach z tego rejonu kosmosu. A kiedy na bazę remontową trafia zamówienie na półtora tysiąca dokładnie wyszczególnionych detali, których od stu lat nikt już nie produkuje…

 – Czekałeś na mnie dwieście lat?!

 – No, dwa razy się żeniłem. Trzydzieści i pięćdziesiąt dwa lata.

 – A teraz? – zapytała lady Elana ze strachem w głosie.

 – A teraz mam zamiar ożenić się po raz trzeci. Oczywiście, jeśli pewna nieposłuszna dziewczynka nie zechce pozostać na zawsze starą panną.

 Tu znów zaczęli się obejmować i całować, a ja zaprowadziłem Samanthę na wycieczkę po kutrze. A to, że sam tu byłem dopiero drugi raz, nic nie znaczyło. Jak mówi ciocia Elli, najważniejsze to to zachowywać się z całą pewnością siebie. Wiedziałem, jak się otwiera luki i zapala światło. Wiedziałem też, że nie należy przeszkadzać cyberom i nie wolno dotykać niczego, oprócz wyłączników i klamek (dla ludzi, te dla smoków i tak były za wysoko), To trochę jak w kuźni. Weźmiesz do ręki podkowę – a ona może jeszcze nie ostygła do końca, dopiero co przestała się żarzyć. A jak się nazywa który pokój, napisane jest na drzwiach. Czytałem, wchodziłem, zapalałem światło i mówiłem: „Popatrz, to ładownia”. A czasem milczałem i mówiłem tylko, jeśli Samantha pytała. Raz w malutkim, ale bardzo wysokim pokoiku Samantha nie wiedziała, zapytać czy nie, ale wyprowadziłem ją na korytarz, pokazałem napis na drzwiach „Skafander” z dopiskiem poniżej „1 komplet”, i wyjaśniłem, że to coś w rodzaju zbroi i służy do chodzenia tam, gdzie nie można oddychać.

 Z powrotem leciałem na Timurze. Tak zachciała ciocia Elli, żeby porozmawiać w tajemnicy z Pearley i Samanthą. Timur też chciał porozmawiać ze mną. Gdy tylko wzlecieliśmy, poprosił, żebym mu opowiedział jak mężczyzna mężczyźnie, co właściwie stało się z Elaną.

 – Z lady Elaną – poprawiłem i opowiedziałem o wszystkim, jak było. O awarii kutra, o sir Thomasie Kongu, o tym, jak uwolniłem kawałeczek ogona, a potem przez wiele lat, dzień po dniu, uwalniałem ciocię Elli, jak ją bolało, jak brakowało rezerw w jej organizmie.

 – Nie opowiadała mi nawet połowy – przyznał ponuro Timur. – Plotła jakieś niestworzone historie, rojące się od sprzeczności. A wszystko okazało się wielokrotnie straszniejsze. Dziękuję, lordzie John.

 – Panie Timurze, opowiedziałem to panu, gdyż lady Elana panu wierzy. Ale nikt więcej, ani jedna żywa dusza nie może dowiedzieć się o tym, co się działo w zamku Kongów. Lady Elana uważa, że to może jej zaszkodzić.

 – Dobrze, lordzie John. Nikomu nie opowiem nic, co mogłoby zaszkodzić lady Elanie. Słowo smoka – odrzekł Timur.

 Dwa smoki odchodzą gdzieś w kłębiącą się mgłę. Ziemi nie widać, gdyż mgła ścieli się dołem i ją zasłania.

 – Ciociu Elli! – wołam i biegnę za nimi. Jeden smok zatrzymuje się i obraca się do mnie.

 – Ciociu Elli, nie odlatuj! – proszę. Smok bardzo długo patrzy na mnie.

 – Timurze, poczekasz na mnie jeszcze pięćdziesiąt lat? – zwraca się do drugiego smoka. Ale Timur nie słyszy. Idzie dalej nie oglądając się, aż znika we mgle. Wiem, że odszedł na zawsze.. Zrywam się z miejsca i biegnę za nim. Ale we mgle nikogo nie ma. Krzyczę.

 – John, co się z tobą dzieje? – Potrząsa moim ramieniem ciocia Elli.

 Budzę się.

 – John, co się z tobą dzieje? – Potrząsa moim ramieniem Samantha.

 – Miałem wieszczy sen – odpowiadam. – Wiesz, co to jest brzemię władzy?

 – Wiem. To gorsze niż bieda. Powiedz, czy twój sen wiązał się z podaniem?

 – Nie. Śpij, Santi, śpij, kochanie.

 Teraz już wiem, że jeśli poproszę ciocię Elli, żeby została, zostanie. Zbyt wiele mi zawdzięcza. I straci Timura na zawsze. Jej los, jej szczęście jest w moich rękach. A moje?... Brzemię władzy…

 Smoki odleciały. Wyszliśmy za wrota zamku odprowadzić je. Było mi bardzo smutno. Samantha płakała. Rodzice wyszli na mury i patrzyli stamtąd. Timur uścisnął mi rękę i odszedł na bok. Ciocia Elli, jak dawniej, trąciła mnie nosem w ramię.

 – Nie trzeba kwękać, John. Przecież nie rozstajemy się na zawsze.

 – Ale ty odlatujesz….

 – Pewien bardzo mądry człowiek powiedział: „Dla przyjaciół nie ma takiego miejsca – daleko”. Nazywał się Richard Bach. Zapamiętaj te słowa i weź to. – Podała mi gruby cylinder wielkości dziecięcego kubka. – Jeśli zechcesz ze mną porozmawiać, naciśnij ten przycisk i mów. A jeśli przydarzy ci się nieszczęście, odśrubuj dno. Tam jest czerwony przycisk, to sygnalizacja SOS. Ja, Timur, albo jakiś inny smok na pewno przybędziemy ci z pomocą.

 Smoki odleciały. Zdjąłem obrożę z Samanthy i wyrzuciłem w kurz. Tak było słusznie. Wzięliśmy się za ręce i weszliśmy we wrota zamku. Myślicie, że miałem mało spraw?

**EPILOG, w którym mowa o tym, jak przyjemnie mieć przyjaciela smoka.**

 Jeszcze nie raz gościliśmy w zamku lady Elanę. Przylatywała za każdym razem, kiedy Samantha miała rodzić mi dzieci. Samantha kołysała na rękach córkę cioci Elli. Była to taka zwinna i psotna smoczka, że wszyscy oddychaliśmy z ulgą, kiedy szła spać. A gdy ciężko zachorował mój młodszy syn, ciocia Elli przyleciała bez zwłoki. Wsadziła go do biowanny i po kilku godzinach był już zdrowy. Rozmawiam z nią przez komunikator co miesiąc, a Samantha jeszcze częściej. Słusznie powiedział Richard Bach: „Nie ma takiego miejsca – daleko”. Ale tylko wtedy, jeśli twoim przyjacielem jest smok.

**Koniec tomu czwartego**

**Spis treści**

Prolog: Rozmowa, która odbyła się bardzo dawno temu …………................................... 2

Rozdział 1: Kim jestem, jak poznałem ciocię Elli i co z tego wynikło….………….……... 2

Rozdział 2: Jak ciocia Elli znalazła się w naszym zamku. ………………………………… 8

Rozdział 3: O podziemiach zamku i jak składałem przysięgę. …………………………… 12

Rozdział 4: Jak poznałem Samanthę, a Samantha – ciocię Elli. ………………………….. 14

Rozdział 5: Czego boją się smoki i jak pierwszy raz oszukałem ciocię Elli. ……….……. 17

Rozdział 6: Jak się odbywają turnieje rycerskie. …………………………………………. 19

Rozdział 7: O ogonie cioci Elli i pracach Heraklesa. ……………………………………... 21

Rozdział 8: Jak płukaliśmy tunel i co z tego wynikło. …………………………………… 24

Rozdział 9: Jak ciocia Elli mnie złapała. ……………………………………….................. 26

Rozdział 10: Jak ciocia Elli zachorowała, a ojciec okazał się skąpcem nad skąpcami. ..… 28

Rozdział 11: O wesołym pogrzebie Ralfa Hieny. ………………………..……………….. 30

Rozdział 12: Do czego służą okulary i czemu Berg się nie ożenił. ……………………….. 34

Rozdział 13: Skąd wziął się Kasper i jak zaczęła się wojna. …………………………….... 40

Rozdział 14: Jak umyliśmy Kaspra w pierwszym starciu. ………………………………... 45

Rozdział 15: Jak umyliśmy Kaspra w drugim starciu. ……………………..……………... 47

Rozdział 16: Jak najpierw my umyliśmy Kaspra, a potem raz on nas. ….……………....... 51

Rozdział 17: Jak zwabiliśmy Kaspra w pułapkę. ……………………………………......... 54

Rozdział 18: Jak zakończyła się wojna. …………………………………………………... 58

Rozdział 19: Jak sir Dobur zbuntował się, a Samantha otrzymała obrożę zamiast piętna ... 60

Rozdział 20: Jak odwiedziłem zamek sir Dobura. ………………………………………... 68

Rozdział 21: Jak ojciec wybaczył sir Doburowi. ………………………………………….74

Rozdział 22: Jak ciocia Elli wyszła na wolność. …………………………………………. 76

Rozdział 23: Jak naprawialiśmy kuter cioci Elli. ………………………………………… 81

Rozdział 24: Jak przyleciał Timur, a potem ciocia Elli odleciała ……………….………... 83

Epilog:, W którym mowa o tym, jak dobrze mieć przyjaciela smoka…………………….. 86

1. Dowiedziono po ukazaniu się oryginału książki. [↑](#footnote-ref-2)